

525

DOBRA GRABOWO.
WAGA.

wp.

PODANIA LITEWSKIE.

PODANIA LITEWSKIE

PRZEZ

IGNACEGO CHODZKĘ

Autora Obrazów Litewskich.

DOBRA GRABOWO.
WAGA.

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

JAN KOCHANOWSKI.

SERYA PIERWSZA I DRUGA.



W I L N O.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1870.



887-3

821.162.1-342



X

Hr.

Дозволено Цензурою. Декабря 16 дня 1869 г. Вильна.

W S T Ę P.

Każda stopa ziemi przez ludzi zajęta, ma swoją przeszłość. Przeszłość ta z ludzką podobna, i prawie zawsze zjednoczona, albo jest znamienitą i wickopomną, oznaczoną wielkimi wypadkami i wspaniałemi dziełami rąk ludzkich, trwającemi dotąd, lub rozsypującemi się dziś w gruzy; albo cicha, skromna, przemijająca jedną chwilą, jednem miłym uczuciem, lub częściej jeszcze jedną łzą i westchnieniem oznaczona.... Piérwsza dla dziejopisa narodów i całej ludzkości, druga dla dziejopisa serca ludzkiego, a zatém dla powieścio-pisarza właściwą jest treścią.

W krajach, w których dawno już odkryto te źródła najpiękniejszych natchnień dla narodowych pisarzy i najmilszych wrażeń dla czytelników, literatura nadobna zagarnęła je pod własne panowanie, owładnęła niemi zupełnie, i z podań, czy wiadomości ze dna ich, że tak powiem, wyjmowanych, odtwarza potomkom enoty i obyczaje naddziadów. My wieczne naśladowniki obcych, ten raz za dobrym ich poszliśmy przykładem: poznaliśmy że i nasza kilko-wiekowa przeszłość, została na ziemi naszej, i wspaniałe publiczne pomniki, i mnóstwo pamiątek powszedniego życia ojców naszych, z dziejami nawet naszemi połączonych; których równie interesujące, a bodaj pocziwsze, przykładniejsze i tkliwsze zbierać możemy wzory, i zbieramy je w rzeczy saméj.

Literatura nasza nosi odtąd w ogólności piętno własne, i wydiera z rąk ziomkom książki obcym językiem, obcą treścią i obcym duchem pisane, jako matka wydiera dziecięciu swemu owoc obcy i szkodliwy, a własnej piersi pożywczym posila je pokarmem.

I ztąd wyszły u nas na jaw, utajone dotąd w zaniedbaniu, lub porzucane w poniewierce, mnogie, razem ziemi naszej, obyczajów i charakteru naszego, obrazy, ślady i przykłady, które dostarczając obfitych treści talentom naszym, tém je silniej pobudzają do pracy, że się ta nagradza prawdziwem współczuciem i powszechném zadowoleniem ziomków. A lubo nader wiele i w rozmaitym względzie wyczerpano już z tego źródła materjałów, jednak bez wątpienia wiele jeszcze pozostało, dla szukających z gorącą żądzą i szczerém upragnieniem tego wszystkiego, co jest piękném, szlachetném, a własném.

Owoż takiem uczuciem i ja przejęty i natchniony, pobudzam niém i pokrzepiam słabą mą zdolność, szczęśliwie dotąd, przychylném przyjęciem przez ziomków pism moich, uwieczoną. Tytuł ich nowy, bliżej do celu stosuje: celem zaś tym będzie zawsze godło moje od początku przyjęte, a objawiające się na każdej karcie, miłością wdzięcznych i nado-bnych obrazów kraju naszego, zamięłowaniem pięknych przykładów, wspomnień, pomników,

enót bogobojnych i obyczajów naszych rodzi-
mych: słowem miłością z serca autora w ser-
ca czytelników przepływającą, i jednącą
wzajemnie ich dla się także miłość.



W Y K Ł E T Y.

I.

„Dom pusty — żona wdowa — a dzieci sieroty!”
Oto definicya z dawnych praw naszych w przy-
słowie zamieniona, na oznaczenie kary tak nazwa-
nej *bannicyi*, wywołania — padającej na tego, któ-
ry pozwany do sądu nie stawał na terminie: —
Contumax na bannicyę! wykrzykiwał natenczas
woźny, po trzykrotném zawołaniu niestawającego,
i obecni z uśmiechem powtarzali: „Dom pusty —
żona wdowa — a dzieci sieroty!” z uśmiechem,
bo w ostatnich czasach prawnictwa naszego, stra-
szone te wyrazy stały się już tylko formą, kilku-
dziesiątą złotemi okupowaną.

Była jednakże plaga sroga jeszcze i w epoce téj mojej powieści, sprawdzająca na uderzonym nią fatalne to przysłowie: plagą tą była klątwa kościelna.

Minęły już wprawdzie natenczas wieki, gdy piorun z Watykanu strzącał monarchów zachodniej Europy z tronów, lub z czoła ich korony, ale niższe duchowieństwo odważało się jeszcze u nas grozić, a niekiedy i użyć nawet, téj śmiertelnej broni: już to naprzeciw nadużyciom i zapędom zuchwałego możnowładztwa, już to naprzeciw rozhukanemu domowemu swarami żołdactwu, nawykłemu oddawna w czasach rozruchów, bogate dobra duchowne uważać za łup i strawę swą zwyczajną, już to nakoniec przeciw szczególnym i pokątnym, że tak powiem hajdamakom, których żadnym innym sposobem uchronić nie można było, a których właściwie namnożyło się w kraju naszym, zewnątrz ściśnionym, wewnątrz rozprzęgłym.

Ostatnie roztarganie węzłów, jednoczących dotąd naród w sferne i uległe prawom towarzystwo, nastąpiło u nas po dwukrotném a pięćdziesięcią tylko laty rozdzieloném najściślej Szwedów (1). Za każdym, naród rozdzielał się na liczne partye, kupy i zgraje, garnące się około potężniejszych mo-

żnowładców, ktorými bojaźn. lub interes osobisty kierowały, i którzy podług takich względów, od Kazimierza do Gustawa, od Augusta do Karola koleją, a bezkarnie, przechodzili i nazad wracali. Były to jakby komety błędne, za ktorými długie ogony z różnobarwnéj tłuszczy złożone, plądrowały zbrojno po kraju, pustosząc go częstokroć gorzej od cudzoziemca: z tą różnicą między naczelnikami i stronnikami, że gdy pierwsi jedne z dwóch tylko mieli hasło: „Za Sasem!” — „Za Szwedem!” tłuszcza za nimi idąca, tyle wykrzykiwała imion, ile ich w kraju znakomitszych było — „Za Radziwiłłem!” „Za Sapieham!” „Za Ogińskim!” „Za Pacem!” „Za Wiszniowieckim!” etc. najczęściej bez względu na ich polityczne widoki, a zawsze bez względu na interes własnej ziemi.

Nadto jeszcze, stłumione gorliwością katolicką pierwszego Wazy i Jezuitów, różnowierstwa, znalazłszy opiekę i wsparcie w Gustawie Adolfie, a potem w Karolu, podniosły głowę, dając nowy powód do wzajemnych a jęczących zwykle głębiej nad wszystkie inne, religijnych nienawiści i odwetów.

I ztąd to powstało w kraju naszym hajdamactwo i nazwa hajdamaków, tatarskiego brzmienia i znaczenia, wprzód ukraińskim rozbojnikom nadana, a potem służąca przydomkiem i przyswojo-

(1) Gustaw Adolf 1655. — Karol XII. 1705.

na wszystkim zuchom, u których swoja wola była prawem, humor swarliwy i nieuległy codziennym obyczajem, a zuchwałe zajazdy, bójki, pojedynki i napaście nałogiem... A lubo po upadku europejskiego arcy-hajdamaki Karola XII, (boć mu ze wszelkich względów ten tytuł przystoi) Polska nienapastowana od nikogo, pod panowaniem Saksów, dłużej używała spokojności: wszakże rozpięchnione na pojedyncze *individua* obozowe mrówiska, zapleniły po wszystkich kątach kraju ludzi, którzy wracając na domową grzędę, junackiej nie porzucali fantazyi, i zostawiali wojewódzkimi, powiatowymi, a nawet parafjalnymi hajdamakami.

Tych ostatnich było bodaj najwięcej, a gdy imiona i zuchwałe czyny pierwszych, weszły w dzieje narodowe, to opisów lub skarg na drugich, pełne są tamtoczasowe akta grodzkie (1) każdego powiatu, i domowe pamiętniki, owe grube, rękopisowe, w skórę oprawne *in folia*, które w domach równie pańskich, jako i szlacheckich, pokolenia pokoleniom podawały, dla wpisywania w nie „Na chwałę Boską, a na pamiątkę i naukę dobrym ludziom” (2) wszystkiego co się w kraju działo, działało, lub doświadczało. Junakierya taka, wprawdzie

(1) Grod — Było to sądownictwo, szczególnież na rodzaj spraw uczynkowych przeznaczone.

(2) Zwykły tytuł xiang takich.

coraz modyfikująca się, trwała aż do połowy prawie panowania Stanisława Augusta; lecz odtąd rozmięczony naród, stracił swą trwardość i hardość. Po starzejących się kuntuszowych hajdamakach, następowali fraczkowe niewieściuchy, ni do tańca, ni do rożanca! a tém mniej do korda... i Kościół więc swojej zaniechał broni, do użycia której w gnuśniejacym narodzie nie zdarzały się już powody, i która, gdy karność i cześć dla religii razem nikły, szyderstwo jużby mu tylko i poniewierkę, zamiast ulgi i zwycięztwa przyniosło (1). Epizod zatem, na rzeczywistém podaniu oparty, z życia jednego z takich hajdamaków, opisać tu postanowiłem. *Ab uno disce omnes!* (2) wszyscy oni należą do składu ruchliwych obrazów tamtoczasowego towarzystwa, owszem są jakby wydatniejsze herbowne płaskorzeźby na starych i rujnujących się zameczyskach; wszystkich zapędy i swawole mniej więcej podobne i jednostajne, krnąbrne i nieuległe prawu pospolitemu, korzyły się tylko przed ołtarzem, i hamowały się jedyném naterenczas wędzidłem, to jest uczuciem religijném, w głębi sere najburzliwszych jeszcze wtedy panującym.

(1) Patrz przypisy.

(2) Od jednego poznajcie wszystkich.

Ostatnią główną kwaterą Karola XII w Litwie, było miasteczko Radoszkowice, każdemu przejeżdżającemu z Mińska do Wilna dobrze znajome. Ztąd właśnie pobrnął on w głąb Rossyi, i doszedł fatalnego miejsca swęj klęski Półtawy (1). Liczne zatem zagony Szwedów, szeroko od Radoszkowicz w kraj się zapuszczały, szukając żywności i furazów, tém trudniejszych w kraju domową wojną zniszczonym. Dla tego też w okolicach, nawet o mil kilkanaście od tego miasteczka odległych, szczególniej zaś około nurtów Wilij, lub rzek do nięj wpadających, znajdziesz to w domowych papierach, (2) to w podaniach, to w nazwiskach drog i uroczysk, ślady szwedzkich odwiedzin, nie zapomnianych dotąd między ludem, jak wszelkie głęboko dojmujące klęski, z przeznaczenia Bożego utrapiające narody.

W rękopiśmie współczesnym, który mam przed sobą, czytam: „Anno 1708 król szwedzki tu „w województwo Mińskie, za Xięciem Mężykowem „przyszedszy, stanął w Radoszkowiczach, i wrze- „komo obrońca nasz, a jednak kościoły, dwory, „miasta i wsie rabował, i wszystko *funditus* za- „bierał przez nie mały czas, i ledwo od nas 14

„junji do Moskwy wyszedł. Po nim Löwenhaupt „5 Augusta do nas przyszedł, stał niedziel pięć, „i ten rabował *szlusznie* nikomu nie folgując” (1) widoczniejsze więc jeszcze, choć dziś zapomniane zostawił natenczas po sobie ślady najezdnik—to jest nędzę, ruiny, popieliska.

(1) Rękopism — „*Liber manuscriptus, incipiendo ab anno 1706 per me Alexander Mackiewicz. Tribunus stabuli palatinati Minscensis.* .

(1) Patrz przypisy.

(2) Patrz przypisy.

II.

I w tym to czasie, gdy już wieści o Szwedach, jak echa dalekich gromów po przejściu burzy, słyszeć się tylko dawały: kilkudziesięciu jeźdźców, rozbijając gęstą mgłę wilgotnego sierpniowego poranku, wysunęło się nagle nad brzeg Wilji, do którego żadna tu z niskąd nie przychodziła droga, i śmiało za przewodniczącym na czele wodzem, znającym jak widać było rzekę i przystępniejsze jój brody, rzuciło się w wodę; jakoż konie wszędzie dna dostając, ledwo się po tebenki zamaczały, i przebrnąwszy rzekę a rzeźwo się otrząsłszy, wesoło parsknęły na drugiej stronie.

Jeźdźcy sami różnobarwną nader i rozmaita składali gromadę: uzbrojeni wszyscy, a jednak nie żołnierze, bo każdy podług fantazyi widać czy możności, miał na sobie ubiór i rynsztunek. Ten w kontuszu wytartym, ten w kapocie, tamten w płaszczu jakimś osmolonym, a inny w łosim kafta-

nie; ten w magierce, ten w kapuzie, ten w baraním kołpaku, i tym podobnie.

Broń też była wcale nie do kalibru: u jednego długi muszkiet po myśliwsku na plecach, a noż za pasem; u innego dzida kozacka lub szeroki berdysz w ręku, a pistolet na pokrowcu; u wszystkich jednak, jednostajniejszych form i wymiarów szable u boku. U każdego zresztą wąs zawieszisty, jednym aż za uszy się zakręcał, drugim strzepił się pod nosem jak kolee u jeża, innym aż na pierś spływał niedbale, sroząc raczej niż zdobiąc twarz, wszystkie tęgie, bunczuczne a zuchwałe.

Miedzy tą tłuszcą rozróżniał się wszakże jeden, nie tak porządniejszą powierzchownością, jako tём, że nioś tuż za wodzem chorągiew tego hufcu, a raczej chorągiew wodza, to jest szmat czerwonej kitajki na długim drzewcu uciepiony, i złotym herbem Pruss naszyty, a ztąd wrzekomo nabierając powagi, wiertkami ruchami i szumną gadatliwością, robił sobie rum między towarzyszami, wymuszając gwałtem dla się konsyderacyę, której oni uznawać nie chcą, śmiechem zwykle jego komendę zbywali. Bo też i w rzeczy samej w ustach jego żartem się ona być zdawała, stosowniejszym do jego postaci, niż przybrana surowość i pycha. Nie gniewał się on wszakże za to niby poniewierkę, owszem gdy się rozdobruchał



i zapomniiał o swój ehoragiewnej dostojności, wesołym i rubasznym humorem, a krotofilnemi dykteryjkami, i wodza i wojsko rozśmieszał.

Niski, krępy i nieco pękaty szlachcie, w granatowej bekieszcze, niegdyś sinym karogańskim barankiem, teraz irchą odeń pozostałą obszytą; okrągłych i rumianych policzków, do dwóch połowin czerwonych jabłek podobnych, z wąsem podsiwiałym, i jak dwa sute pędzle na usta zwisłym, z niską a rogatą magierką na bakier na ogoloną głowie przysiadła, pan Jan Sebastyan Suroż, od swój nigdy niezmiennianej szaty, szlachcie *Bekieszka*, przezwany, siedział na siwym stępaku, którego do innego kroku z trudnością mógł zmusić. Długi i szeroki miecz, niestosowny na pozor do jego figury, ale którym w potrzebie zręcznie i silnie władać umiał, wisiał mu u boku i był mu całym orężem, a z olster u siodła, dwie butelki, jak kukulki z cudzego gniazda, nieśmiało wymykały szyjki.

Wódz tylko tej rzeszy przystojniejszą miał powierzchność; owszem jego ubior i uzbrojenie, wyższego w nim i możniejszego stopnia i stanu dowodziły: bo chociaż kuntusz karmazynowy mógł być dowodem długotrwałości i mocy tamtęczasowej angielskiej sajety, wszakże karbunkul gorzący w szpince u szyj, pałasz i pistolety bogato

w srebro oprawne, ostroga nawet srebrna, i dzielniejszy koń od innych, a drugi powodny u masztalerza, wszystko to odróżniało go wyraziście od rzeszy brnącej za nim, a uległej jego rotmistrzowskiej władzy, której budygan stalowy w ręku jego, był razem dowodem i godłem.

„Dźwięk!” krzyknął on z przyceiskiem, gdy wszyscy stanęli na brzegu, a brzmienie tego przysłowia dźwięk jakby łamiącej się nagle stalowej klingi wydało... Dźwięk! Mości panowie! — *Lawnego* teraz! *Lawnego!* bo mam waściom coś powiedzieć” — a czekając szyku, stanął na boku i sutego pokrecał wasa.

Kitoby natenczas spojrział z uwagą na jego oblicze, do dziś dnia w domowych rodu jego pamiętkach na portrecie zachowane, poznałby od razu męża twardój woli i silnej prawicy, a razem popędliwego i niecierpiącego najmniejszej przekory lub krzywdy animuszu lecz w dumnym uczuciu swój godności, ku wspaniałym, jeżeli nie łagodnym, skłaniać się mogącego czynom. Poznałby człowieka dobrze wybranego na wodza krnąbrnych i swawolnych w domowej wojnie, tłumów, które to popularnością jednać i pociągać, to grozą i bojaźnią kareć i powściągać należało.

Uroda słuszną i tuszą ku temu stosowną, oblicze mężkie, oko czarne i bystre, czoło szerokie

i głębokimi bruzdami od częstego marszczenia oznaczone, przy tém odezwanie się zawsze harde, rezolutne i uparte; samo nakoniec przysłowie na ostro, że tak powiem, dobrane: wszystko to tworzyło postać w tamtych nawet szermierskich czasach niepospolitą, a wywierającą około siebie wpływ i wrażenie, z zaufania razem i trwogi złożone.

I takim był Jan Dadzibog Goleń (1) Niewiadomski, Starosta Antowilski, którego czytelnikom przedstawiam, a który, ponieważ jest bohaterem mego opowiadania, przeto obszérniejszêj wymaga biografji.

(1) Goleń. — Przydomek.

III.

Rodzina Niewiadomskich, herbu Pruss, któryśmy wyszyty na chorągwi rotmistrzowskiej widzieli, w połowie XVI wieku z Wielko-Polski do Litwy się przeniosła. Pierwszy jêj tu przodek Krzysztof, Podstoli ziemi Wizkiêj, nabył obszerne dobra w powiecie niegdys Oszmiańskim, a dziś Święciańskim, położone, (1) i pojawszy w zamêjcie Rossakowskê, kasztelanê Witebskâ, był protoplastâ późniejszych pokoleń têj familji, łączącêj się tu z kolei przez małżeństwa ze znakomitemi domami Ostrouchów, Oborskich, xiążąt Giedrojców i Tyzenhauzów. Potomkiem zatêm tego Krzysztofa, był Jan Dadzibog, żyjący w czasie najscia Karola XII na tutejsze ziemie.

Krótko przedtêm, Jakób Henryk Fleming, jednając sobie przyjaciół i stronników po kraju, którego obywatelêm byê postanowił, i przekona-

(1) Żeladzie, Stracza, Polany, Wyhobniêta, Budziłki. Ostatni ten folwark i dziś jest własnoścâ potomków tego imienia.

wszy się jeszcze na elekeyi Augusta, o szerokich związkach w Litwie Niewiadomskiego, a poznawszy go osobiście i oszacowawszy trafnie jego przypadające bardzo do ówczesnego stanu kraju przymioty i wady, wyrobił dlań u króla, którego był najściślej powiernikiem, Starostwo Antowilskie, i wraz go potem rotmistrzem Oszmiańskim przypowiadzał, czém go duszą i ciałem do siebie i króla przywiązał. A wkrótce gdy najście Karola dało powód do rozdzielenia się narodu na dwie partje, Starosta Antowilski gorliwie stanął za Augustem (1) i podniosłszy swój rotmistrzowski buzdycan, wezwał szlachtę, przywykłą już na seimikach iść za głosem i wolą jego, aby się doń na obronę kraju kupiła. Zebrało się jój kilkaset, i z tym pocztę opuścił dom swój Starosta, łącząc się z jednomyślnymi z sobą braćmi i ogłaszając wszędzie konfederacyę Sandomierską, przy Auguste II zawiązaną, a wszystkich coraz pomnażających się w Litwie stronników Karola i potem Stanisława Leszczyńskiego, jako zdrajców ojczyzny, napadał i gromił; sam wzajemnie przez nich, wspartych jeszcze potęgą szwedzką, nieraz rozgromiony i do tułactwa zmuszony.

Wszakże nie go w stałej wierności zachwiał

(1) Historyczne.

nie zdołało: tracił on i na nowo wnet gromadził hufce swoich Oszmiańczuków, którzy jak pszczoły dymem poddmuchnięte, wyprowadzie rozpierzchali się w popłochu na wszystkie strony, lecz nie odlatając daleko, skupiali się też rychło około wodza, jak pszczoły około matki. Towarzysz nieodstępny starosty we wszelakię przygodzie, poczciwy Bekieszka, dobywał natenczas z kieszeni schowaną tam w niebezpieczeństwie chorągiew, zaczepiał ją na wysokości tyce, i podnosząc w górę wykrzykiwał: „Wiwat starosta Antowilski, rotmistrz Jego „Królewskiej Mości! i *Vivat Rex Augustus!* — „Wiwat” huczno powtarzała cała gromada, i szła hurmém a z dobrą ochotą, na imprezę za wodzem który skinieniem swego buzdycana, jak Eol groźném berłem wichry i burze, parł szlachtę do boju lub hamował, skupiał lub rozpraszał.

Lecz te zdolności Niewiadomskiego, którego by może wysoko wzniosły w szerszym wojennym zawodzie, wytrawiały się nędznie i tyrały dlań bez chwały, a bez widocznego publicznego pożytku, na podrzędném i mało znaczącém dowództwie ruchawki, z którą codziennie zjednoczony, uledz wzajemnie musiał wpływowi jój obyczajów i namiętności, nawyknąć do nieustannych swarów, kłótni, grabieży, przekleństw, hojek i popojek; słowem, do wszystkich hajdamackich nałogów niezgodnych

ani z urodzeniem, ani z wychowaniem jego, ale łatwo się uczepiających w sposobnych okolicznościach, do charakterów z przyrodzenia popędliwych, ku panowaniu nad sobą i hamowaniu się nie łatwych. Trwając tak upornie przy swoim, nawet gdy zwycięstwa Szweda i abdykacya Augusta wszelką jego stronnikom odbierać zdawały się nadzieję, Starosta Antowilski doczekał nareszcie pomysłu nowiny, która nagle się po kraju rozniosła, klęski Półtawskiej i ucieczki Karola do Turcyi, a razem powrotu na tron Augusta: postanowił więc nawiedzić dom swój po długiej nieobecności, odprowadzając razem i rozsadzając po zagrodowych grzędach, szlachtę napuszoną cudzym tryumfem. Resztę jęj właśnie nad brzegiem Wilji, od głównej swęj rezydencyi Budzilek, w miejscu w którym ją przebywał, o mil parę odległęj, pożegnać postanowiwszy, przebrnął rzekę i — Ławnego! zakomenderował.



IV.

Ławnego! powtórzył Bekieszka, Ławnego! pobudzając obu piętami stępaka swego do wyskoku naprzód, a wysuwając chorągiew horyzontalnie dla wskazania dyrekcyi i wyrównania frontu.

Ale ten manewr zupełnie przeciwny zamiarowi sprawił skutek; bo chorągwią spłoszone konie, to się wspinać, to cofać poczęły, i kilku jeźdźców nie dbale oklepanych na siodłach szwankowało.... Śmiechy i przekleństwa razem się rozległy, a zamiast szyku niesforna stała się mieszanina.

— A won do diabła! z tą twoją komendą, krzyknęło wielu.

— Cicho! cicho! Ławnego! bo *dam guza, dam tynfę!* (1) krzyknął najeżywszy wasy Bekieszka.

— Tynfa nie masz, a guza dostaniesz, gdy ko-

(1) Dawne junaackie przysłowie.

nie straszyc będziesz — odezwał się któryś — czy my głusi? wszak słyszym rozkaz JW. Rotmistrza, uszykujem się i bez ciebie. Czy to pierwszy raz?

— Pan Starosta prowadzi regiment! i nam kredensuje, a ja trzymam regulamin! Znaj służbę aż do końca! odpowiadał Bekieszka, nieprzystając uwijać się między drużyną.

Nakoniec jako tako wyformowała się linia; a wtenczas wyjechał on naprzód, podniósł chorągiew, i uroczystym głosem zawołał: — Jaśnie wielmożny Rotmistrzu dobrodzieju, czekamy ordynansu pańskiego!

Starosta pokręcił wężą, spójrział po szeregu i zawołał: — No, moi panowie i bracia! Szweda djabli wzięli!

— Piotr zjadł go w kaszy!... przerwał Bekieszka, nie mogąc zatrzymać konceptu.

— Milez waszcć! krzyknął Starosta zniecierpliwiony — Djabli wzięli Karola z naszego kraju, mówił dalej, i już nie wróci się....

— *Quis scit za górą?* panie Rotmistrzu! wtracił znowu Bekieszka, kręcąc głową,

Zmarszczył się tylko wódz na te słowa, ale na nie nieczwazał, bo do nich i do kilku innych przypomówisk swego chorążego, które on do okoliczności miał zawsze w pogotowiu, przywykł. Gdy się na przykład ostróżnie zbliżano ku niebezpieczeństwu,

Bekieszka nie zaniedbał, jako strategiczną prześrogię, szepnąć na ucho wodzowi swemu: „Panie „Rotmistrzu, *quis scit co za górą?*” a gdy przychodziło do okazji, szepnął znowu jako *Consilium bellicum*: „Panie Rotmistrzu, nie staw nas przy „lesie, bo to rzecz łakoma” — inne też w ciągu powieści naszej nieraz z ust jego posłyszemy.

— Król pan nasz miłościwy August II-gi — mówił dalej Starosta, — powracę do nas, i *spero* że wierne i stałe nasze, a krwią pisane zasługi, hojnie wynagrodzi, wczem ja panom braciom moim, poręcznikiem jestem i będę — *Feliciora* zatem dzięki Bogu następują *tempora!* a odpocząwszy po trudach marsowych....

— Oj prawda! przerwał znowu Bekieszka, trudy Marcowe dały się nam djabelnie we znaki!!! *Fallax fortuna fefellit!* (1), tułaliśmy się natenczas i włóczyli jak cygany, a brnęli po wodach i błotach jak czaple.

— A odpocząwszy po trudach wojennych — kontynuował Starosta, uśmiechnąwszy się tylko, zamawiam affekta panów braci do usług publicznych na sejmikach, i *dziwek* znowu moi panowie!!! A tym czasem kto łaskaw odprowadzić rotmistrza swego w domowe progi, *humillime* su-

(1) Falszywa fortuna zdradziła.

plikuję; bo zawsze wrota i serce moje dla was otwarte!

— Wszysey! wszysey! *Vivat* nasz rotmistrz! *Vivat*!

Bekieszka na ten tryumf, wykręcił kilka razy, jakby mistrz jakiego cechu choragwią, i rzekł do Starosty: — a czy nie wypadaloby panie dobrodzieju ogrzać się po tój zimnej wannie kordyatem, bo *quis scit co za górą?*

— Dobrze; ale twoich pistoletów nie wystarczy dla wszystkich.

Jest jeszcze hlak u Hreczyny, a w jukach pańskich, puzdro z szczęcią flaszami pełnemi jak rybie oko. Wbił zatém w ziemię swą choragiew, i dostawszy wszystkie zapasy, podał Staroście flasze i czarę srebrzystą z puzdra razem wyjętą.

— Za zdrowie waszmościów moich wielce możciwych panów i braci *Vivat!* zawołał Starosta — w ręce twoje panie Sebastyanie! Podniósł czarę nad głowę, potem ją wychylił duszkiem.

Znowu zabrzmiało huczne *Vivat!* i kilkanaście wystrzałów rozbiło się szerokiém echem po Wilji.

Gdy z rąk Starosty przyjął czarę pan Sebastyan, a ten mu ją nalewał — do... do... do... wykrzyknął on szybko. Starosta uśmiechnął się znowu, bo znał zwyczaj Bekieszki, który przy każdym nalanu sobie trunku zwykł powtarzać te trzy sylła-

by do... do... do... mając osobne do okoliczności zakończenie. Gdy naprzykład zwiedziony czy skąpy nalewający, zatrzymał się w połowie kielicha na tym jego wykrzyku, on do ostatniego do... przydawał — lej! A gdy przeciwnie hojny towarzysz przelewał aż za brzegi, on przypinał syć...

Ileż to ludzi w codziennych okolicznościach życia, mają podobnie jak Bekieszka na pogotowiu słowo takiego przeciętego składu, dla dokończenia stosownie do potrzeby.

Gdy kolej uweselona wykrzykami i wystrzałami z muszkietów obeszała, Bekieszka wyrwał swój sztandar z ziemi i podniosłszy go zawołał: „Teraz mości panowie marsz.”

Przebywszy kilka pól i dyrwanów, stanął hufiec na drodze prowadzącej już wprost do dóbr Starosty. Na prawo ukazały się Żodziszki i obszerne tam jezuickie mury. — Oj! Oj! na ich widok zawołał Suroż: *Infima! Syntaxima!* Oj! Oj! wołałbym z zawziętym Szwedem mieć do czynienia, aniżeli z xiędzem Hinczą professorem Syntaxy-my: — *Disce! disce!* a bił jak po desce, może on jeszcze i żyje, bo przed naszą wyprawą żył i czerstwo się trzymał. Mądra to pałka! bywało, kto oracyę najlepszą napisze? X. Hincza, kto palnie kazanie na jakie uroczyste święto? X. Hincza —

kto djałog ułóży na Sw. Ignacy? X. Hincza. — Raz przyjechał do nas *insperate* x. prowincyał; respektem jego, uwolniono nas od lekey i wielki w klasztorze wyprawiono festyn; a nazywał się on *Pater Baver*.

Cóż robi X. Hincza? Nakleja wielkie ramy papierem woskowanym, zrobiło się to przezroczyste jak szkło, zawiesza je na wysokich dragach, ostawia jedlinką i odarnuje to wszystko misternie w ogrodzie klasztornym, jakby ołtarz jaki.... Więc wyprowadzają tam wieczorem z wielką assystencyą i apparencyą x. prowincyała..... a w tym X. Hincza zapala z kopę lamp, które za tym swoim ołtarzem ponatykał.... Zaświeciło powiadam waszmościom, jak na rezurekeyi.... i cud! cóż waszmoście na to powiecie? czytamy wszysey jak na dłoni na woskowym papierze:

Vivat nasz Xiądz Prowincyał *Baver*!

Nie darmo mówią — *Piper et papaver!!!* (1).

A tu xiądz rektor z kielichem pełnym (2) Batorego w ręku, jak zaintonował: „*Plurimos annos*,” a za nim jak huknie w jeden głos cały konwent: „*Plurimos annos! Plurimos annos!*” to powiedziałbyś, że kilkadziesiąt dzwonów razem rycza-

(1) Pieprz i mak.

(2) O miodzie jezuickim nazwanym *Batoryn* — czytać Obrazy Litewskie Seria 2ga, *Brzezi Wilji*.

ło... my zaś malce, ucieszeni tą paradą, jak sygnaturki skacząc koło nich: *piper et papaver! piper et papaver!* wołaliśmy.

—Więc to waszmość, przerwał któryś z gromady, aż od tego czasu powtarzasz nie raz ten *piper et papaver!*

—Naturalnie, nie mogłem zapomnieć tak pięknej sonaneyi tych słów.... Ale cóż? kiedy ten sam X. Hincza nadto gorliwie popędzał rozum do głowy swoich dyscypułow, a łacinę wbijał w nas, jak tępe ćwieki do głowy, ... więc nie dotrzymałem placu i uciekłem z Żodziszek i od pana ojca, bo onby mnie pewnie, dawszy bolesną admonicyę, odwiózł nazad pod gorszą jeszcze ferulę X. Hinczy.

Już to dawno minęło, a jednak i teraz gdy się mi zdarzy obaczyć choć z daleka Żodziszki, albo samego patra professora Syntaxymy, zawsze dreszcz mi przechodzi po skórze, i zdaje się, że on mię wraz uchwyci jak zbiega, i łacinę do głowy popędzać będzie.... Nie dawno przyszło mi się, że on stoi nade mną z dyscypliną i krzyczy *disce! disce!*... porwałem się do pałasza, ale on jak machnął swoją rzemienną bronią, tak przeciął mój pałasz jakby klinga z masła była: ja w nogi, on za mną. Obudziłem się przecie, cały w potach — pytałem się u ludzi starych, a nawet u bab, Boże odpusć, co by ten sen znaczył? Wszysey zgo-

dnie tłómaczą, że jeszcze z Jezuitami będę miał jakąś sprawkę, i że na końcu oni mnie wezmą jak swego. Pięknie! gdybym teraz znowu musiał wrócić do Syntaxymy; ale *quis scit* co za górą? bo żyje jeszcze X. Hineza, a ja mu ostatniej pensy nie wydałem.

— Mają i ze mną Jezuici jakąś tam dyferencyę, rzekł Starosta, ale dotąd nie przyszło do formalnej rozprawy; powiadają, że aż pod same Budziłki, granicę prowadzić chcą.... Woźnemu, który mi pozwy ich przynosił, uszy obiecałem; zapłaciłem mu potem, bo się upokorzył i miał czém polatać głowę; tym czasem wojna przerwała te tam ich dukta, któreby pewnie pomieszał i prowadzących przepędził gdzie pieprz rośnie.... Ale tém bardziej teraz nie życzyłbym lojolińcom rozpoczynać na nowo ze mną grę.... *Diwęk!* nie na to służyłem królowi i ojezyźnie pałaszem, aby mię kropidłem z mego gniazda wystraszano....

— *Quis scit* co za górą panie rotmistrzu.

— Milcz do stu lucyperów, ze swoim: *Quis scit*. *Ego scio*, że za górą Budziłki.... klusem więc panowie bracia! zawołał z humorem starosta; — blisko już jesteście domu, a tam koniki waszmościów staną nad żłobami pełnymi owsa.

— Jakoż przypuściwszy koni, wkrótce wjechali na wzgórze. Nagle tam stanął starosta... jakby

skamieniał!... przy nim wstrzymał także konia Bekieszka i za nim wszyscy... i wszyscy w jedno miejsce wzrok zdziwiony utkwili....

— *Diwęk!* wykrzyknął nakoniec nadzwyczajnym głosem i z nadzwyczajnym przyeiskiem starosta, Budziłek niema! kominy tylko stoją okopcone.— Cóż się to znaczy?

— A ja mówiłem: *Quis scit* co za górą? rzekł poruszając głową Bekieszka.

Starosta przypuścił konia, i cała za nim gromada w jednej chwili była na miejscu, gdzie stał nie dawno dwór znakomity, jaki możnemu dziedzicowi mieć przystawało; a teraz rozległy się obszerne popieliska, opalone drewna i belki; i stały otworem paszcze piwnie z zapadłemi sklepieniami, nad niemi kilka wielkich popękanych kominów... a nigdzie ducha żywego!... Starosta zsiadł z konia, puścił go swobodnie; a rumak nie odstępował pana, zarżał tylko jakby na pustyni, i niecierpliwym kopytem popiół i żuźle rozmiatał. Wszyscy w milezeniu i smutni pozsiadali z koni; tłuszcę tę przed chwilą wesolą i hałaśliwą, jakbyś morem owionął... a Starosta stał zamyślny z oczami błakającemi się po pogorzelisku... — Dom który tu stał, rzekł nakoniec westchnawszy głęboko, i to był jedyny znak wzruszenia jego hartownej duszy,— zbudował pradziad mój Krzy-

sztos, a prawnuk dziś chodzi po ruinach i zgłiszczach.... Któż mu tę roszkosh sprawił?... Cha! cha! cha! Sapieżynce zapewne (1), bo wątpię żeby Szwed aż tu doszedł.... a gdyby i doszedł, któżby im powiedział, że tu mieszka nieprzyjaciół ich króla?...

— Stój panie starosto dobrodzieju, przerwał Bekieszka. Nie przysięgaj, nie zaklinaj się; nie czyni tak strasznego *votum*, nim się nie dowiesz, kto temu winien? a nuż darmo przeklniesz i Sapiechów i sam siebie. Niech Bóg tego broni, bo „*nie darmo mówią piper et papaver!*” i może być za to, szalony *piper* na tamtym świecie.

— Słusznie mówisz panie Sebastyanie, choć za długo, odpowiedział ochłonięty nieco Starosta — panowie bracia! puście tym czasem konie swoje na ten ogród opuszczony; pięknie jak widzicie trawa porośla. A ty panie Sebastyanie pojedź do wsi, która jak wiesz, tuż za laskiem tym, moim jakby *wirydarem*, w którym nieraz z tobą biliśmy lisy i zajace, i przyprowadź tu jakiego chłopka, abyśmy przecie się obaczyli cokolwiek, i powzięli wiadomości o tym pożarze, a potem radzić sobie będziemy. — Bekieszka zabierał się do odjazdu, gdy szlachcie któryś wprowadziwszy konia do ogrodu

(1) Sapiehowie byli partyi szwedzkiej.

zawołał: stójcie panowie. Świeży dzisiejszy pokos, rosa z niego jeszcze nie oschła, i kosa nawet leży. Widać chłop uciekł, postrzegłszy nas, ale głupie chłopisko, zostawił ślad na wysokiej i wilgotnej trawie; idźmy tym śladem, to go wytropim jak łosia, wlaź tu pewno gdzieś w szpalery i siedzi.

Szlacie zgadł, bo śladem idąc, trafili pod starożytną i gęstemi gałęziami porośłą lipę, tam trop się zgubił, ale kryjący się na lipie chłopak wyrostek się znalazł.

— A otoż i ptak, krzyknęli. — No zleż chłopie, bo cię z muszkietu zsadzę jak szpaka, zawołał któryś.

Zlął więc biedny, a drżący ze strachu, dwudziesto blisko letni chłopiec, i pierwszemu szlachcicowi, jak długi padł do nóg.

Ośmielono go więc łagodniejszymi słowy i przyprowadzono przed Starostę; poznał go łatwo chłopiec, bo będąc z bliskiej wsi pode dworem, często widywał pana; zatem uspokojony całował mu ręce i klaskał we własne radośnie, bo mimo popędliwości swojej, Starosta obyczajem przodków naszych, dobrym był, przystępnym i łagodnym dla swoich włościan.

— A pociż uciekał od nas? zapytał Starosta.

— Bo rozumiałem miłościwy panie że wracają

ei, którzy pałac pański i cały dwór zrabowali, a potem spalili.

— A któż to byli oni?

— Ja nie wiem; ojciec powiada, że i Szwedy konfederaty razem.

— A czemuście przynajmniej pożaru nie gasili?

— Oho! miłościwy panie, my wszyscy byli z całą chudobą i dobytkiem w lesie na tabunie, a w wiosce ani żadnego boskiego stworzenia; i pańskie koniki i bydelko było razem, i dla tego chwiała Bogu uchowało się.

— A gdzież ono teraz? gdzie dyspozytor Huszcza?

— Bydelko u nas po chatach na paszy, a pan Huszcza bodaj w Straczy czy w Żeladziu, bo i z Wyholenietami toż samo zrobiło się, co i z naszym dworem.

Starosta wzdrygnął się, jakby go wąż ukąsił, lecz to wzruszenie mgieniem oka, przeszło bez śladu, i zapytał spokojnie.

— Jakże to kaplica w ogrodzie ocalała się, bo w rzeczy samej, jedna stała ona, wśród powszechniej ruiny.

— A miłościwy panie, to cud boski — stara Magda, która i teraz siedzi co niedziela w Żodziszkach pod kościołem, włócząc się wszędzie, była natenczas i tu, gdy napadli te bezbożniki;

wszyscy dwornicy uciekli, a ona została się, i nie jej złego nie zrobili, a nawet kilka groszy dali jej *wielmożnego*. Ona na własne oczy widziała i każdemu opowiada, jak obdarłszy wprzód zupełnie ołtarz święty, nieśli oni po kilka razy głównie, i podkładali pod kaplicę, ale nie doczekali zapalić! nie! Sciany nie zajmowały się, a głównie gasły, jakby je kto zalewał, to przelękli się sami, i odstąpili nagle od domu bożego.... (1)

Hurmem rzuciła się szlachta po tém opowiadaniu do kaplicy. Otwarta na wścieżaj i opustoszo-
na, a widoczne były około niej ślady podkładanego ognia, czém jeszcze bardziej zdziwieni i przekonani, wszyscy upadli na kolana, przed wizerunkiem Chrystusa ukrzyżowanego, malowanym na ścianie nad ołtarzem, z którego obraz główny, i wszelkie ozdoby odarto. Bekieszka zaś czyniąc się promotorem nabożeństwa zawołał: — *Litania ad sanctam Mariam Virginem* — „*Kirie Eleyson!*”

— A kiedy tu nie ma obzaju Najświętszej Panny, odezwał się któryś.

— Mielez trutniu! rzekł Bekieszka, gdzie jest syn, tam jest i matka.

„*Sancta Dei Genitrix!*”

— *Ora pro nobis!* Odpowiedział Starosta, a za

(1) Miejscowe podanie.

nim wszyscy, i zmówili pobożnie litanie, którą Suroż od *synłaxymy* jeszcze umiał na pamięć.

Gdy wyszli z kaplicy, Starosta rzekł:— panowie bracia! pomodliliśmy się i lżej na sercu....

— Cóż robić? stało się! Starosta Antowilski bez dachu nie będzie, pod którym chleb i sol dla przyjaciół jeszcze się znajdzie.... a tym czasem, i sami i konie wasze potrzebują wypoczynku.— Ponieważ, jak mówi ten chłopiec, krówki moje jeszcze się zostały i są tu blisko po wioskach, więc panie Sebastyanie, prowadź tam braci; rosta-sujecie się swobodnie; jedną, drugą i trzecią jałowicę *Dżugę* i pieczenie gotowe. Siano w odrynach dwornych być musi, owsa dadzą chłopki na dziakło. Wódeczka i miodek znajduje się w Żodziszkach, a masz moją podróżną kasę u siebie w kieszeni panie Sebastyanie, więc użyjcie wezasu panowie bracia ile się wam podoba.— Ja pojedę do Dobrowlan, do mojego przyjaciela Xcia Sanguszki (1), on siedział w domu spokojnie przez cały czas naszych rozruchów, i wie zapewne, kto mi ten fajerwerk wyprawił.... Ale was nie żegnam, bo czy do korda *pro salutem patriae*, czy jakiemu Sapieżyńcowi wypadnie dać guza, dać *tynsę*! jak mówi

(1) Dobrowlany, dziś Graffa Günthera, należały wówczas do książąt Sanguszków.

nasz chorąży, zawsze panowie bracia, rzekł tu z zapalem podnosząc buzdycan w górę— *Stemus simul* (1). Ja z wami, — wy ze mną! *Et porta inferi non prevalebunt!* (2).— Dźwięk *Vivat* nasz Rotmistrz kochany! *Vivat* Starosta antowilski! wykrzyknięto jeszcze raz na rozstaniu.

Po tej perorze pożegnalnej, ale treścią i dobitnością słowa, najwłaściwszej ku zjednaniu zapalu i nieograniczonego zaufania szlachty, a dowodzącej, że starosta znał dobrze tajemnicę takiej wymowy i humoru słuchaczy, odjechał drogą ku Dobrowlanom, a Bekieszka dosiadłszy swego stepaka, rozwinął chorągiew.

— A to na co teraz panie Sebastyanie? zapytano. Wojna nasza skończona.

— Dla ostentacyi i honoru JW. Starosty, gdy będziemy wchodzić do wsi jego, a *Quis scit* co za górą? Za mną zatem moi panowie.

(1) Stójmy razem!

(2) A bramy piekielne nie zwyciężą nas.

V.

Kraj jak morze po przejściu burzy uspakajał się powoli... partye, jak fale, przed chwilą wależące z sobą, rozlewając się teraz w coraz szersze tonie, gładziły te ruchome przestrzenie....

Na ziemi naszej okrutne ślady wojny i spustoszenia, znikwały zawsze prędzej niżeli gdziekolwiek. Na popieliskach wsiów i dworów, gdy rychło odbudowanymi być nie mogły, rozciągały się natychmiast łany bujnych i gęstych zboż naszych litewskich, pokrywając jakby pięknymi kobiercami zgliszcza i mogiły:

„O jak tu grzmiało straszliwie!
A jaka cisza w tej porze!
Gdzie krew przyskała po niwie,
Trzoda igra... rolnik orze... (1).

I rolnik zawracał skibą ruiny, rozdrabiał na proch urodzajny reszty piecowisk i cegieł, których gdzieś niedawno dobyte dzisiaj pługiem ułamki, udowodniają tylko wątpliwe podania, o istnieniu niegdyś na tym miejscu siedlisk ludzkich.

(1) Piosnka dawna — A. G.

Tak nikły powoli i ślady szwedzkich tu zagónów; rolnik upewniony, że one przeszły i już nie wróca, dobywał z ziemi swoje w niej ukryte zapasy zboża, spędzał z głębi lasów trzody i koniki, krzątał się około swjej chudoby i gospodarki, krzepiąc się nadzieją spokojnego nadal użycia pól swjej pracy. Panowie ośmieleni powszechnym przebaczeniem, ogłoszonym przez powróconego Augusta, wracali także do swych pustych pałaców, i do zwyczajnego pańskiego życia; chłopki zwozili tam skrzynie i kufrы ze sprzętami i bogactwami wiernym ich rękom do schowu powierzonymi, szlachta gnieździła się znowu po dworach i dworach, a domy Boże zabrzmiały na nowo chwałą jego.

Pan starosta antowilski, najuprzejmiej przyjęty przez xięcia Sanguszkę (1) i kilka tygodni w Dobrowlanach przebawiwszy, jesień całą i następną zimę przepędził w podróżach. Był on w Warszawie i wrócił ztamtąd upewniony o względach i wdzięczności króla, a o życzliwości, przyjaźni i protekcji Fleminga. Starosta nie tał się nawet z tem zjednaniem sobie ministra, owszem tak w pogroźkach na nieprzyjaciół swoich, którzy mu, jak on

(1) Wszystko co się tu pisze o związkach przyjaźni Niewiadomskiego z Sanguszką, jest prawdziwe i z pamiętników dawnych wzięte.

mníemał, Szwedów na Budziłki naprowadzili, jako i w obcięankach dla przyjaciół, zwłaszcza gdy się kielichem gniew jego i zuchwałość, lub szczerłość i przychylnosc podniecały, nie omieszkał nigdy, pochwalić się z przyjaźnią ministra ubezpieczając go w groźnych przedsięwzięciach i zamiarach, lub mając otworzyć jemu hojną rękę monarchy. Jednało mu to wprawdzie coraz większą konsydera-cję między łatwowierną szlachtą, lecz go w tém większą dumę i zarozumiałość wznosiło.

Wiosna znowu nadeszła, i Starosta z Autowila (1), gdzie ciąglą swą założył rezydencję, odwiedził swego przyjaciela w Dobrowlanach.

Dnia pewnego, xiążę gospodarz domu, zaproponował gościowi wspólną przejazdkę do Budziłek o mil parę odległych, a w których on od owęj fatalnej chwili swego tam przybycia, nie postął i o których wspominać nawet nie lubił, bo wspomnienie to drażniło go nienawiścią dla podpalaczy, nie zemszczoną a zatém i nieostygłą.

— Pocóż tam pojedziemy xiążę? rzekł starosta wzruszony. Na pogorzeliśku, nie będę mógł, ani gdzie, ani czém, przyjąć cię.

(1) Majątek pod Wilnem, dziś należący do pana Radziszewskiego.

— Nie idzie o przyjęcie mój starosto, chce mi się, prawdę mówiąc, popolować w twoim tam wirydarzu, a gdzieśmy dawniej lisów bijali.... héj kochany bracie, dodał xiążę uderzając go lekko po ramieniu; pokój chwała Bogu w ojczyźnie!.... użyjmyż go.... Po niefortunnej fortunna nastąpiła alternata.... a nadto zapomniałem cię przestrziedz, że Jezuici Żodzisey zabierają się z tobą do prawa *Circa granicierum*, i bodaj po ten twój wirydarz sięgają; nie dajmyż im przynajmniej zwierzyny w nim będącej....

— Co?... Co xiążę? po mój gaj?... po mój wirydarz?... wymawiając to coraz z mocniejszym przyciskiem, czerwienił się coraz mocniej— i znowu po krótkiej pauzie— Dźwięk! Dźwięk!... wymówił stłumionym i ledwo przez zwarte usta przeciskającym się głosem.... a jednak xiążę aż się przelakł, rzuciwszy okiem na twarz jego....

— Szwedzi spalili dwór.... a Jezuici zabiorą ziemię— mruczał dalej z cicha a zapamiętale. Dźwięk!

Uspokój się starosto, przemówił wreszcie xiążę, postaram się, jako twój prawdziwy a dawny przyjaciel, załatwić ten interes *per viam mediationis*. . . (1).

— Nie xiążę— nie nietrzeba więcć, tylko wza-

(1) Drogą pośrednictwa.

jemnie przestrzeż ich xiąże, że ktokolwiek z nich stąpi nogą napastnie na moją ziemię, już ta noga głowy całej do klasztoru nie odniesie... Niech się popytają woźnego, który mi niegdyś pozew od nich podawał, gdzie jego uszy?... A choćby to był sam generał ich zakonu, nie tylko x. rektor Żodziński, to jednak cały nie ujdzie!!... i że daje im na to słowo, Jan Dadzigog Goleń Niewiadomski, Starosta antowilski.— *Verbum* xiąże! i to mówiąc ujął prawicę Sanguszki, a wstrząsając ją mocno— *Verrrrbum!* powtórzył.

Przypomni sobie czytelnik całą opisaną wyżej postać starosty, a wnet wyobraz i straszliwość jej w tej chwili.

— Dość tego — rzekł Sanguszko, popsuliśmy sobie humor niepotrzebnie.... jedźmy do Budzilek: kazałem łowczemu, aby od świtu ciągnął z myślistwem w tamte strony; uderzym w trąbkę po drodze, to się całe skupi około nas, i pociągniemy do twojego wirydarza; spolujem go dziś, a jutro dalsze wszystkie twoje knieje i jezuickie, za to, że nam na chwilę humor zepsuli.

— Jak to xiąże? rzekł znowu starosta, jutro? a gdzież nocować będziemy? pod gołym niebem? dla mnie, to mniejsza, więcej się pod takim dachem nocy z bracią szlachtą pokotem przespało nie

dawno, niżeli w wygodnych komnatach, ale xiąże do tego nieprzywykłeś.

— Owszem *Mi Amice!* przeto żem nie wojował, masz mię za piecucha a wszakżem myśliwy *re et nomine* (1); wiem zatém z doświadczenia, że po fatygach całodziennych, tak dobrze się śpi na trawie, czy łąwie, jakby i na pierzynie. Zapasów zaś na gębę, pełne torby u moich myśliwych; nie troszczę się więc o nie, i na koń starosto! A może Najświętsza Panna, która cudem obroniła się od pożaru, równaż łaską swoją zdarzy namjaki niespodziany przytułek w twojem starożytném gnieździe?

Starosta pokiwał głową, a jednak oba dosiedli koni i z kilku dworzanami ruszyli w pole.

(1) Rzeczą i imieniem.

VI.

Ranek piękny majowy, wesołe okolice w których się zhodował, tam i ówdzie odzywające się trąbki i strzały, rzenie dziarskich koni, cały ruch i swoboda myśliwskiej ochoty, przypominającej tak żywo wojenne obróty i życie, rozwiały zasępienie starosty, z którym się na te odwiedziny do siebie samego wybierał, i uspokoiły wzburzoną cholerę na przeciw Jezuitom; oddał się więc rzeźwo zabawie i hasał z xięciem po błoniach.

W połowie drogi spotkał ich Bekieszka. Po rozpuszczeniu ruchawki, Bekieszka został przy staroście, a raczój w dobrach jego, *per modum* rządcy, *per modum* rezydenta, i *per modum* pośrednika między panem i ekonomami; pędził więc żywot pożytecznie wprowadzie dla swego pryncypała, do którego jakieśmy to już powiedzieli, duszą i ciałem był przywiązany, ależ wygodnie i dla siebie; bo na łonie obfitości darów Bożych, jakimi spiżarnia każdej pani dyspozytorowej napelniona zwykle bywa, w folwarkach zwłaszcza gdzie dziedzic nie

miewa rezydenci. A za toż wieczorem przy słodkim krupniczku, jakże długo i pięknie opowiadał on otaczającej, go z natężoną uwagą domowej gawiedzi, o cudach swój waleczności, mężtwie w boju, mądrości w radach; lubo wiemy jaką jednostajną zawsze przestrogą rotmistrzowi udzieloną, ta mądrość się objawiała: o rozmaitych dziwniejszych jedno nad drugie zdarzeniach i wypadkach przeszłej wojny.... O inkluzie (1) Karola szwedzkiego, i tym podobne.

Ze starostą widywał się on rzadko; podwoził mu czasem do Antowila suplement z intrat, bardzo uszczuplonych po wojnie; zdawał rapport z administracyi folwarków, którego starosta nie słuchał; przechwalał się ze swojej gorliwości i pracy, na co się starosta uśmiechał, a jednak mu dziękował; i wracał truchtem na swym bojowym niegdyś koniku, na spokojne leże i ekonomskie specyały.

Gdy podjeżdżał do myśliwych Bekieszka, zsiadł z konia, uwiązał go u brzeziny i szedł pieszo do zbliżających się ku niemu xięcia i starosty, i z niskim pokłonem u strzemięcia każdego z nich, wymówiwszy: — *humillimus* JW. Starosty! *humillimus* Xięcia Pana! uściskał oburącz, podane mu uprzejmie przez obudwóch, prawice.

(1) Patrz przypisy.

Wśród tego powitania, xiążę, mrugnięciem niedostrzeżonemu przez starostę, dał znak porozumienia Bekieszcze, na który on równymże odpowiedział.

— Zkądże to panie Sebastyianie? zapytał Starosta:

— Właściem zrana objeżdżał pola pańskie w Budziłkach, gdym posłyszał głos trąbki: *Quis scit* co za górą? rzekłem sobie, i zwróciłem się w tę stronę; wkrótce spotkałem znajomych myśliwych xięcia, którzy zwiastowali mi szczęśliwą nowinę prezencyi tu pańskiej, i że się zbliżasz *ad fundum* Budziłek; więc jako wierny sługa, na przyjecie *adsum*; (1).

Bekieszka po tej perorze spójrział na xięcia, jakby zapytując, czy dobrze się zastosował do projektów jego, a potem na starostę, pobudzając go jakby do chluby przed xięciem z tak rozumnego sługi.

— Prowadźże nas panie bracie, rzekł znowu starosta, do tego fundum, z fundamentu zniszczonego, w którym się zachciało xięciu polować.

Pan Sebastyan na ten rozkaz dosiadł konia i czwałem popędził naprzód, a xiążę skoczył na bok w knieje.

(1) Przybywam.

Zwrót polowania tak zaprowadził myślistwo, że się zbliżono do Budziłek z tej samej strony, z której przed kilkonastą miesiącami, Starosta na czele swego hufcu, tamże przybywał.

Na ten więc sam wzgórek, z którego natenczas kominy tylko swojego spalonego domu postrzegł, gdy teraz znowu wjechał.... nagle jako i wtenczas osadził konia.... i osłupiał....

Dom nowy stał na zgłiszczach dawnego; zniszczenia śladu nie było, wszystkie inne budowy w dawnym kształcie i miejscu; wszystko razem z ogrodem pięknymi sztachetami objęte, a kaplica dachem z miedzi błyszczała. Liczna służba krząta się po dziedzińcu i z komina kuchennego na bankiet się kurzyło.

Zadumienie Starosty, przerwało huczne pojezdne, w kilkanaście razem trąbek, za zbliżającym się na czele całego myślistwa xięciem, brzmiające.... a na to hasło, Bekieszka we dworze rozpoczął salwę z kilku moździerzy.

Odgadł wtenczas Starosta i przyczynę upartej woli xięcia bytności w Budziłkach, i że jemu winien jest ten niespodziany a pański prawdziwie podarek i dowód przyjaźni (1); zsiadł więc z konia

(1) Odbudowanie domu przez Sanguszkę, jest prawdziwem, domowa tradycja Niewiadomskich o tem zapewnia.

i biegł do Sanguszki, który skoczył również na ziemię, i przyjął go w otwarte ręce.

Uściśnienia czule dwóch przyjaciół, trwały chwilkę, i łzami im powlekły żrenice— Xiąże! rzekł nakoniec Starosta, czemuż ci odwziedzę?

— Za przysługę zresztą nie nie znaczącą, a nagrodzoną mi stokrotnie twém szczérém uściśnieniem, i ukontentowaniem jakim sam się cieszę, że mi to wszystko wybornie się udało, wdzięczności mi żadnej nie winienes, lecz chcesz kochany Starosto, dać mi wzajemnej dowód twój przyjaźni?

— Mów xiąże! mów! *sic volo sic jubeo* (1) a ja gotów....

Nie Starosto, przerwał Sanguszko— *Sic rogo! sic Deus jubet!*... (2). Na tym wzgórku obaczywszy raz pierwszy pogorzelisko twego domu, zaprzysiągłeś w duszy, jak mi powiadałeś, że wysłedzisz rękę, która pod twój dach pożogę wniosła, i że się zemścisz.... Na tém więc samém wzgórzu, z którego twój dom stojącym znowu widzisz, daj mi słowo rycerskie, szlacheckie i chrześcijańskie, że zemsty się odrzekasz, że poszukiwać nawet nie będziesz sprawców téj nieludzkiej swawoli.

— Dzwęk! moiści xiąże; tego rozkazu niespodzian byłem....

(1) Tak chcę— tak każe.

(2) Tak proszę... a tak Bóg każe.

— I jakiegoż innego spodziewać się mogłeś starosto, od człowieka katolickiego, który codziennie mówi: „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”... Wreszcie główny winowajca i sprawca nieszczęść naszych, przypłacił swą zgubą za klęski kraju naszego... wszystko się uspakaja chwała Bogu i godzi. Król przebaczył wspaniale wszystkim... Tyż jeden tylko...

— Dość xiąże! dość! przerwał wzruszony Starosta.— Niech tak będzie jak ty chcesz. Oto moja ręka.... zapominam wszystkiego.

— A ja,— rzekł znowu Sanguszko, złączywszy własną, z podaną sobie starosty prawicą,— nie zapomnę nigdy téj chwili... „*Magna victoria non tam alios, quam se ipsum pervicisse*“ (1), ty więc starosto wiktoryzujesz teraz najpiękniej, a głos prawdziwego przyjaciela, był ci w sekundzie!

„*Eloquentia cum amicitia juncta*“... (2). Tu starosta pragnący równaż sentencją zakończyć te solenne ekswisceracye, zaciął się.... pamięć żołnierska w łacinie zawiodła: xiąże więc kończąc,— *sunt bona duo puncta*, rzekł; i oba znowu się serdecznie uściśnęli; a trąbki wesoło grały bez ustanku, a Bekieszka bez ustanku palił z moździerzy.

(1) Wielkie zwycięstwo, nie tak innych, jak siebie zwyciężyć.

(2) Wymowa z przyjaźnią złączona.

VII.

Ze wzgórką dwaj pryncypały zeszli do nowego dworu Budzilek; tam przy sutym myśliwskim śniadaniu, Starosta miał co krok powody dziękowania Xięciu; potem dalsze poszło polowanie i przeciągnęło się do zachodu słońca.

Nakoniec Sanguszko pożegnał starostę — chciałem, rzekł on, dziś koniecznie instalować cię w Budzilkach, bo jutro wyjechać muszę na kilka miesięcy do dóbr moich w Krakowskie, i bodaj aż na zimowe wrócę obławy. Więc z dobrą myślą żegnaj cię, a bodajbym z równą tu cię powitał!...

Deus te ducat, et reducat! (1) odpowiedział Starosta, i rozłączyli się dwaj przyjaciele, w zamiarze obaczenia się znowu tu.... a w przeznaczeniu gdzie? — to obaczemy.

Starosta rozgospodarzwszy się w fortunie jakby nowo nabytą, im bardziej był ją wprzód zaniedbał, tém teraz coraz bardziej do niej się przy-

(1) Bóg niech cię prowadzi, i odprowadzi.

wiązywał; lecz samotność ciężycie musiała, człowiekowi do nieustannego ruchu i rozruchu nawykłemu; postanowił zatem hucznie do nowego domu wyprowadzić inkrotowiny, i całą swoją komendę na ten obchód zwołać.

Bekieszka wysłany gońcem, objeżdżał zatem braci szlachtę, zapraszając imieniem rotmistrza na inkrotowiny do Budzilek.

Przybywszy do którejkolwiek takiej braterskiej osady, zbierał wszystkich jej mieszkańców oboję płci, do domu którego ze swych przedniejszych wojskowych kolegów, i tam przy sutym traktamencie, jakim miłego gościa raczono, objawiał cel swego poselstwa, a w dalszej konwersacyi, rozpowiadał szérokiemi słowy: jak xiążę cichaczem dom budował, jak to wszystko o jego głowę się opierało, jak rozumnie umiał wszystko ukryć przed starostą, i jak huczno palił z moździerzy rezurekcyjnych, na rezurekcyę spalonego domu.

— Wybierajcie się waspanowie, mówił on, huczno i bunczecznie! dla większej estymy i rekognicyi naszego pana rotmistrza, i przynajmniej na cały tydzień z żonkami i konikami.

— Ejże! moście panie, a moje dobrodziezki, dawał potem, obracając się do gładkich a rumianych szlachcianek, i jedną ręką podkręcając wosną, a drugą dłoń z przysiadkiem ku nim obracając,

jakby ich do tańca zapraszał:— Ejże! dobywajcie z zielonych skrzyń, swoje *szuściki* (1) od niedzieli, i obuwajcie się w trzewiczki z wysokimi koreczkami, a utniemy *Lepietuchę* i *Koczerbicę* (2) popijając trójniaczek jak mléczko. ... Sprowadzimy ze Świra z dziesiątek muzykusów....

— Daj pokój panie Sebastyanie, daj pokój! przerwał mu któryś z kolegów— po co tam nasze imoście potrzebne? czy nie wiesz bardzo słusznój sentencyi:

„Kto żonę szle w biesiadę— konia w biegu poi,
„Z żony frycę— a z konia kalekę wystroi (3).

— Niechaj wam Pan Bóg odpuści! niechaj wam Pan Bóg odpuści! i wasze intencye, i wasze sentencye, i wasze kadencye! mówiły i powtarzały słysząc to, łaknące miodku, a niemające nadziei posmakować go, godne ze wszech miar a dyszkretne imoście..... I proszę panie chorąży dobrodzieju, dodawała nie jedna dygając unizienie; proszę tylko nie zatrzymywać długo mojego pana Bałtromieja w tym rozgardyaszu, bo z taką fumą i fantazyą panowie mężowie wracają zawsze do domów, że

(1) Nazwanie sukni.

(2) Tańce staroświeckie, właściwe szczególniejsz szlachcie okolicznej.

(3) Z dawnego rękopisu.

potém dwóm albo trzém sąsiadkom zbierać się trzeba, i to jeszcze z walkami, aby jednego uhamować.

— No kiedyż sama imość dobrodziezka przybyć do nas nie chcesz, mówił każdej Bekieszka, dajże mężowi flaszę miedzianą szrubowaną, aby trónia-czku przywoził i dla żoneczki.

— Na nie to, na nie.... mości dobrodzieju, odpowiadały wzdychając żałośliwie, stroskane połowice, bo powracając.... w drodze.... ach! od-szrubuje flaszę!...

VIII.

Tymczasem Starosta w niezupełnie dobrym humorze oczekiwał gości. Sprowadzony bowiem dawny dyspozytor Budzilek pan Huszcza, obszerniejszo go zawiadomił, o pretensyi granicznej Jezuitów, i dukcie ich, zajmującym nie tylko znaczny obszar ziemi, ale nawet i znaczną część ulubionego wirydarza.

— Stałem, mówił on, panoczku z przekorą, gdy linię wycinać chcieli; a w niej wypisano było: że gdy dziedziczny pan tej ziemi, za *mandatem* królewskim, broni ojczyzny, nie godzi się aggrawować go nieobecnego grabieżą jego ziemi. Aże *armata manu* panoczku stanąłem, bo ze sto chłopów ze wsiów pańskich za mną, z obuchami i ołoblami zagląda w oczy panu komornikowi, więc i zrejterował się. Miały być potem wizye i kondemnaty; ale żaden woźny nie podjął się tej sprawy, bo każdemu powiedziałem, że za powrotem pańskim, kuso będzie koło Pilata; słyszałem wszakże,

że Jezuitci mają na nowo prowadzić swoje granice, i czekają tylko sposobnej pory.

Starosta pokręcał głową.

— Jakież oni mają dowody na nasz las i ziemię? zapytał po niejaki namyśle, nie wiesz?..

— I owszem JW. panie, wiem potrosze, bo potem zaprosił mię X. Rektor w niedzielę z kościółka na posiłek; nie przystałem od razu; ale nakoniec ustępując gorącym molestacyom, poszedłem przecię do klasztoru. Raczone mię *honeste*; a potem X. Rektor zaczął mi bardzo *moderate* justyfikować komornika, że on idzie zawsze w takim razie w ślad za dokumentami i za dekretem sądowym, rozkazującym mu odprowadzać dukta stron obu, których sprawiedliwość każda strona ma prawo dowodzić; że więc oppugnować go i zaprzeczać drogi, a tém bardziej stawać jakby zbrojno, jest buntem przeciw prawu; że więc w takim terminie, mógłbym odpokutować więź *in fundo*, i sowitą grzywną... Ale ponieważ zna mnie być człowiekiem pocziwym i pobożnym, ponieważ byłem niegdyś ich dyscyplem; więc X. Rektor ten raz mi przebacza, i kończy na duchownej admonicyi, w nadziei, że drugi raz tego nie uczynię.

Ja zatém unizając się do nóg xiędzu rektorowi, ale nie aprędując wcale jego tumanów, któremi oczy mi zamydlić chciał, rzekłem: że jako poczi-

wy sługa, ja bronię własności tego, czyj chleb jem; a jako szlachcie *et quidem*, nie lękam się wieży ani prawa; bo w niem stoi: „*neminem captabimus, nisi jure victum*” o czém i X. Rektor dobrodziej wiedzieć musi. A panu komornikowi nie życzę drugi raz próbować swoich delineacji; bo albo znowu daremną odbędzie do naszego boru wędrowkę, albo na jego instrumenta ja moich użyję.... a nakoniec zapytałem X. Rektora, zkąd to prawo ichmościów do naszej ziemi i lasu, które od niepamiętnych czasów do Budzilek należą?

— Przekonam cię, rzekł natenczas X. Rektor, że mamy dowody, jako ta ziemia należała niegdyś do Żodziszek i wyszukawszy w szafie między papierami jakiś stary mantyk: oto jest, rzekł dawne ograniczenie Żodziszek, słuchaj waść:

„Przyszedłszy do trzech plit kamiennych wielkich, na których krzyże są wybite.”

— Waszmość wiesz zapewne ubikację tych trzech plit? zapytał mię X. Rektor.

— A wiem moi dobrodziej — odpowiedziałem, bo one są właśnie teraz graniczne między nami.

„Prolonguje się, (czytałem dalej) granica na zachód słońca, jakby na strzelenie do czapki” (1).

(1) Widzieć przypisy.

— Na strzelenie do czapki? co to ma znaczyć? przerwał Starosta.

— A tak panoczku! tak stoi w ich ograniczeniu. — Otoż oni mają jakąś flintę tak okrótną, że gdy z niej Siemaszko ekonom ich z Tupulszczyny, wypalił od plit, w dyrekcyi na zachód słońca....

— To trafił w *centrum* słońca — he?

— Nie panoczku, ale trafił jak powiadają o kroków jakich dwieście do czapki, powieszonęj na sęku w naszym borze. *Relato referto*, ale to pewnie, że ta próba była, nim się Jezuici do processu zabrali; — dalej czytał mi x. rektor:

— „A ztamtąd kręto na południe, idzie granica do wodocieczy, jakoby na stajów pięć.”

— Otoż tym zakrętem panoczku, zajmują oni z połowę naszego lasu, i pola nie mało: a gdzie ta wodociecz, to wie chyba Pan Bóg i xięża Jezuici.

Starosta kiwał głową, potem pokręciwszy a raczej targnawszy wąsa: — Dźwięk mosanie! wykrzyknął, — oni do czapki, a ja do łbów palić będę każdemu, kto napastnie stąpi nogą na moją ziemię!...

— Wszakże — mówił dalej Huszcza — X. Rektor konwinkując mię dokumentem tym, powiadał: że nie chce wcale certować processem z JW. panem, że nawet nie zaczęłby tego processu, lecz że fun-

datorka ich Minkiewiczowa (1), już się o to z ojcem pańskim prawowała, i im Jezuitom razem z fundacją i tę mitręę wniosła; że owszem wolałby i życzył, załatwić to spokojnym i zgodnym trybem; ale że dla samėj wiadomości o co rzecz idzie, niepowinienem przeciw się przeprowadzeniu duktów... Lecz ja i słuchać dalej nie chcąc, ukloniłem się na *Valedykcyę* i rzekłem „*Reverendissime! pater! Huszcza, nie puszcza! i wyszedłem.*

(1) Barbara z Komarów Minkiewiczowa z synem swoim xieżdem S. T. Adamem Minkiewiczem fundatorka Kollegij Verbipolitani (?) albo Żodiscensis.



IX.

Obniosłszy rotmistrzowskie wici, Bekieszka wrócił do Budzilek. Nie łatwą dziś dla kogokolwiek byłaby funkcyja gospodarowania dla tylu i tego rodzaju gości, jacy się zgromadzić mieli; ale pan Sebastyan mistrz zawołany i przewodytor sejmikowych partji, doświadczeńszy teraz świeżem obozowem życiem, obmyślił wszystko i wszystkiem wystarczył.

Pożar i rabunek pozbawił główną tę rezydentę starosty, wszelkich sprzętów, ruchomości i naczyń, od bogatych jego antenatów nagromadzonych, najliczniejszym niegdyś bankietom wystarczających; brak ten zastąpił Bekieszka, nawiozłszy furami z włości garnków, misek glinianych, drewnianych talerzy i łyżek secinami; a zapraszając jeszcze szlachtę mówił każdemu: „miejże panie bracie nos i głębę, to konieczne, a reszta jak sobie chcesz.”

Ale najgruntowniejszy rozmyśl i dowcip okazał on w zaradzeniu najważniejszemu niedostatkowi. Gdy wracał bowiem ze swęj wędrówki, przyszło mu do głowy pytanie: „czémże pić będą?” wstrzymał więc stępaką.... zadumał się... Szklanek z całej okolicy tyleby nie dostał, i wszystkieby pobili...

Nagle wielką myślą natchniony, uderzył dłonią w rozumne swe czoło i z chlubą przed sobą samym wykrzykując: „Nie darmo mówią *piper et papaver!*” zawrócił się do Krewa, od którego był właśnie o milę tylko.

Miasteczko to od najdawniejszych czasów, i teraz jeszcze przez samych garncarzy zamieszkane; przodkowie ich może do kuchni Kiejstuta czy Jagiełły robili garnki; tam więc zebrawszy ich wszystkich i płacąc sowicie, w przeciągu dwóch dni, cały wóz pięknie poliowanych kubków, za sobą wyprowadził.

W Budzilkach na miejscu, ostróżnie od ognia wybierając pozycyę, pozakładał kuchnie, postroił szafasze na odpoczynek, i liczną z rzeźwych chłopaków wiejskich sformowałszy służbę, z zadowoleniem i zaufaniem czekał gości.

Jakoż w dniu naznaczonym, zaczęła się zgromadzać i pieszo i konno, i kałamaszkami na te huczne *inkrutowiny*, bracia szlachta, nie dawno podkomędni starosty. Każdego witał on, najkordyal-

niej nazywając po imieniu, wypytując się o zdrowiu imości i godnych konsolacyi... lub przypominając każdemu różne wojenne zdarzenia razem przebyte. Każdy zatém ukontentowany wchodził do izby; a tam znowu kielichem gorzałki na wstępie i na dobre zdrowie przez Bekieszkę, jako marszałka tego bankietu, przyjęty, rozgaszczał się na jego prośbę, to jest odczepiał szablę i stawiał ją wkacie; tak, że w krótkim czasie hurt szabel wszystkie kąty zawałił.

Więc zaczęły się traktamenta, to jest, przedobiedne zwyczajne pobudzenie i wspomaganie apetytu, a gęste: do Wasana! wśród wrzawy i gwarów, jak *salwy* wystrzelając z tłumów, pędziły czarbkę z ust do ust i z ręki do ręki.

W tym przerwał ochotę zajeżdżający przed ganek powoz, i wysiadający zeń przystojniejszej postaci i znakomitszego stopnia jegomość. Niespodziane te odwiedziny, zdziwiły nieco Starostę, tak jak tłum zgromadzony zdziwił gościa... Oba te wrażenia wydały się na twarzach witającego i witanego; lecz po chwili spójrzenia ciekawego na siebie, uścisnęli się czule, i długie, jak powiadali, niewidzenie się swe, wzajemną uprzejmością nagrodzić chcieli. Szlachta wszakże z ukosa pogłada-

jąc na przybysza, nie wielką dlań skłonność czuła zdawała się.

Był to pan Koszczyc, o mil kilka mieszkający od Budziłek, ale sąsiad blizki innych dóbr starosty, niegdyś kolega szkolny i zażyły jego przyjaciel; nim się potem w rozdzieleniu narodu, i ich zdania i działania nie rozróżniły.

Pan krajezy (to był urząd i tytuł Koszczycy) był stronnikiem Stanisława Leszczyńskiego, i za nim wszędzie publicznie stawał; lecz dziś gdy się wszystko w kraju jednoczyło i godziło, on do dawnych ze Starostą zateśknił związków, i przybył umyślnie, aby je odnowić; co gdy mu otwarcie i serdecznym słowem oświadczył, wzruszył go do głębi; więc oba ze ściśniętymi przyjaciennie rękami, weszli do izby.

— Oho! pan krajezy! mruczała szlachta, bo on był powszechnie znanym, — pan Krajezy wykroiłby nam kurtkę, gdyby się jego praktyki udały. Patrzejcie jaki teraz pokorny! przyjechał godzić się z naszym Starostą!.. a warto by się zapytać jego mości „*Ubi fuisti* dobrodzieju, kiedy Budziłki palono? możeś głównie pod kaplicę nosił?”

— Dajcie wacpaństwo pokój, odezwał się Bekieszka, nie znacie krajczego, on do takich zbytków i *exorbitancyi* należeć nie może. To zacny pan, a rozumny, oho?...

„*Vir honestus castus,
„Paucissimis cybaminis pastus!* (1).

rzekł on podnosząc palec w górę. — Rozumiecie waspanowie czy nie, bo to jezuicka sentencya ale to znaczy, że pan krajezy wielki sensat i statysta... Panie Hołubie do Wasana!.. tak sflumiwszy rozterkę w zawiązku, rozkazał zastawiać stoły.

Wnet potężne garnki krupników i juszników, — szerokie misy, pełne wszelakiego pieczonego i gotowanego mięsa, nie mniejsze kołdunów, szaltanosów i kielbas, rozpostarły się na stołach i lehcącą wonią wzniecały pokusę gości. Bekieszka ustawiał w rzędy krewskie kubki; a szlachta krążąca około, połykała ślinę, muskała wąsy, i pasąc się tym miłym widokiem, dobywała nożów z kieszeni, czekając na ostateczne zaproszenie, do stołu!

Jakoż wyszedł z osobnej komnaty, w której się z krajezym zabawiał starosta, i z uprzejmym ukłonem rzekł: „mości panowie bracia! suplikuję uniżenie, na co Bóg dał. Panie Sebastyanie, traktuj przyjaciół.”

Bekieszka upoważniony tak od mecenasa, jakby na kontynuacyi tych zaprosin, wskoczył na stół i donośnie zawołał:

(1) Mąż zacny i czysty, — Najdelikatniejszymi potrawkami karmiony. — Znaczy toż samo, co nasze przysłowie: *Szpakami karmiony.*

„*Hościu nie damisie!*
 „*Jesz szto u misie!!!* (1).

— *Bo quis scit co za górą?*

Na to rubaszne hasło, a dobrze wszystkim namiętność znane, bo służyło za *przynukę* w bankietach, szlachta runęła do stołów.

Tymczasem starosta z krajezym, w osobnej, jakem to wyżej powiedział zabawiali się komnacie; prowadząc przy szklankach węgryna, polityczną, wprawdzie niezgodną, ale spokojną rozmowę.

Nowe w kraju wynikły scysse. Sasi nie chcieli ustępować z granic królestwa, i August nie ustalony jeszcze gruntownie na świeżo odzyskanym tronie, nie śpieszył się z ich wyprowadzeniem. Ciężkie prowadzenie i utrzymanie wojska, po wyniszczeniu tak srogą wojną mieszkańców, obudzało skargi coraz wzmagające się i coraz groźniejsze na króla w ogólności, a w szczególności i najbardziej na Fleminga, którego wiedzano być duszą rad i wszelkich czynności monarchy. Rozruchy te i niesnaski, a wśród nich rozmaite układy, trak-

(1) U jednego z przyjaciół dziadka mego, w izbie stołowej na poprzecznej belce, a zatem nad samym jałdalnym stołem, czytałem niegdyś to godło głęboko wycięte. Gospodarz zasiadającym gościom do obiadu, zamiast zaprosin i przymusu, wskazywał palcem tę belkę.

tacye, związki i konfederacye, zajmowały wyłącznie nie Koronę, gdzie Sasi rozkwaterowani byli; lecz dochodząc w wieściach i intrygach aż w głąb Litwy, rozbudzały nadzieje jednych, uspokojenie drugich, a wszystkich drażniły obawą nowych w kraju zamieszkań i nieszczęść.

Dla tego też stan taki Rzeczypospolitej, był powszechną, wszędzie treścią i temą dysput i sprzeczek, które popsęły nie raz harmonię nie jednego zebrania, i nie jedne prawice ku jednaniu po świeżych kłótniach zbliżone, na nowo rozpręgły.

I Starosta więc z Krajezym o Szwedach, o Sasach, o królu Stanisławie, o królu Augustcie, o związku wojska koronnego pod łaską Gurzyńskiego na przeciw Sasom, rozprawiali... a wszystkiego złego przyczyną, pan Koszczyk naznaczał Fleminga.

Bronił jak mógł Starosta swego przyjaciela i przyneypała, hamował się w zapędach, gdy go Krajezy w zapale dysputy Niemcem, szoldrą, i zdrajcą ojczyzny która go przyswoiła nazywał. Wychodził pokilkakrotnie do szlachty, już to, aby tém wyłączeniem się od niej nie ubliżyć braciom i jej nie obrazić, już to szczególnie, aby ochłoniąć z płonącego mu w głowie gniewu, i we własnym domu nie znieważać urzędnika, sąsiada i niegdyś przyjaciela, a rozumem i znaczeniem publicznym słynącego powszechnie. Ale dzień ten musiał być

zapisany fatalnym w horoskopie Starosty... Wycieczki te nie tylko nieochładzały, jako sobie życzył, krwi jego, ale jeszcze bardziej mu ją wzbu-
rzały; bo ile się tylko razy pokazał między szlach-
tą, ta go z wesołemi i serdecznemi okrzyki otacza-
ła w około, chwytala na ręce, podrzucała w górę,
hucznemi wiewatami głużyła, i zmuszała za każ-
dym razem wypić kufel trunku, jaki na tę chwilę
był u nich w rękach. A tak Starosta wracał z mniej-
szem jeszcze usposobieniem do pobłażania, z go-
rętszą głową i ze swarliwszym humorem, nizeli
wyszedł: gotowy już był proch we krwi jego, iskry
tylko potrzeba było....

— A wiesz Starosto, rzekł Krajezy, pociąga-
jąc ze szklanki, jaką Koroniasze dają receptę na
wyleczenie Rzeczypospolitój, i na uspokojenie jej
zupełne?

— Cóż takiego mądrego? pomruknął Starosta?
wychylając duszkiem swoją lampkę.

— Mądrego i bardzo mądrego — nawet *poesis*
i *acuminose*!

— *Poesis* i *acuminose*! powtórzył Starosta.—
Oto powiadają oni tak, i już to u nich przysłowiem:

„Najlepsza do pokoju byłaby arynga,

„Gdyby do Kenigsztejnu zasadzić *Fleminga* (1).”

(1) Z rękopisu tamtoczasowego.

— Dźwięk! wrzasnął Starosta, że aż odskoczył
odeń Koszeczyc.— Dźwięk! Niechże mię wszyscy
djabli porwą z duszą i z ciałem, jeżeli dalej wy-
trzymam!... Panowie bracia! krzyknął potem roz-
pierając drzwi na wścieczaj: nalewajcie pełna i
ku mnie!... Sam, nalał swoją szklankę, i drżącą
ręką napełniając szklankę krajezego, rozlewał wino
po stole. Koszeczyc patrzył na to z zadziwieniem,
ale spokojnie.

Szlachta czerpała, toczyła, chwytala kubki dzban-
ki, kieliszki, miski nawet, i z pełnemi tłoczyła
się w kupę około Starosty; a on jedną ręką wznioś-
szy swą szklankę w górę, a drugą groźnym giestem
wskazując Krajezemu przygotowaną, i ogniste węń
utkwivszy oko:— „Piję, rzekł dobitnym wyrazem,
piję zdrowie JW. Jakóba Henryka hrabiego Fle-
minga, walecznego feldmarszałka wojsk saskich,
a razem Podskarbiego Wielkiego Xięstwa Litew-
skiego! wiernego sługi Rzeczypospolitej i Króla
pana naszego! a mojego przyjaciela!... *Vivat!*”—

— *A kto nie wypije!*... Dźwięk!...

— *Tego we dwa kije!* ryknęła chorem szlachta.

Łupu cupu! cupu łupu!

Tego we dwa kije!

Zwrotka téj dawniej hulackiej piosenki, którą
tylko co szlachta zachęcając się do pijatyki śpiewała,
trafiła jak raz szczęśliwie, i przerwała odkazankę

Starosty; bo raz ją wyrzekłszy, nieodstąpiłby potem. Spełniono zdrowie....

Szklanka Krajczego stała nieporuszona.—

— Nie pijesz mości panie Krajczy? zawołał Starosta piniąc się ze złości, i tupając zapamiętale nogą. Dźwięk! nie pijesz?

— Nie pije— odpowiedział spokojnie, lecz z powagą Koszczyc.— Nie piję, bom się niespodziewał, aby równy mnie obywatel, szlachcie i zacnych antenatów potomek, odważył się splamić dom i imię swoje gwałtem!— Oślupiony Starosta tą spokojnością, i słowami mądrymi Koszczycy, stał chwilę jak wryty... Porwał potem szklankę Krajczego— Dźwięk! wrzasnął— i cisnął ją na ziemię, a ta rozpryskując się na setne szczątki, powtórzyła jakby echem Dźwięk!...— a teraz mości Krajczy!...

— A teraz, krzyknął Bekieszka, stojący w pierwszej izbie na stole, i tym sposobem górując nad całą gromadą zbitą u drzwi drugiej, i przerwał Staroście:— A teraz mości Krajczy, *Fora ze dwora!*— *Fora ze dwora* huknęła za nim szlachta— kto nie z nami, ten przeciwko nam! *Fora ze dwora!* wrzeszczał nad innych Bekieszka, bo *quis scit* co za górą!— Koszczyc w tej gwałtownej niby odprawie, zgadł łatwo trzeźwą wśród pijanych, roztropność Bekieski; nie dał więc sobie tego powtórzyć, wziął czapkę, uklonił się Staroście, i korzystając ze drzwi,

które miał za sobą, do bocznych sionek prowadzących, wyszedł.... zostawiając Starostę nieopamiętanym z gniewu, ale niewiedzącym czy gonić, czy zostawić mu *salvę* swobodnej ucieczki?

Bekieszka nie dając czasu do namysłu, i stojąc zawsze na stole:— otóż, rzekł, pan Krajczy dobrodziej skonfundowany, *fugam dedit coelum cancer!* (1) to jest uciekł nieboraczek.... a z tego powodu powiem waszmościom kazanie...

— Z jakiego powodu? krzyknęła szlachta— co to za powód? Słyszeliśmy już nieraz to waspiana kazanie, przypinałeś one do każdego powodu w obozie jak kwiatek do kożucha, i plotłeś jak na mękach...

— To nie nie szkodzi, odpowiedział Bekieszka; to nie nie szkodzi. Obrok duchowny mości panowie, to grunt! ja ze sto razy słuchałem tego pięknego kazania nim się nauczyłem na pamięć, więc oddaję tylko za swoje;— i nieuważając na żadne protestacye, z széróką giestukulacją perorować zaczął.

„Najmilsi słuchacze (2). I rog nie zawyje, kie-

(1) Uciekł nieborak— *coelum*— niebo— *cancer* rak, a tak *coelum cancer*, dwa łacińskie słowa wytłumaczone ściśle na polski język, właściwym tamtoczesnym dowcipem oznaczały się— *ibit sibi coelum cancer*— szedł sobie nieborak.

(2) Patrz przypisy.

dy weń nie zadmuchasz! napisał myśliwy Marek *in capite stultorum*, to jest na twardym marmurze, zabiwszy łosia w niepołoniskim lesie.”

„Nie trzeba do cudzych krajów jeździć, bo i „tu w dzień słońce, a w nocy miesiąc świeci, *proxima ardent lumina!* Darma się polityczne subiekta „codziennie w oczach ludzkich z nową popisują mą- „niera, kiedy rzymski Cycero nie mógł przebić „muru swoją łysą głową. *Nec hercules contra plures!* co kraj to inszy obyczaj, *Quis quis sum laudat!* Nie podobała się na puszczy Żydom „manna, *non omnibus apta*, i dla tego i teraz „kielbas nie jedzą, *caro, nisi cibus!* Dawna sta- „rożytnych filozofów sentencya teraz się prawdzi „*nemo mortalium omnibus horis sapit:* to jest, „nie każdy śpi co chrapi; a Chaldejczyk czyta— „koń dychawiczny sapie!— Matematycy powiadają, „że kiedy słońce w znaku barana, natenczas koza „miodu nie pije, zkad ja wzięwszy *motivum* do- „wiodę wam króciuténko najmiłsi słuchacze, że „wilk przez psy nie tyje— i zaczynam: Cyrus „król hiszpański, miał ten zwyczaj, że śpiąc nie „patrzył; na co w te słowa ubolewa Psalmista.— „*Oculos habent et non vident!* oczy mają a nie „widzą.— A cóżby o terażniejszych czasach mówić, „o których prorokował Dedalus burmistrz ateński.— „*Seculum erit depravatum!* jakoż jawnie to widzie-

„my, że złość żydowska dotąd nieustaje, ale co- „dziennie oszukuje ludzi: *bibunt iniquitatem sicut aquam!* Cyganie konie kradną, *et populi Etio- „pium.*— Lutrzy w sobotę mięso jedzą: *O tempora!* „*o mores!!!* Obaczywszy Izrael Machabejczyka, „kazał go zaprowadzić do żydowskiego miasta, aby „Filistyńskie z wieży pastuszej obaczył wojsko, „aż patrzajcie jaka zdrada. Judith ucięła głowę „Holofernesowi, *et sic pereunt felicia regna!* Kie- „dy budowano babilońską wieżę, Daryusz z łysiej „góry taczkami kamienie woził a Dydimus z Za- „lesia glinę, i niedokończywszy fabryki, poszli na „lelowskie piwo; na co *Cornelius a lapide* pisze, „*coepit aedificare, et non potuit consummare:* a He- „brajczyk text czyta, *proxima te cape*, na głupich „wszędzie kapie— *Pitagoras* rybak żeglując po „morzu, usłyszał na Farnawskich górach pięknie „śpiewające Syreny, a *Eskulapiusz* mydlarz, zrobił „tak misterną kłódkę w Atenach, że jój nikt bez „klucza otworzyć nie mógł i nie potrafił, o czém „gdy dano znać *Mahometowi* królowi syryjskiemu, „posłał mu on śledzia żywego w dyamentowej klatce, „aby go nauczył francuzkiego języka, i za to do- „stał on przywilej dla *Brazyli*, stolicy *Solimacha* „króla cygańskiego, od nieboszczyka *Ameliana* Bur- „mistrza, że tam psy ani cła pobramnego nie dają, „ani od przewozu płacą.— O szczęśliwe to kraje,

„o których *Eneas* prorokował w te słowa: *Auro-ra Musis Amica!* Ale cóż? kiedy *Origenes* odpo-wiada: *cui contigit nasci, restat mori!* co aże-byście wszyscy zrozumieli, oczewistém moi mili „słuchacze, tłumaczę wam słowem: nie trzeba „kópów siać, sami się rodzą! *Hermolaus* filozof...”

— Dość, dość, krzyknęła szlachta, śmiejącą się do rozpuku, szczególnież z postaci rozkiełzna-néj i krzyżującej się we wszystkie boki kaznodziei. — Dość, — a odwilż garło.

— Dobrze, odwilżę gardło, i nos utrę podług reguły i zwyczaju ichmość kaznodziejów, rzekł *Bekieszka*, przyjmując podaną konew, a myśląc że *Koszczyce* już daleko.

Starosta tymczasem wypił nagle, jakby z gorącego pragnienia, jedną po drugiej dwie szklanki trójniaku, padł na szeroki zédel, i oddychał, a raczej sapał gwałtownie, słuchając niby kazania, a mrucząc przez zęby i z przyciskiem: „do *Kenig-sztejnu Fleminga!*!! — ze wzruszenia, złości i trun-ku, głowa mu gorzała, i pot bujnemi kroplami ciekł z czoła.

— A zatém najmiłsi słuchacze *część druga!* odezwał się *Bekieszka* na stole:

— „I któż tu już? chyba twardsze nad kamień „mający serce nie wzruszy się do pokuty, za ów „występek i kryminał, wielkiego i całemu światu

„znajomego *Macedoniéj* króla *Alexandra*, który przy-jechawszy do wyspy *Rugen* po gontowe goździe, „zapomniał kupić kleszczów; a gdy mu nie stało „multańskiego tytuniu, wyprawił obligosów swo-„ich do Tyru, z surowym w te słowa ordynansem. — „*Titire! tu patule.* — Ty tyrze! ty graj na lirze! „potém wielce rozgniewany, że ich tam kwaśnym „piwem poczęstowano...”

Tu przerwał zbliżające się do końca kazanie, zadyszany chłopiec i krzyknął: — gwałt! dobro-dzieju. *Jezuici* zabierają nam ziemię i las dwor-ny; przeciągnęli już sznurem żelaznym nasze sia-nożęcie, a wiadomo, że gdzie taki sznur przejdzie, tam trawa nie rośnie...

— Co? *jezuici* zabierają las i ziemię? wrza-snął zrywając się Starosta, co ty pleciesz chłopie?

— Dalibóg panie nie plotę! Spędzili ludu jak mrówia, zastąpili wszystkie drożki do dworu; ja chyłkiem pełznąc pod płotami, ledwo dostałem się do lasu, a z lasu tutaj; na przedzie idzie sam xiaźdz, a w wiosce i wszędzie hałas, tertes dobro-dzieju, tak że my zrozumieli, że znowu konfede-raty idą!...

Nieochłoniony z pierwszego z *Koszczycem* impe-tu, rozpalony trunkiem i nieprzytomny prawie Starosta, jęknął zajadle tak, jak gdyby go sklepie-nie domu przygniotło; chwycił z kolka muszkiet,

pechnął chłopą przed siebie, i lecąc za nim przeze drzwi, wykrzyknął:— „kto mój ten za mną!...”

Szlachta rzuciła się do kątów, i rozchwytała pałasze; wrzeszcząc zajadle pijanem gardłem: ha! *lojolińce* chcą ziemię naszego rotmistrza zabrać? Niedoczekanie! nieopuścim naszego hetmana! Na koń! Na koń! za nim!

Bekieszka wśród tego nagłego zamieszania, które w mgnieniu oka się stało, nie miał jeszcze czasu zleść ze stołu, i stał nad tłumem wysoko, jakoby zastygł w rozkrzyżowanej postaci, na której go przerwano... Nakoniec opamiętywając się i widząc co się święci, a na co się zanoszą, pomyślał że i teraz znowu uda się mu zręcznym konceptem zapobiedz gorszej awanturze:— „Mości panowie! zawołał zatém— co się wam dzieje? bieżmy, za Starostą ale na co te szable! Tam gromada cała, *Generys chamutyńni*, dość na nich pałek i kijów.”

— *A quis scit* co za górą, panie chorąży? odpowiedział ktoś z tłumu, — alboż chłop obuchem tak ci makówki nie rozsądzi, jak ty *Czetnikiem* (1) alboż to ręka szlachecka do kija? Tfu! wstydź się panie Suroż!

— Nie udało się, pomyślał Bekieszka, zesko-

(1) *Czetnik*— nazwanie klingi pałasza, oznaczający pewny gatunek tej broni.

czył zatém ze stołu, i z całym tłumem biegł za Starostą, chcąc go najpierwszy dopędzić i hamować. Lecz zapamiętały Starosta, porwawszy konia któregoś ze swych gości, wpadł nań i pędził do lasu, za którym była dyferencya; chłop leciał na drugim... i szlachta więc toż samo zrobiła, a tak liczna oklep kawalerya, puściła się za nim w tropy.

Wązka ścieżka wijąc się po lesie, jednemu ledwo jeźdźcowi dozwalała biedz po niéj; długi więc i ruchomy sznur jeźdźców, przewijał się jak wąż w skrętach, którego głową był Starosta, a żądłem śmiertelnym, muszkiet ołowianym pieńkiem nabity.

Bekieszka lecąc jak drudzy, uspakajał się myślą, że choćby Starosta i wystrzelił, to z konia, i nie pewną od kufła tylko co oderwaną ręką, spudłuje pewnie. Chłopi jezuici uciekną, a komornika i xiędza zabiorą w niewolę, i będą oni musieli wysłuchać za pokutę jego kazania... ale temu wybornemu planowi kampanji, los fatalny inszy weale dał obrót....

Hałas, który się daleko od lecącej szlachty roznosił, zastanowił komornika i tłuszcę włościan za nim idącą, właśnie na wejściu z przeciwnéj strony do lasu. Xiądz administrator dóbr klasz-

tornych był razem; urządzono tam bowiem wybrać dzień ogłoszonych okolicznie inkrutowin, w którym Starosta, zajęty gośćmi i hulanką, mniemano, że nie dowie się nawet o przeprowadzeniu duku. Zebrano włościan, dla zastrzeżenia wszystkich dróg i ścieżek, prowadzących z bliskich wiosek do dworu, i niedopuszczenia tam wiadomości, że się linija wyrębuje w las, do punktu wprzód próbą strzału do czapki, oznaczonego. Xiądz administrator zaś szedł szczególnie na to, aby w razie odsieczy Starosty, niedopuszczyć żadnego gwałtu ni boju, owszem uśmierzać włościan, zwykle w takich zdarzeniach zajadłych, i zapamiętałe do pobojów się rwących; missya więc jego, w sprawie wątpliwiej, była wszakże w dobrym celu.

Usłyszawszy krzyk w lesie i tentent koni, xiądz i komornik zgadli, że ktoś się wykradł z obłęzenia i uwiadomił dwór; stanęli więc na miejscu, i strwożeni włościanie skupiali się za nimi.... W tém wypadu z lasu Starosta.... strzał się rozległ z rąk jego... Jezuita padł na ziemię!...

Fatalność tę kulę niosła... Starosta w pędzie trzęskiego konia, niewidząc prawie, i miotany zapalczywością, nie mógł regularnie dotrzymać celu, a jednakże wbił pieniek w pierś kapłana.... (1).

(1) Prawdziwe.

Chłopi na ten widok, i na widok szlachty liczonej z pałaszami leżącej, sypnęli się w ucieczkę; za nimi szlachta przypominając sobie komendę „z kopyta” rozbiegła się po polu, a kilku tylko i Bekieszka, przypadli ze Starostą do Komornika kłęzącego już nad xiędzem i usiłującego dać mu jakikolwiek ratunek.... Starosta leciał doń jeszcze zapamiętały... lecz na widok krwi leżącej się strumieniem z piersi xiędza — na widok jego konwulsyjnego konania... stanął nagle.

— Co to jest? rzekł nie myśląc nawet co mówi, i nie rozumiejąc co widzi.

— Zabójstwo panie Starosto — odpowiedział komornik — kryminał, i na poświęconej osobie kapłana!... Ratujcie dla Boga!... Ratujcie dla Boga! ratujcie jak możecie!....

— Któż go zabił? rzekł prawie obłąkany Starosta.

— Kto? odparł Komornik spojrzawszy z gorzkim uśmiechem na pytającego — Kto? ten co strzelił doń z lasu!...

Tym czasem szlachta zrywała sobie chustki z szyi; Bekieszka rozdarł sukienkę kapłana, obwiązywał go chustkami, operował rozmaicie, chcąc zatrzymać krew, a z nią upływające życie — ale na próżno!

Ostatnie wysilenia umierającego były okropne...

życie uderzone nagle i w czerstwości wszystkich swych sił i władz, w każdym członku ciała, w każdym nerwie, passowało się ze śmiercią i nie dało się łatwo niweczyć, ... ztąd okrutne cierpienia i męki konającego w konwulsyjnych drganiach i kureczach, przerażały otaczających....

Starosta, którego ta jedna chwila roztrzęsła zupełnie, stał ponury i milczący ze wzrokiem wlepionym w umierającego, a przez ten wzrok osłupiały, wpajał się w duszę jego i zastygał tam w niestartych i krwawych piętnach, straszny obraz boleści i męczarni, których był sprawcą.... Dreszcz zimny wstrząsał nim, lub na przemian ognista czerwoność rozpalala się na twarzy i nikła wnet w trupiiej bladości... a umysł obłąkany i zmęczony, nie jeszcze rozplatać, rozważyć ani skupić nie zdołał.

Tym czasem ktoś podniósł dzbanek wody o którą Komornik od początku wołał; wlane kilka kropel w usta orzeźwiły umierającego.... zwrócił on wpółobumarły wzrok na Starostę... potem złożył ręce jakby ku modlitwie przy ołtarzu, i gasnącym głosem:— „*umieram....* rzekł— i...*przebaczam*” ręce mu opadły... konał....

Bekieszka ocierając łzy wołał: „mów Jezus Marya, mów Jezus Marya!...” Dosłyszał jeszcze i zrozumiał on te święte i zbawcze imiona, do któ-

rych w codziennych myślach swych i modłach jako kapłan nawykł, i ledwo je wyjęknał.... już Bekieszka oczy mu zaciskał— lecz strętwiąte powieki, nie dały się zaciągnąć, a tak z otwartą i straszną żrenicą, został trup na ziemi i na przerażonej wyobraźni zabójcy!



CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Powieść nasza odąd składać się będzie z przerwanych obrazów, jako i życie jój bohatera, z okresów i części jawiących się przerwanie tylko w podaniach za treść mi służących. Ponura pomroka oblekła tego człowieka, a razem lica jego i czoło, na którym dotąd i często, niezhamowanych zapędów, gniewów i namiętności, głębokie bruździły się ślady, lecz też częściej swoboda i szlachetność jaśniały.... Po skonie kapłana, powracał on w milczeniu i pieszko do domu, i wtenczas ledwo rozważać zaczął stan rzeczy obecnych i swój uczynek. Któryś szlachcie z tłumu przed chwilą tak hucznego, a teraz idącego za starostą w równemże z nim zamroczeniu, odezwał się wprawdzie, wrzekomo dla orzeźwienia ducha i humoru: — I cóż to osobliwego? laź Jezuita na cudze pole,

więc niech go teraz w kopcu granicznym zagrzebia, lecz nikt ani się uśmiechnął, na ten ladajaki koncept, a każdy potrząsł tylko głową. Bekieszka nawet kiwając nią smutnie rzekł: „*Fallax fortuna fefellit!*” Starosta zaś ani się obejrzał.

Przerwały się więc w dniu pierwszym i fatalnie inkrutowiny, mające trwać cały tydzień; część gości mleczkiem i bez pożegnania, a część żegnając czuliej nawet niż zwykle Starostę i zaręczając mu w tej jego złej dobie, jednostajną zawsze życziwość i gotowość na zawołanie, rozjechała się do domów. Został tylko sam jeden i nieodstępny jego przyjaciel i sługa — *Bekieszka*:

Smutnem jest spójrzanie na człowieka złym losem dotkniętego, a smutniejszym jeszcze, gdy się spójrzanie to, aż do wewnątrz jego zaciska!!! Walki tam, udręczenia i burze, miotające sereem i umysłem; i czy to tłumione, że tak powiem, w głębi i umykające się ludzkiemu politowaniu, czy gorzką łzą wzywające współczucia, póty nie zgniotą zupełnie duszy silnej, lub tkliwej, póki cierpienie nie jest zgryzotą... póki głos tłumiony często, nie umilkły nigdy, głos sumnienia, nie odezwie się z wyrzutem, i nie dobieje srogiem przekonaniem upadku z własnej winy, z własnej nie-

zgody z cnotą;... i takim właśnie był stan nieszczęśliwego Starosty.

Nie raz on na placu boju widział konających, nie raz z własnej ręki śmiertelne zadawał cięcia, i obojętnie patrzył na krew płynącą po własnym mieczu... ale gdy mu to przypomnienie wchodziło teraz na myśl, wnet uciuwał różnicę żołnierza od zabójcy, zbrojnego nieprzyjaciela od spokojnego kapłana. Natenczas jakby mu się w głowie mieszało: dąsał się, ciskał, przeklinał Jezuitów; nie dla tego że mu ziemię zabierać chcieli, bo o tém ledwo już pamiętał, lecz że mu dali powód do kryminału. Gwałtowny z natury, dumny i nieugięty, dręczył się teraz i niejako rozraniał siebie, temi samemi kolcami własnymi, któremi z charakteru swego ranił wprzód innych; i tém bardziej, że samotny, ponury, nieprzystępny dla Bekieszki nawet, sam na siebie swe wymierzał zapędy.

Wśród tych jednak zapasów i walk z samym sobą, twarda natura tego człowieka wstrząśnięta do głębi, rozprzęgła się mimowolnie, i przysposobiła się jak metal ogniem topiony, do miększych form i ugięć... ale czas upamiętania się prawdziwego, to jest religijnego, nie przyszedł dlań jeszcze.... Podług tamtoczesowego przekonania, że ofiarą dóbr ziemskich okupić się można od kary wiecznej; Starosta niespokojnemi do siebie słowy,

ścigając rozpierzeznione swe myśli;— „dam, mó-wił, Jezuitom wioskę.— Niech corok odprawia „exekwie za zabitego... i milezą!... milezą... „niech milezą!... czyż dotąd nie rozchodzi się „już wieść daleko, że kryminalista?... Oh! „mile słowo dla mych nieprzyjaciół!... dla Sa- „pieżyńców! Starosta Antowilski kryminalista!!! „Może już się robi wizya (1) trupa, *wizya* trupa!”

Na tę myśl wstrząsał się Starosta, bo w tej chwili, straszna także *wizya* przed oczami mu stawała. Trup nurzający się we krwi... konający w męczarniach... przebaczący w ostatniem teńnię śmierci swą zabójcy swojemu i patrzący nań potem zastygłą a nie zawartą żrenicą!... zakrywał on natenczas obiema dłońmi wzrok swój, jakby nie chcąc patrzeć na ten krwawy obraz... i głębokie, może pierwsze w życiu jego burzliwem, wydobyło się z piersi westchnienie z bolesnem słowem: „Bóg mię ukarał!... Bóg mię ukarał!”

— Bóg i pocieszy panie Starosto! Bóg i odpuści — rzekł wchodząc Bekieszka, który nieustannie śledził; to pode drzwiami, to pod oknami, co się działo z jego ukochanym mecenasem; a pod słuchawszy te słowa, osądził trafnie, że przyszła chwila, w której mógł już pomówić z nim, i ulgę

(1) Obejrzenie trupa, przez woźnego, ze świadkami.

niejaką mu przynieść. — Jezuici prawować się nie będą....

— Jak to nie będą? przerwał Starosta. — Niech się prawują... ale waść widać mnie szpiegujesz, — i wnet łagodniej dodał, bo zgadł łatwo powód tej troskliwości swego wiernego sługi i przyjaciela — to nie dobrze panie Sebastyanie.

— Broń mię Boże! ja tylko chciałem donieść jasnie wielmożnemu Staroście, że byłem dziś rano na przesłuchach w Żodziszkach.

— I cóż tam? zapyta Starosta, jakoby obojętnie, a w duszy niecierpliwie.

— Najpewniej że sprawy o kryminał nie będzie; dziś dzień trzeci od akeyi; a zatem termin prawny *wizyi* i *obdukcji* mija; tym czasem w klasztorze *cittissime* o tém wszystkiém, trup stoi na katafalku i jutro na pogrzeb wzywają wszystkich, nawet własnym wioskom przyjąć nakazali: więc jak pochowają trupa, to naturalnie *finitem opus*.

— I dla czegoż to Jezuici tak sobie cierpliwie znieść to postanowili? pytał dalej Starosta.

— Ot mości dobrodzieju ludzie i tak, i owak mówią; ale wszyscy prawie zgadzają się na to: iż Jezuici wiedząc, że pan Starosta wielu Szwedów heretyków wytepił, darują mu przecie, że tam jakoś przypadkiem i katolikowi, a nawet xiędzu do-
stało się.

Starosta usiadł... opuścił głowę na piersi... zadumał się.... a Bekieszka postawszy jeszcze chwil kilka, wyszedł na palcach, mniemając, że się uspokoi i uśnie nakoniec po trzech dniach i nocach bezsennych.

II.

Nazajutrz po tej rozmowie dzwony kościoła Żodziskiego, od poranku uderzały na pogrzeb zabitego kapłana; kościół się napełnił pospółstwem i ciekawą szlachtą; bo rozmaite, dziwaczne a stosowne do tamtoczasowych religijnych wyobrażeń krążyły wieści. Jedni mówili, że Starosta stać będzie podczas żałobnego nabożeństwa pod lampą, z obnażonemi ramionami i biczować się krwawo; inni, że publiczną odbędzie spowiedź, i złoży na trumnie zabitego, zapis wszystkich dóbr swoich Jezuitom, a potem otrzyma rozgrzeszenie, i wnet przyoblecze na całe życie sukienkę zakonną. Inni znowu, mniej ufni w pobożność i skrucę Starosty, a wnioskujący podług jego hajdamactwa i humoru, ostrzegali, aby się mieć na ostrożności, bo *Dziuręk* napadnie ze swemi zawadyakami, i wszystkich rozpędzi, a klasztor zrabuje... i tym podobnie.

Tymczasem na prostych marach całunem tylko pokrytych, stała otwarta trumna, i w niej leżał

zabity w tej samej krwią zlaną sukience, w której go strzał dosiagli; nizkie mury dozwalały każdemu łatwo przypatrywać się trupowi, i ze zgrozą rozważać bezbożny postępek Starosty; co też wszyscy napełniający kościół, nim się zaczęło żałobne nabożeństwo, czynili.

Przybył i pan Koszczyc, rzucił smutnym okiem na mury, usiadł w ławce i modlić się zaczął; Bekieszka w tłumie ukryty też samo czynił.

Wtém rozpoczęło się żałobne nabożeństwo; zapalono lampy i świece w około trumny; cały konwent, kilkudziesięciu kapłanów z dyakonami wyszło za celebrującym, dla oddania ostatniej posługi bratu swemu.... dzwony znowu się ozwały i lud upadł na kolana.... W cichości przerywanej tylko ponurym jękiem organu wtórującego przeciągłym i uroczystym modłom kapłanów, dokończyła się msza, a celebrujący z asystencyą przeszedł od ołtarza i zasiadł przed trumną dla odśpiewania podług obrzędu, ostatniego *Requiem* nad zwłokami.... Natenczas ukazał się na ambonie kaznodzieja.... socyusz niesł za nim i postawił mu obok, czarną i w czarnym lichtarzu gorejącą świecę... lud z zadziwieniem patrzył, i nie mógł zgadnąć co by to znaczyło... Ale Koszczyc zgadł wnet co się stać miało.... wysunął się z ławki niespokojnie — przeciskał się do ambony, i znowu

się cofał niecierpliwie, usiadał i wstawał.... a tym czasem mówca rozpoczął kazanie *textem* bardzo prostym, ale sposobem wymówienia go, wzbudził powszechne wrażenie; wzniosł on oczy i ręce ku ołtarzowi i rzekł błagalnie: „*Requiem aeternam dona ei Domine!*” Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

Bez przygotowanej karty, mówił on z natchnienia. Kapłan sędziwy, twarz blada, włos biały, oko wklęsłe i przyćmione pod wysokim czołem, głos z początku drżący i niepewny, objawiać zdawał się wewnętrzną walkę czy trwogę; wyrazy westchnieniem przerywane, pełżyły mu z ust jakby niechętnie, i zdawało się nie raz, że wnet się utną, i trudna zakończy się mowa.... Ale gdy zwykle we wstępach ogólne o śmierci uwagi, zaczął już wiązać z obecnym widokiem, gdy pobożne i przykładne życie zabitego, zaczął ze śmiercią jego męczennicką stawiać obok — stopniowo oko mu się rozplamieniało... krwawemi plamami twarz się zażęgła.... głos się wzniosł i wzmocił. Grzmiał nakoniec potęgą przeważnego słowa i uroczystego natchnienia, gdy zwracając apostrofę do trupa zawołał: „Powstań! Powstań męczenniku! Powstań kapłanie! i daj świadectwo przed ludem, niewinności twojej, i niewinności braci twoich!... Po-
wstań!...” Lud się cofnął z przerażeniem od

trumny.— Zdawało się, że trup się wzrusza... że w słowach piorunującego kaznodziei jest moc cudotwórcza... że wskrzesza zabitego. — „Ale, nie! — rzekł on dalej — trąba cię archanioła zbudzi kiedyś, i staniesz oko w oko ze swoim mordercą, którego sprawiedliwość Boska potępi na tenczas, tak jak go kościół nasz dziś potępi.”...

Tu głos z tłumu przerwał niezwykłym sposobem kaznodzieję: „*Justitia coram Deo, est misericordia.* — Sprawiedliwość według Boga, jest miłosierdzie!” zawołano.—

Kaznodzieja zdziwiony, zamilkł na chwilę, szukając okiem po tłumach, ktoby to wyrzekł. W gromadach każdy około siebie oglądał się; i wszyscy zwrócili oczy na Koszczyca, bo on to rzeczywiście wymówił w uniesieniu, którego w sobie stłumić nie mógł.

„Tak! rzekł kazający, nie dając słuchaczom długiej chwili na rozważanie: — Tak! sprawiedliwość według Boga jest miłosierdziem! Ktokolwiek to wyrzekłeś, dobrześ rzekł! po chrześcijańskuś rzekł! Większe jest miłosierdzie Boskie od grzechów całego świata! ale to miłosierdzie jest dla żałujących za grzechy, dla pokutujących za nie, dla serc skruszonych, dla żebrzących ze łzami, politowania Boskiego w niebie, i kościoła jego na ziemi....

„Lecz tenże sam Bóg wszechmocny, *Judicabit populum in aequitate* (1), powiada Apostoł; czy, liż więc wszystkich złych i dobrych, upamięta, złych i zatwardziałych równémże okrywając miłosierdziem, wszystkim bez różnicy otworzy niebiosą? O nie zaiste! nie wejdą tam razem: — uciemiężony i ciemiężca; bogobojny i bezbożny. Kapłan cnotliwy i jego zabójca; bo i dla kogoż, byłoby piekło? komuż to wyrok przepowiedziany: *Idźcie przekłęci w ogień wieczny!*... Niech, że i do kościoła Bożego nie wchodzą oni razem! niech wpośród bogobojnej trzody Chrystusa, nie postanie człowiek ze skalną występkiem duszą, i zakrwawioną ręką. — Drzwi świątyń pańskich, zawierają się przed nim! Dobrodziejstwa sakramentów świętych ujmują się mu!!!”

Tu zapal kaznodziei, który go dotąd ożywiał, zmienił się w jakieś gorączkowe wysilenie; mówił z przestankami, potrzebując jakby coraz nowego powietrza do piersi.... słowa mu znowu w jeden ciąg nie wiązały... głos drżał mu, i oko przed chwilą ogniste, łzawą mgłą się powlekło... wyraźnie zbliżał się on do czegoś, co mu wyrzec trudno było.

„Co zwiążecie na ziemi — będzie związano, w niebie!...”

(1) Będzie sądzić lud w sprawiedliwości.

Lud przerażony stał w oczekiwaniu osłupiały, jakby jeden człowiek, wzrok niespokojny wlepiwszy w ambonę.

„Krew zabitego pada [na głowę zabójcy!...]. „*Jan Dadzibog Niewiadomski*..... Wyklęty!” kościół jęknął na to słowo.

„*Anathema!... Anathema!... Anathema!...*” rzekł, i z ostatniem wysileniem, jakby konwulsyjnie targniętą ręką świecę gorejącą na ziemię cisnął.... sam upadł na kolana i z głośnym łkaniem modlić się począł, bodaj błagając Boga o przebaczenie i wyklętemu i wyklinającemu.

Kapłani wszyscy i kler assystujący zdmuchnęli także i przewrócili świece (1). Płacz rozległ się po kościele; a nakoniec celebrujący zaintonował *Requiem* po dwóch jakby umarłych.

(1) Zwyczajny obrzęd wyklinania.

III.

Oparłszy głowę na dłoni, siedział Starosta w smutnych pograżony myślach, układając rozmaite projekta i pośrednictwa do pogodzenia się z Jezuitami, a żadnego nie mogąc dobrać takiego, któryby go z widmem zabitego prześladowającym go bezustanku i stojącym mu bez przerwy przed oczyma, mógł pogodzić.

Postanowił on opuścić Budziłki, i wyjechać, sam nie wiedząc dokąd; lecz czekał powrotu Bekieszki, który za wiadomością jego pojechał na pogrzeb do Żodziszek. Ujrzał go nakoniec na dziedzińcu, i skwapliwie wstał i postąpił naprzeciw wchodzącego.

Bekieszka na progu stanął, przeżegnał się... i runął potem do nóg Staroście; objął go za kolaną, i zaryczał płaczem wielkim,

— Co to jest panie Sebastyianie? co znaczy to pożegnanie się i płacz? Wstań, daj pokój.

— Ach! panie mój! dobrodzieju mój! nie odstąpię od ciebie, choćby do piekła razem z tobą!... mówił bęcząc jak dziecko Bekieszka.

— Co bluźnisz? co to znaczy?

— Wyklęli cię! wyklęli cię Jezuiści! bezbożni oni sami! Tyś tylu heretyków pobił! a oni cię katolika wyklęli!

— Ale cóż się stało? mów regularnie, bo nie domyślić się nie mogę.... Jak to wyklęli?

— A tak, rzekł powstawszy i płacząc zawsze; ale jednak opamiętawszy się nieco, i opowiadając rzecz całą, choć bezładnie i pod wpływem okropnego wrażenia, jakim był dotknięty:— z początku szło wszystko regularnie... msza wyszła załobna, lamp wiele, świecy wiele, a każdy z zapaloną świecą....

— Ale mniejsza tam o świece, przerwał Starosta.

— Nie, nie mniejsza, bo i świece były w tym fatalnym akcie, a najbardziej i mnie, i wszystkich to przeraziło, że trup leżał w trumnie odkrytej i zakrwawionej....

Starosta wzdrygnął się. — Ej! dajże mi pokój z tym trupem! koniec końcem, cóż potem?

— Cóż? ja zaraz pomyślałem: *Quis scit* co za górą? Ale gdy po mszy wszedł na ambonę; spojrzę kto? aż mi nogi odjęło! mój dawny professor

Syntaxymy X. Marcin Hincza. Postarzał wprawdzie, wygląda jak jaki pustelnik pokutujący; ale pomyślałem zaraz, oj! będzie źle, kiedy jego na oratora w takim ciężkim terminie wysadzili: nie darmo mówią *piper et papaver!*...

— A na miłość Boga! krzyknął Starosta zniecierpliwiony.

— Otoż jak wpadł on w ferwor, jak zaczął krzyczeć się, jak zaczął prażyć piekielnym ogniem pana, a beatyfikować zabitego; tak przyszło do tego, że chciał go wskrzesić! — Powstań! powstań! po razy kilka wołał; ja byłem aż pod chorami, bo przez tłum wcisnąć się nie mogłem, ale ci co bliżej byli powiadali, że trup się poruszał, i że wstałby pewnie, gdyby nie pan Koszczyc. Ot to przyjaciel pański! choć my go wypędzili. On prze-rwał te exorcyzmy i wzywając miłosierdzia Boskiego, osadził trupa.... Hincza porwał naten-czas świecę, którą pierwój na ambonie przy nim postawiono, a wszyscy dziwowali się dla czego, i cisnąwszy ją na ziemię, krzyknął: — „Jan Dazibog Niewiadomski — *wyklęty!*”

Oh! gdybyś tam był miłościwy mój panie, a tu znowu rzewniej płakać zaczął; gdybyś tam był, tobyś sam płakał, bo cały lud płakał i jęczał; a narzekał, że nigdy takiego przykładu, w naszym Żodziskim kościele nie było. Jedni Jezuitom, dru-

dzy panu ciężko złożyli, aż ściany kościoła trzęsły się... i ja wytrzymać już nie mogąc, prawie bez pamięci dopadłem konia i przyleciałem tutaj; choć za mną krzyczano: — „nie jedź do wykłętego! nie jedź!”..

Ale chwała Bogu nie jeden ja niedbam na Jezuitów, ani na ich klątwy; ot ktoś i drugi przybywa; rzekł Bekieszka postrzegłszy na dziedzińcu wozek saski — ach! to pan Krajczy!

Starosta wybiegł na przeciw Koszczyc, i uściskając go, rzekł głęboko wzruszonym głosem: — Daruj! daruj panie krajczy! Oh gdybym cię nieobrazil, gdybym cię nie wygnał onegdaj, nie przyszedłbym zapewna na ten niefortunny event....

Koszczyc spojrzawszy na Starostę, zdumiał się gdy ujrzał, jak okrótną na nim zmianę te dni kilka wywarły. Gwałtownego człowieka — gwałtowna objęła ruina; twarz, oko, czoło, dziesięć mu laty postarzały.... Tém więc bardziej dotknięty, wzajemnie go uściskając: — nie mówmy rzekł, o tém co się stało; radźmy raczej Starosto, w czém ci przyjaciel w złej doli pomódz może?

— W złej doli. Oh prawdziwa zła dola! Prawdaż to, co mi Suroż teraz prawil, że mię Jezuiści wykłeli?...

— Prawda. — Oba milczeli przez czas niejaki. Staroście krew zawrzała i nagłém uderzeniem w gło-

wę, głos mu tamowało.... Koszyczek czekał, czém się pierwszy impet jego objawi, dla stosownej perswazyi.

— Ha! więc mię spychają do piekła! wrzasnął nakoniec w pół obłąkany Starosta, i zgrzytnął zębami, jakby już potępieniec. — Do piekła! Sprawiedliwie! Dalibóg sprawiedliwie! bo szatan wmieszał się w tę sprawę! Dźwięk! szatan, lucyfer! Ja zabić xiędza nie chciałem.... byłem pijany... byłem nie przytomny... Boże mię ubij! jeżeli celował do kogo... ale djabeł poniósł kulę w pierś Jezuity!... ha dźwięk! dźwięk panie Krajczy! mnie więc szatan porwie! Ale nie jednego! przysięgam nie jednego! ja lubię kompanję... Cha! cha! cha! — Postać jego, gdy to wymawiał, straszliwa i prawdziwie piekielną była.

Wprzód nieszczęście, zgryzota, żal nawet kruszyły go niejako, i wycisnęły piętno głębokiego cierpienia na zboliałem czole... ale teraz rozpacz! rozpacz bez nadziei... Oh! rozpacz koi się nadzieją!.... ale odbierz nadzieję! odbierz występnu nadzieję w miłosierdziu Bożém, a wnet serce mu skamienieje i zrobisz zeń zatwardziałego i wzgardzającego karą, której uniknąć nie może, zbrodniarza!

Niestety! któż te nadzieje ludziom odbiera? Niegdyś, jako w zdarzeniu tu opisującym się fanatyzm;

fałszywy tłumacz praw Boga, surowość jedynie jego nieprześląganą i gniew ogłaszając, zawierał niebieskie, a otwierał piekielne tylko bramy grzesznikom. Dzisiaj, bezbożność i bezreligijność, jeszcze gorzej przysługują się ludzkości: tamten kazał przynajmniej lękać się Boga, ta od wszelkiej wiary, a zatem i od wszelkiej obawy uwalniając, rozpasuje też na wszystko.... a w nieszczęściu, w cierpieniu, w zgryzotach, zupełniej jeszcze zabija nadzieję i do rozpacz przywodzi przekonaniem, zwierzęcego nicstwa człowieka.

Niewiadomski w rozpacz przeklinał ludzi, którzy go od Boga odpychali; tegowieczny niedowiarrek, jakimkolwiek go właściwem i cechowem nazwiemy imieniem, w rozpacz przeklinałby Boga, jeżeliby jeszcze w niego wierzył, że go tworząc bez celu i miłosierdzia, na cierpienia tylko skazał...

Daruje mi czytelnik tę małą dygresyę: w rozważaniu serca ludzkiego w upadku, same mi się pod pióro nastroczyły te dwie przyczyny, łączące się ostatecznością w jednostajnym skutku na zgubę człowieka.

— Uspokój się Starosto, mówił Koszyczek biorąc go za rękę, uspokój się i pomówmy *frigida sanguine* (1).

(1) Zimną krwią.

wę, głos mu tamowało.... Koszczyc czekał, czém się pierwszy impet jego objawi, dla stosownej perswazyi.

— Ha! więc mię spychają do piekła! wrzasnął nakoniec w pół obłąkany Starosta, i zgrzytnął zębami, jakby już potępieniec. — Do piekła! Sprawiedliwie! Dalibóg sprawiedliwie! bo szatan wmieszał się w tę sprawę! Dźwięk! szatan, lucyfer! Ja zabię xiędza nie chciałem.... byłem pijany... byłem nie przytomny... Boże mię ubij! jeżeliś celował do kogo... ale djabeł poniósł kulę w pierś Jezuity!... ha dźwięk! dźwięk panie Krajezy! mnie więc szatan porwie! Ale nie jednego! przysięgam nie jednego! ja lubię kompanję... Cha! cha! cha! — Postać jego, gdy to wymawiał, straszliwa i prawdziwie piekielną była.

Wprzód nieszczęście, zgryzota, żal nawet kruszyły go niejako, i wycisnęły piętno głębokiego cierpienia na zboliałem czole... ale teraz rozpacz! rozpacz bez nadziei.... Oh! rozpacz koi się nadzieją!.... ale odbierz nadzieję! odbierz występnemu nadzieję w miłosierdziu Bożém, a wnet serce mu skamienieje i zrobisz zeń zatwardziałego i wzgardzającego karą, której uniknąć nie może, zbrodniarza!

Niestety! któż te nadzieje ludziom odbiera? Niedyś, jako w zdarzeniu tu opisującym się fanatyzm;

fałszywy tłumacz praw Boga, surowość jedynie jego nieprzeblaganą i gniew ogłaszając, zawierał niebieskie, a otwierał piekielne tylko bramy grzesznikom. Dzisiaj, bezbożność i bezreligijność, jeszcze gorzej przysługują się ludzkości: tamten kazał przynajmniej lękać się Boga, ta od wszelkiej wiary, a zatém i od wszelkiej obawy uwalniając, rozpasuje też na wszystko.... a w nieszczęściu, w cierpieniu, w zgryzotach, zupełniej jeszcze zabija nadzieję i do rozpacz przywodzi przekonaniem, zwierzęcego nicstwa człowieka.

Niewiadomski w rozpacz przeklinał ludzi, którzy go od Boga odpychali; tegowieczny niedowiaręk, jakimkolwiek go właściwém i cechowém nazwiemy imieniem, w rozpacz przeklinałby Boga, jeżeliby jeszcze w niego wierzył, że go tworząc bez celu i miłosierdzia, na cierpienia tylko skazał....

Daruje mi czytelnik tę małą dygresyę: w rozważaniu serca ludzkiego w upadku, same mi się pod pióro nastroczyły te dwie przyczyny, łączące się ostatecznością w jednostajnym skutku na zgubę człowieka.

— Uspokój się Starosto, mówił Koszczyc biorąc go za rękę, uspokój się i pomówmy *frigida sanguine* (1).

(1) Zimną krwią.

— Wiem, wiem panie Krajezy, żeś mię w kościele nawet bronił.... Suroż mi to rozpowiadał. On mówi, że Hincza wskrzesiłby pewnie zabitego, gdybyś exereyzmu nie przerwał! cha! cha! cha! toby była sztuka jezuicka. Niechby wstał! niechby wstał! wszak on teraz wie nieomylnie żem doń nie mierzył....

Koszezyc trzymał zawsze rękę tak wyrzekającego Starosty, i czuł jak on drzy cały....

— Miłość Boga!.. gdzież tu miłość Boga!.. oni w Imie Boga wyklinają! a Bóg litościwy, Bóg przebacza!..

— Tak właśnie i ja, przerwał Krajezy, odezwałem się w kościele: „*Justitia coram Deo est misericordia.*”

— Starosta Antowilski wykłety!!! Dźwięk! A klasztor żodziski spalony!... Spalony, zniszczony, kamień na kamieniu nie ostoi się. Czyż szlachcic, żołnierz, który krew za kraj i wiarę przelewał, nie znajdzie już przyjaciół? mnie spalili Szwedzi heretycy, lutrzy... więc Jezuici chcą żebym i ja jak Lubomirski w Radoszkowiczach (1) został lutrem... i zostanę — dalibóg zostanę!...

— Cóż potem Starosto? w żadnej religji palić i zabijać nie godzi się; to z Bogiem, nie z Jezuitami sprawa.

(1) Patrz przypisy.

— Ależ jam go nie dobrowolnie zabił... on mi konając przebaczył... konając... ha! Straszno to wtenczas było panie Krajezy! bardzo straszno... gdy o tém myślę... a myśli téj odpędzić nie mogę... gdyby nie ta mara...

Pójdźmy panie Krajezy do izby... ciemno mi w oczach... Jezuici przeklinając mnie świece pogasili.... może to dla tego i ciemno mi... dreszcz mię jakiś przejmuję... Krajezy po zmieszanej téj mowie, po obłąkaniu oka, i po twarzy nadzwyczajnie zmieszanej Starosty, poznał, że próżneby w téj chwili były dlań łagodzące i uspakajające słowa, że nad zdrowiem raczej jego czuwać należało; że stan ten gorączkowy, być może początkiem choroby umysłu lub ciała, albo obojgu razem: jakoż zgadł.

Żelazna ta organizacya złamaną nakoniec została... cios po ciosie go uderzył, a obadwa nadto silne i potężne!!!

Zgryzota, upokorzenie, bojaźń publicznego rozgłosu zbrodni, nakoniec religijna zgroza, tak wzburzyły i zapaliły krew jego, że się bez ciężkiego przesilenia ostudzić nie mogła: jakoż ledwo wszedł do domu, padł Starosta na łożo, osłabiał z razu, a potem najgwałtowniejsza maligna reszta mu odebrała przytomności i w niebezpiecznych objawiła się symptomatach.

IV.

Od dni kilku Starosta Antowiński leżał, albo w osłabieniu blizkiem, jak się zdawało skonania, albo w nagłych paroxyzmach zrywał się z łoża z nadzwyczajną siłą, odpychał strzegących go najtroskliwiej Suroża i Koszczyca, i biegł w pola, pędzony widmami swych wyobrażeń, zawsze z jednego źródła wylętych, zawsze w krwawych i piekielnych postaciach objawiających się obłąkaną jego głowie. Gdy wieczorem dnia jednego, przed północą prawie, zajechał przed ganek wóz kryty parokonny, Bekieszka wyszedł na spotkanie; wysiadł zeń człowiek, szerokim czarnym płaszczem okryty, którego twarzy pociemku dostrzedz nie mógł spotykający; a gdy w pierwszej izbie zdjął płaszcz z siebie, aż się cofnął Bekieszka poznając w nim xiędza Hinczę. Koszczyce także zdziwiony, zastąpił mu drzwi od chorego, i rzekł:

— Mój ojcie, Starosta jest śmiertelnie chorym, i widzieć się z nikim nie może, tém bardziej z tobą xięże.

— Panie Krajeży, odpowiedział xiądz, wiem o tém że Starosta śmiertelnie chory; przybywam więc, mając na sercu twoje własne słowa: „*Sprawiedliwość w obliczu Boga jest miłosierdzie!*” To mówiąc odsunął, poważnym skinieniem ręki, Koszczyca:— Nikt za mną— rzekł, — to spowiedź— i wszedł do chorego. Wyraz ten odjął wszelkich świadków temu, co się dzieć lub mówić mogło między kapłanem, i bliskim zgonu penitentem.... Koszczyce w religijném uszanowaniu dla świętego obrzędu, aby mimowolnie nawet nie posłyszeć co ze spowiedzi, wyszedł do innych izb, wymawiając tylko z westchnieniem: „teraz wszystko w ręku Boskim!” a Bekieszka idąc za nim i nie mogąc rozplatać powodu przybycia Jezuitę, kręcił głową i mruczał przez zęby: „nie darmo mówią *piper et papaver!*”

W okolicach Krakowa, u podnoża prawie Karpatów, w pośród pięknej okolicy, którą późna jesień z ozdób letnich огоłociła, i szarą przed-zimową powlekła barwą; z publicznej drogi wyprowadzającą z granic państwa, zawracała się w bok szeroka z buków ulica, i przedłużając się na ćwierć prawie mili, dochodziła do wspaniałej bramy, za którą wielki murowany i murem opasany wznosił się zamek.

Wczesny zmrok jesienny ociemnił tę okolicę, a wiatr mroźny pędząc wichrem szron zlodowaciały, ćwiczył po twarzach opóźnionych podróżnych, i przyspieszał niecierpliwego ich ku domowemu ognisku kroku.

Powoli i z utrudzeniem szedł natenczas tą ulicą i zmierzał ku zamkowi, człowiek w zwyczajnej i często w tamtym wieku postrzegać się mogącej, a teraz z malowideł tylko znanej, pielgrzymiej szacie. Miał on na sobie z grubego sukna, krojem zakonnego habitu, sutannę, ściśniętą czarnym skórzanym pasem, rożaniec z figurą Ukrzyżowanego drewnianą ale misterną roboty, wisiał mu na piersiach, a w ręku miał kij długi, na którym u wierzchu przywiązana tykwa, jako widome godło pobożnego wotum, pożyteczne razem na zapas wody ochładzającej znużonego wędrowca. Okrywał zaś to wszystko szerokim płaszczem z podobnie grubego paklaku, a głowę, kapturem oden, chroniącym go i teraz od zimna i szronu. I taka błędna postać zakolała do zaryglowanej bramy zamkowego dziedzińca.

W kraju naszym, to obeym najazdom, to wewnętrznym rozruchom, bezustannie otwartym, przemożni panowie, feudalnym naówczas obyczajem, mieszkania swe w twierdze zamieniali. Następnie nadszedł czas spokojnego potem odrętwienia, gdy

nieużyteczne baszty w gruzy rozsypywać się zaczęły, gdy łańcuch zwodzonego mostu zerdzewiał i zerwał się, gdy „woda dysząca w fossach z pod zielonych pleśni” (1) wsiękla w ziemię, dostarczając tylko wilgoci zasilającej trawy i chwasty, któremi wał główny porastał; a pałace i zamki zamiast groźnych warowni, otaczały się rokosznymi ogrodami *Armidy*, w których drzemał zniewieściał wnik walecznego naddziada.

Strażnik bramy otworzywszy furtę, spójrzył na przychodnia; a w zmroku nie mogąc dobrze rozpatrzyć tej wysokiej, czarnej brodaty, i niezwyčajnego pozoru figury, przymknął drzwi i głowę tylko wytknąwszy, zapytał niespokojnie:—ktoś waść?...

—*Laudetur Jesus Christus! Nobilis Polonus sum*, odpowiedział przychodzień, — *Romam et Hierusalem proficiscor....*

On prawi po łacińsku, przerwał drugi towarzysz strażnika może to jakiś pielgrzym, toć nie nowina; puść go i nie trzymając na mrozie, prowadź do xiedza Kapelana; Jezuita rozmówi się z nim i zrozumie.

Na to słowo Jezuita, podróżny cofnął się i zatrzymał... lecz czy to noc coraz ciemniejsza i burzliwsza, czyli jakie inne wewnętrzne poczucie,

(1) Grażyna.

zeterminowało go że wszedł; a gdy się blaskiem pochodni pod sklepieniem bramy oświecił, przekonali się tém bardziej strażnicy, kto on był rzeczwiście, i jeden z nich powiodł go ku zamkowemu skrzydłu, do mieszkania kapelana.

— *Laudetur Jesus Christus!* powtórzył pielgrzym, wchodząc do izby siedzącego nad brewiarzem xiędza.

— *In saecula saeculorum*, odpowiedział ten podnosząc głowę — a to jakiś *peregrinus*... pielgrzym — *unde venis mi frater* (1) *et quo tendis!*

Kapelan z pospolitego natenczas zwyczaju, zapytał łacińskim językiem, który tak był powszechnym, że z nim całą Europę przejść można było; lecz na myśl że go przychodzić mógł nieźrozumieć, miał też same pytanie powtórzyć po polsku, gdy ten odpowiedział uchylając pokornie głowę: — *Nobilis Polonus sum, Romam et Hierusalem proficiscor, pro peccatis meis.* (2)

— Jakże się nazywasz Mości Panie?

— *Joannes Deodatus Nescio.* (3)

— *Nescio!* co za nazwisko *Nescio!* — rzekł

(1) Zkąd przychodzisz mój bracie, i dokąd dążysz?

(2) Szlachcie polski jestem, do Rzymu i do Jeruzalem dążę za grzechy moje.

(3) Jan Dadzibog Niewiem.

zdziwiony kapelan i patrząc w oczy pielgrzymowi, czekał wyraźniejszej explikacyi.

Ten znowu powtórzył: — *Joannes Deodatus Nescio.*

— *Nescio! nescio!* i ja *nescio!* a chciałbym przecież *scire* (1) i cóż *nil dicas?*.... pielgrzym mileżał.

Xiędz spójrzył znowu kilkakrotnie w oczy przybyłemu, i przechadzając się potem zamyślony po pokoju; — Byćby to mogło... mówił sam ku sobie — byćby to mogło... i nie raz się zdarzało... pokuta ciężka!.... i grzech musiałże być ciężkim; — powiedz mi przynajmniej pobożny człowieku, rzekł nakoniec xiędz do pielgrzyma, czy peregrynacya twoja jest pokutą naznaczoną ci przez spowiedź świętą, czy *proprio motu* przez ciebie samego namysłaną?

— *Pro peccatis meis* — odpowiedział pielgrzym.

— No! rozumiem, więc ci te tylko słowa wymawiać dozwolono.

Pielgrzym skinieniem głowy potwierdził ten domysł.

— Pomiędzy ludem chrześcijańskim dójdziesz zapewne do Rzymu i z temi tylko słowami na u-

(1) A chciałbym przecież wiedzieć, — i cóż, nic nie powiesz?

stach; wszędzie cię zrozumieją, i nikt ci przytułku i posiłku nie odmówi; ale dalej między poganami... Bóg chyba będzie twoim szczególnym opiekunem; pogadamy zresztą o tém, odpoczniesz tutaj, ja cię władzą moją kapłańską na te dni odpoczynku od szluby rozwiążę, i nabierzesz sił do długiej twój jeszcze wędrówki.... Muszę cię wszakże zaprowadzić do pana tego zamku, on cię wesprze.

Pielgrzym odmawiającem poruszeniem głowy, odpowiedział na tę propozycję i wyjmując z kieszeni swój sutany kawał suchego chleba, okazał go xiędzu i razem tykwę na kiju.

— I to rozumiem — rzekł znowu kapelan — idziesz o żebranym chlebie; twarda zaiste pokuta dla człowieka nawykłego może do zbytków w posiłkach i czynach.... ale wytrwaj człowiecze! Bóg skruczę serca, i pokorę twoję i cierpliwość twoję polieży!

Pielgrzym z głębokiem westchnieniem wzniosł oczy na figurę Chrystusa, na ścianie umieszczoną...

— Musisz pójść jednak za mną, — mówił dalej Jezuita, — bo za ten pan tego domu nie darowałby mi, gdybym cię pokryjomu wyprawiał; — weszli więc na górę do pałacu i przez wspaniałe podwoje do wielkiej sali, w której gospodarz z kilką gośćmi, przy rozplamionym kominie rozmawiali.

— Przyprowadzam — rzekł xiądz — waszój xiążęcej mości pielgrzyma idącego do Rzymu i do ziemi świętej... co to jest, gdzie uciekasz?

Pielgrzym bowiem sunął się nagle do drzwi; przytrzymał go silnie Jezuita i, — mój bracie, rzekł, nie jesteś bodaj tym, za kogo uchodzić chcesz, kiedy unikasz oka pocziwych ludzi. — Tym czasem i wszyscy od komina zbliżyli się ku drzwiom; pielgrzym kaptur na oczy nasunął tak, że z trudnością twarz jego dojrzeć można było i milezał.

— Cóż to za tajemnica? kto on jest? zapytano.

— Przed chwilą, mówił kapelan, wprowadzono do mnie tego człowieka, którego z szat i postaci osądziłem pielgrzymem, szukającym przytułku na dzisiejszą noc burzliwą. Na zapytanie kto jest, i dokąd dąży? odpowiedział kilką łacińskimi słowami; na insze każde pytanie, milezał; ztąd wniosłem, że albo dobrowolne *votum*, albo naznaczona pokuta na spowiedzi, w milezeniu mu odbyć tę peregrynację nakazała; więc go do xięcia pana przyprowadzić postanowiłem, chociaż obiecwanego mu wsparcia na drogę odmówił ukazaniem suchego kawałka chleba i swojej tykwy; ale teraz gdy uciekać chce, nie wiem co o nim mam myśleć.

— To jednak rzecz szczególniejsza, rzekł pan, którego kapelan xięciem nazywał i obracając się do pielgrzyma: — Bracie, mówił, po co ukrywasz

tak starannie twarz swoją! nie masz czego się wstydzić; owszem gdy pielgrzymka twoja jest na chwałę Boską, jest pokutą za twoje grzechy; a któż z nas bez grzechu? Za cóż więc się zapierasz przed chrześcijanami, i może równemi jak ty grzesznikami.... opowiedz nam zatem kto jesteś, dokąd zmierzasz? i jeżeli można powód twój pobożnej wędrówki.

Z widocznym przymusem i z cicha, wyrzekł pielgrzym zwyczajną swoją odpowiedź: — *Nobilis Polonus sum, Joannes Deodatus Nescio, Romam et Hierusalem proficiscor, pro peccatis meis.*

— Co za głos? zda mi się znajomym! zawołał zdziwiony xiążę, i przystąpiwszy do pielgrzyma, podjął mu gwałtem kaptur kryjący twarz jego.... Niepewne światło z pośrodku sufitu od kilkaramiennego świecznika padające, zaledwo dozwoliło dostrzedz oblicze blade i trudem długiej podróży wycieńczone, oko pod wysokim czołem wklęsłe, a zachodzące łzą i utkwione w xięciu: — byż to może? mówił on w niepewności.

Lecz łzy u pielgrzyma przepelnivszy żrenicę, bujnemi kroplami spadały już po twarzy... xiążę natenczas wykrzyknął: — Tak! to on! Ach starosta!... Nie dał dokończyć pielgrzym rzucając się mu w objęcia... lecz razem przykładając rękę do ust jego, rzekł uroczyście.

— *Joannes Deodatus Nescio!*

Wszyscy obecni i Jezuita stali w zadumieniu.

Po długich uściśnieniach xiążę ocierając oczy rzekł: — Niechże tak będzie jak chcesz, tak! *Joannes Deodatus Nescio*; co do słowa wytłumaczono: Wiem o wszystkiem, wiem, pisano do mnie ztamtąd; nie wiedziałem tylko o twém przedsięwzięciu tej peregrynacyi, w której niech cię Bóg wspiera, a zdrowia i sił dodaje — kiedyż wrócisz?

— *Nescio!* odpowiedział pielgrzym.

Xiążę Sanguszko (zgodnie bowiem czytelnik, że to był on) trzymając rękę pielgrzyma; — xięże Ignacy, rzekł, z tego co widzisz rozumiesz łatwo, jak blizkim jest mojego serca ten pokutnik; objawiając zupełnie stan jego i nazwisko, zgwałciłbym jak mi się zdaje *votum* jego....

Pielgrzym poruszył głową na znak potwierdzenia.

— A zatem polecam ci *Dominum Nescio*: duchowną perswazją do której jako kapłan masz prawo, a jako członek *Societatis Jesu* większe jeszcze niżeli zgadywać możesz... spraw aby *peregrinus* nasz, odpoczął tu czas niejaki; aby przyjął na długą jeszcze drogę swoją, pomoc przyjaciela i brata...

Pielgrzym skinieniem głowy zaprzeczył propozycyi wzruszonego do głębi xięcia i jeszcze raz uścińawszy go czule, odszedł na noc za kapełanem.

Nazajutrz gdy rano zapytał xiażę o pielgrzyma, już go w zamku nie było.

W Litwie, a około Żodziszek szczególnie, dziwne się o staroście antowilskim rozchodziły wieści; powodem do nich było, że on powstawszy z długiej choroby, i odprawivszy gdzieś na dni kilka, nieodstępującego odeń ani na chwilę Suroża, zniknął sam z Budzilek, gdzie? dokąd? niewiadomo.

Pan Koszczyc objął rząd majątków, okazując na to upoważnienie starosty; a na zapytanie wszystkich, a nawet troskliwego Bekieszki, odpowiadał jednym słowem: *Nescio*. Bekieszka zaś, który swych funkcyj administracyjnych w Budzilkach nieopuszczał, niechcąc wyznać własnej niewiadomości; albo z tajemniczą miną pokręcając wosą, mówił: *quis scit* co za góra; albo gdy niezaspokojeni tém ciekawi, ubliżające staroście tworzyli wnioski;— oho, ho! niebóje się, odpowiadał — nie darmo mówią *piper et papaver!* temi jedynie słowy i siebie i drugih w wątpliwych kójac myślach. A na koniec, po latach kilku wnioski i wieści i ciekawość ustały.

V.

Piękneż to i tklive święto w Kościele chrześcijańskim, dzień zaduszny! Łączenie duchowne żywych z umarłymi... wszystkie uczucia sere tklivych i kochających, łączą się w téj chwili i wznoszą w niebiosa, do oczekujących tam zda się na nie najmilszych nam istot rozdzielonych od nas ziemskim życiem, złączonych z nami duszą... Smutny pogrzebowy obrząd! a jednak nie budzi on ani przykrych ani gorzkich wrażeń, napęlnia nas owszem czułym upojeniem żalu i pociechy razem,— *miłości i nadziei*, które trzecia ich towarzysząca wiara wznosi do Boga!

Ile osób w Kościele, tyle wspomnień!!! ile słów, tyle modłów, ile łez, tyle rzewnej tęsknoty, tyle smętnego a miłego obcowania z temi, do których się wzdycha.... Ot nieszczęśliwa matka, okiem swéj duszy, upatruje między aniołami ukochanego swego dziecka i widzi go uśmiechającego się ku sobie, niemowlęciem obliczem... Oto dwoje starych rodziców, pytają syna dorodnego młodzieńca,

dla czego drżącym ich krokom na tym padole, ujął podporę?... I widzą go podającego im za podporę, krzyż na miejscu swego ramienia, i ujmują krzyż z pociechą i uspokojeniem, i wspierają się na nim w krótkiej już drodze swojego żywota!... Ot cała osierocona i żalobą okryta rodzina, wzywa pośrednictwa do Boga i błogosławieństwa z niebios tej samej ręki, która niedawno konająca ją błogosławiła; i widzi tę rękę, i słyszy modły i błagania ojca i opiekuna swego do Stwórcy, za swoją tu dolę na ziemi... Oh! bo widzimy natenczas i czujemy tych wszystkich, których i za grobem kochamy, do których dusza ulata, i za których się modlim!

Noc; kiry okrywające ściany świątyni, mdłe światła lamp pełgających wśród ciemnoty, a rzęsiszysze około trumny, jakoby około widomego gościa przeznaczenia człowieka; uroczyste chory kapłańskich pieni, i na przemian ponure mruczenia i szepty ich modlitw, jakby tajemnicze z duchami rozmowy; wszystko to, przenika do głębi dusze skupione, ogarnia i oblewa zmysły i serca nasze religijnym uczuciem trwogi i miłości, uniesienia i pokory przed panem życia i śmierci; przed panem nieśmiertelności!!! nieśmiertelności, po której nieograniczonym szlaku, snują się gęścieli w tej niżeli w którejkolwiek innej godzinie, mię-

dzy niebem a ziemią: myśli, westchnienia i nadzieje ludzkie.

Taki więc obchód odbywał się w kościele Żodziskim, napełnionym ściśle zgromadzeniem wszelkiej płci i wieku. Po wszystkich rytuałach kościelnym oznaczonych nabożeństwach i modlitwach, odbytych przededniem, wyszła nakoniec msza wielka... i milezący dotąd organ, ozwał się żalobnymi tony, wtórowany smutnym wszystkich dzwonów odgłosem. Lud cały upadł na kolana lub na twarz i to ułatwiło wejście i ukazanie się w kościele nadzwyczajnej postaci, która wśród tego pogrzebowego obrzędu, zjawiła się zdziwionemu ludowi, jakby z tamtego świata gorliwem nabożeństwem wywołana...

Człek w białej długiej szacie i białym okryty płaszczem, z koszturum palmą ozdobionym w rękę, z twarzą zwiędłą i wynędzniałą, przechodził poważnym krokiem świątynię między zdziwionem zgromadzeniem... przed wielkim ołtarzem upadł krzyżem; a tak nikt mu się zbliżyć i dokładnie przypatrzeć nie mógł; lecz czytelnik zgadnie w nim zapewne pielgrzymę, który przed kilką laty (1) ukazał się w zamku xięcia Sanguszki, u stop Kar-

(1) Prawdziwe—Niewiadomski pięć lat na tej wędrówce strawił.

patów, a teraz zmieniawszy szatę pokutną, na suknię wyzwolenia, wrócił na ojczystą ziemię i do ojczystego kościoła.

Wśród mszy jak zwykle, szedł na ambonę kaznodzieja, tenże sam xiądz Hincza. Sędziwy już przed laty, teraz jeszcze bardziej wiekiem pochylony i zgrzybiały starzec, za nim akalita, jak niegdyś fatalną czarną świecę, tak teraz niośł na bogatym wezglówiu zwój pergaminowy.

Drżącym krokiem wlokł się on przez kościół, i wstąpiwszy na ambonę, zaledwo mógł być poznany; od czasu bowiem klątwy, niewidziano go kazającego, wrażenia więc tym niespodziewanym jawieniem się sprawione, zjednoczyły się z ukazaniem pielgrzyma; jedno drugiem się wzmogło.

„W Imię Ojca, Syna, i Ducha!— rzekł X. Hincza i rozwinąwszy pergamin: „*Breve*, mówił, Ojca naszego w Chrystusie Papieża Klemensa XI. (1) „przyniesione nam z Rzymu przez pobożnego pielgrzyma do grobu Chrystusa Pana i do grobów „Śś. Apostołów jego *Piotra* i *Pawła*, a po trudnej „i długiej peregrynacji po ciężkich pokutach ofiarowanych Bogu, wracającego dziś tu, i klęczące „go oto przed ołtarzem Pańskim, z absolucją wszystkich grzechów jego, a w szczególności głównego,

„który przed pięcią laty zawarł był przed nim drzwi „świątyni Pańskich, otwarte mu teraz kluczem „Ś. *Piotra*?

Tu odczytał *Breve*, z którego wszyscy dowiedzieli się, kto był pielgrzym, i gdzie był przez lat tyle Starosta Antowilski. Gdy skończył czytanie, wzruszony głęboko starzec zwrócił się ku ołtarzowi, i wyciągając ku niemu z błagalnym wzrokiem, wyschłe swe ręce: „*Nunc dimittis!* zawołał, *Nunc „dimittis Domine animam meam in pace!* Teraz „przyjm o Panie, ducha mego w pokoju! Teraz „o Panie! teraz!... gdym doczekał, że z tego „mego miejsca, i temiz samemi usty, któremi przed „pięcią laty surowość sądów twoich ogłaszałem, „ogłaszam dziś zmiłowanie i przebaczenie twoje! „ogłaszam dobrodziejstwa wiary twojej świętej! „Tak, zaiste! tak! *Justitia coram Deo, est misericordia*— sprawiedliwość podług Boga jest miłosierdziem! Itemu to nieograniczonemu miłosierdziu twemu o Boże polecam ja dusze wszystkich „wiernych zmarłych, za których dziś pokorne a uroczyste, kościół twój święty czyni ofiary. Nakoniec polecam własną mą duszę, wkrótce mającą „stanąć przed tobą, wołając do ciebie o Panie! „*Tunc dimittis*”... Łzy bujne, dobywające się z zapadłych źrenic starca, nie dozwoliły mu dokończyć modlitwy... szedł chwiejący się z ambony, a piel-

(1) W tamtej epoce siedział na stolicy rzymskiej.

grzym również łzami zalany, powstał, i palmę swą na ołtarzu złożył.

Nazajutrz starosta ze szlachtą przyjaciółmi przybiegłymi wnet na powitanie jego, i z Bekieszką, wykrzykującym w zapale radości: — a nie mówiłemże Waspanu *quis scit* co za górą? — wkopał własnymi rękami krzyż na miejscu skonania Jezuitę. Krzyż ten odnawiany od czasu do czasu, trwa i dotąd, a z nim podanie będące treścią tej powieści i służyć mogące dowodem, że w owym czasie po występku, razem z surowym sądem i wyrzutem sumnienia, wchodziły w serca chrześcijańskie: prawdziwy żal, skrucha, i bojaźń wiecznej kary, a zatem i postanowienie poprawy, a odrzucenie się złego.... i jeszcze azatém, że Religia natenczas poprawiając lub karcąc wyuzdaną swawolę, ubezpieczała towarzystwo, i lepiej niżeli prawa, spokojności powszechniej strzegła.

K O N I E C.

PRZYPISY.

Stronica 13. W początkach panowania Stanisława Augusta, że jeszcze pozwalało sobie duchowieństwo rzucać klątwy, lecz że na nie szyderstwem już odpowiadano, mam dowodem przed sobą rękopis ówczesowy, w którym znajduje się długi wiersz pod tytułem: „Skarga do Jmci Xiędza Nuncyusza, na Jmć Xiędza Toczyłowskiego Prałata Wileńskiego.“ Skargę tę zanosi niejakiś obywatel wyklęty przez Prałata, za jakieś polityczne jakoby zdania; przepisywać tę szczególniejszą poezję — byłoby zadługo; kończy się tak:

„A ty stolicy świętej Sądzie wielowładny,
„Przyjmij me skargi na błąd tak szkaradny!
„Zagroź na potem zgorszeniu takiemu,
„Wyrwij mię z piekła, a daruj głupiemu.”

T.....

Stronica 14. Trwa i dotąd w *Raduszkowiczach* podanie o bytności tam Szwedów, a szczególniej o ich swawoli, łupieztwie i znieważaniu kościołów; że za to dopuścił ich Bóg ślepotą i morem; karą tem widoczniejszą, że prawie na samych tylko Szwedów padła. Na dowód okazują *Gorę Szwedzką* nazwaną, tuż za miasteczkiem wznoszącą się, która ma być wielką mogiłą, pokaranych tak od Boga i pomarłych rabu-

siów. Dawniej był zawsze na niej krzyż stawiany przez mieszkańców miasta; a od lat kilku stoi tam kaplica.

O wiorst dziewięć od Radoszkowicz po drodze *Hajny*, po nad rzeką *Udrą*, miała zajść natenczas, jako nie-sie podanie, straszna bitwa; a rozsypane około tego miejsca rozmaitej wielkości kopce i wzgórki, mają być także mogiłami Szwedów poległych. — Szczegółów tych raczył mi udzielić szanowny Pleban Radoszkowski Jmć Xiądz Dziekan *Draudzik*.

Stronica 14. Podwójném, jak wiadomo, było najście Szwedów na ten kraj; miejscowe jednak podania, nie rozróżniają zwykle pierwszego od drugiego. — Szwedzkie mogiły, Szwedzkie brody na rzekach, Szwedzkie drogi i tym podobnie. Czy zaś po nich *Gustaw* czyli *Karol* chodził, dopytać się nie podobna i zgadnąć inaczej nie można, jak radząc się w okolicznych domach archiwów szlacheckich, w których prawie zawsze znajdzie się rozwiązanie tej zagadki. I tak dla sprawdzenia podania o spaleniu *Budżetek Niewiadomskiego* przez Szwedów, i o grassowaniu ich w tych okolicach, poświadczyły mi archiwa *Dobrowlańskie* przez *Graffa Günthera* dziedzica tych dóbr, łaskawie dla mnie otwarte. Znajduje się tam dekret kompromissarski, roku 1728 między Jezuitami Żodziskimi i Dobrowlanami ferowany, a rozmaite z lat dawnych graniczne i inne spory; a między temi i o prowiant dostarczany do obozu wojsk szwedzkich w roku 1708.

Stronica 47. Powszechnie widać było zabobonne mniemanie, że *Karol XII* miał inkluzę, która go od kul bronila. Waleczność osobista jego, dała zapewne do tego powód. W rękopismie *Alexandra Mackiewicza*, z którego cudzysłów na karcie 9-tój wypisałem, znajdują się wiersze za i przeciw *Karola*; pochwała jego i odpowiedź na nią; w tej ostatniej Poeta wyraźnie mu inkluzę przyznaje. Wypisuję tu wyjątkiem z je-

dnęj i z drugiej przeciwne sobie strofy — dwie ostateczności. Prawda, jak zwykle, musiała się znajdować w umiarkowanym środku.

„Obraz prawdziwy króla szwedzkiego *Karola XII* twarzy, postury, umysłu, i akeyi w Polsce przez lat siedm zdziałanych (*) *Pochwała*.”

„Wielkiego króla, tryumfy i męstwem
Więszszego szczęściem stawiam i zwycięstwem,
Który heroicznemi aż na zazdrość czyni
Wszystkiego świata napelniał krainy.”

Karol dwunasty — król państwa szwedzkiego

Wielki zwycięzca, choć wzrostu małego.

Jednak urody nie skąpej jest cale

Bo przyrodzenie dość mu doskonałe

Tak faworytem stało się w tej mierze

Że dank we wszystkich przed innemi bierze.

Delikatnego ciała będąc prawie,

W pracach jest wszystek — bo robi ku sławie

Więcej rozumu, aniżeli ciała,

Jego posturze natura nadała.

Włos ma na głowie światły niezbyt spory —

Ten głowę osuł, gestemi kędziory

Umysł i czoło, rozum, powagi

Pełne, a serce męztwa i odwagi.

Oczy są żywe, *Marsem* pałające

Milém wejrzeniem wskróś przenikające,

Nos miękki cale — jaki kawalera

Wielkiego zdoła, przy nim dobra cera.

Usta nie małe, lecz nie naganione,

A uśmiechaniem z prawdą napelnione:

Twarz ma pociągłą, kawalerskiej miny;

Ta przypraw nie zna dla takiej przyczyny;

(*) Tytuł obu wierszy jest jednostajny, bo odpowiadający na pochwałę, tenże sam tytuł i w naganie powtórzył autor, mając przedmiot jednostajny, tylko odwrótnie nań patrząc.

Bo chcąc iść wielkich bohaterów szlakiem
Nie dba o gładość gdy chce być Junakiem
Ciała, rozumu, różne w nim przysioły,
Jedne z zarobków sławy, drugie z enoty.
Szyja przydługa, z dużemi ramiony,
Pewną jest wrózką, że niezwyccięzony:
I nad dwadzieścia więcej mil ubiegał
Gdy wiedział gdzie się adwersarz rozlegał.

Sila walecznych monarchów krajnika
Wspomina; ale tobie wojennika
Równego jeszcze w odwagach nie stawia,
Co się dowodem istnym słuszenie jawi etc.

Odpowiedź.

Karol dwunasty król szwedzki jak żywy
Pokaże jego portret tu prawdziwy:
Statura mierna k temu młode lata
Sucha, ruchawa, i fiutyńcowata. (sic)

Cierpkiego ciała — niżli do korony
Do prac i fatyg bardziej ułożony,
Rozum ma taki jak młodym zwyczajna,
Ma i *inkluzę* — i to rzecz nie tajna.

Włosy na głowie hrube i żółtawe
Jako szerść stojąc, w górę idą prawie,
Czoło pomierne, a tak ułożone,
Że są zamysły jego niezgadnione.

Nie Mars mu z oczu, ale chytróść błyska,
Bo prawda w sercu nie ma stanowiska,
Wszystko zdarł, złupił, gdzie oko zapuścił,
Nawet świątnicom Pańskim nie przepuścił.

Lecz świętokradzką obciążon zdobycza,
Niech pewien będzie, że go wnet przećwiczą:
Orlego nosa : kto go zna tak rzecze,
Iż mu ustawnie kropla z nosa ciecze.

Usta są duże i kielbasowate,
A uśmiechania pełne i bogate,

Pociągłej twarzy, téj nigdy nie myje,
A któryż kiedy król tak hydko żyje?

Wszystek jest zdrowy, choć z-złamaną nogą
Szwank wziął lustrując Wołoszę ubogą,
Na ucisk Polski, który wnetże powstał,
A *Urbanowicz* Rotmistrzem ich został.

Nieśmiertelnejś byłbyś godzien sławy,
Byś *inkluż* do téj nie używał sprawy,
Śmiało zaleca serce kawalera,
A cóż zaleca Szwecyi bohatera?

Nad Alexandra sława by cię wzniosła,
By zła estyma z *inkluż* nie urosła;
Pamiętaj na to, że gdy Bóg przypuści
Djabel odstąpi, i inkluza puści.

Byś nieprzyjaciół zguby i ponieki
A twoich zwycięstw z boskiej patrzył ręki,
I w nim nadzieję odwag swych położył
Nie w granatowej sukni którą włożył. (*)

Dla zdrowia twego zaszczytu i ciała,
A teć twa babka czarami nadziała,
I piekielnymi uzbroiła siły,
Być kule, szable, groty nie szkodziły etc.

Po wielu jeszcze sztrofach, kończy poeta proroctwem
pod Połtawą sprawdzoném.

„Bo gdy fortuna zbytnia komu służy,
Przeniosłszy morze, utopi w kałuży;
Tymże sposobem co zwyciężasz, i ty
Od adwersarza swego będziesz zbity.”

(*) A więc w granatowej sukni siedziała inkluza. To przypomina guzik Napoleona.

Stronica 58. Szczególniejsza ta miara odległości „na strzelenie do czapki” nie jest wcale przez autora wymyślona; w dawnych ograniczeniach znaleźć zdarza się „na strzelenie z łuku” w dziele: *Limites magni ducatus Lituaniae, ex originalibus et exemplis autenticis descripti. In lucem editi 1758. Vilnae.* W opisanii duktu granic wyraża się: „Podstaroście Brzeski Jan Jacynicz z ludźmi Dyminskimi, przyprowadzili nas do ostrowa Hodenia, znak rzeki rów, w którym jest woda, mieniać iż pośród tego rowu, błotem rzeka Or idzie: miejscami pokazując się a miejscami niknąc, którego rowu jest w poprzek na strzelenie do czapki. Potem prowadzili nas błotem, na którym błocie okazali trzy rowy bez wody, mieniać iż tędy rzeka Or idzie. Potem prowadząc nas błotem do jeziora Brzeskiego, pokazali nam rów predlichowaty (?) bez wody, którego rowu było niby na trzy strzelenia do czapki.” etc.

Stronica 71. Komu się zdarzyło, lub kto z powołania studiując nad piśmiennictwem polskim, wszelakich rodzajów i czasów, czytał kazania z końca XVII. lub z początków XVIII. wieku, pozna łatwo, że kazanie Bekieszki, jest parodią tamtoczasowej kaznodziejskiej wymowy, w której erudycja duchowna, ze świecką razem pomieszana, w przesadzonych cytacjach, w figuralnych sensach, w nadętym i napuszonym stylu, uznawana była za najwyższą doskonałość i mądrość kazania i kaznodziei. Znajdziesz tam i *Syreny i Appolina i Cycerona i Arystotelesa...* a koniecznie *Alexandra Macedońskiego i Herkulesa z maczugą*, zwłaszcza gdy panegirkiem pogrzebowym, należało jakiego wodza, a choćby i pana Rotmistrza tylko uczcić. Kazanie to więc w swoim rodzaju i w swoim celu jest: „Na płytkim gruncie rozbujających fluktów” Krasickiego. A że w nim i humor nasz dawny szlachecki, wyraźnie okazuje się, więc jest ono podwójną pamiątką. I skutkiem zapewne tej humorystycznej zalety, doszło ono aż do naszych prawie czasów, bo

choć ja wypisałem je z nieraz wspomnianego już rękopisu Mackiewicza; wszakże w młodości mojej, zdarzało mi się nie raz słyszeć one na wesołych hulatykach, wśród których dowcip kielichem wspomagany, rozśmieszał do rozpuku kompanię.

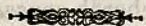
Stronica 100. W rękopisie tegoż Mackiewicza, znajduje się: „Wyznanie wiary prawdziwej chrześcijańskiej Ewangelicznej, uczynione i zaślepienemu światu podane, od Jmć Pana Jana Wojciecha na Wisznie i Jarosławiu Lubomirskiego: także z rodziców zaślepienia Rzymskiego będących urodzonego: a potem przez inspirację Ducha Świętego, oświeconego. Działo się w Radoszkowiczach, w województwie Mińskim leżącym miasteczku królewskim, w obozie Króla Jegości Szwedzkiego, natenczas tam stojącego z wojskiem 1708 r. Aprila 15 dnia.”

Lubomirski wyznaje się tu być Franciszkanem; od roku 15 wieku swego, przez szlub rodziców swoich do tego zakonu poświęconym: „a wkrótce też potem do królestwa Syjna (czy nie do Syam) od Rzymskiego dworu posłany, i w tym że królestwie lat dwanaście *continue* urząd Missyonarza apostolskiego zawiadując: naostatek od Rzymskiego papieża z królestwa Syjna rewokowany” etc. przechodzi w obozie Karola na wyznanie Ewangelickie, i Papieżowi złorzeczając, uroczyste daje *Vale*.

KAMIEŃ W OLGIENIANACH.

a rozpytujacemi ciekawie u wracających o procederze wojny.

Nowiny rozprowadane przez tych, którym się wojna nie powiodła, i którym zamiast spodziewanych tryumfów i zdobyczy, dała kalectwo lub ciężkie niemocce, nie były po myśli podstępującym ku niej, lecz też ich nie trwożyły bynajmniej: bo któż idąc na bitwy nie trzyma się oburącz, że tak powiem, nadziei, że go zły los oszczędzi, że go kule mijać będą, że wróci zdrow i cały? Bez téj nadziei, honor, który z rozwitą chorągwią chwały, wiedzie szyki do boju, zaiste! mniejby licznemi dowodził zastępy.... owszem! I rycerstwo więc i ciury nawet obozowe, cieszyli się nowiną, że jeszcze Smoleńsk nie był wzięty, że opanowane i oddane na zdobycz miasto, bogatym łupem nagrodzi każdemu długie fatygi i znoje. W owym bowiem wieku, jeszcze i ten wzgląd, dziś chwała Bogu znikły, gromadził ochoczych w obozy, zagrzewał w bitwach i dodawał cierpliwości w trudach i pracach wojennych.



II.

Było to więc w roku 1611, w połowie maja. Drogą, która oddawna traktem Połockim się zowie, jechał zwolna konno wojskowy, jak się zdawało z poważnych znaków pancernych, a za nim szeregowy, a raczej ciura obozowy, służebny.

Konie i pod panem i pod sługą mogły być kiedyś dzielne, ale teraz tak były chude i uznożone, że zaledwo dźwigać mogły jeźdźców, i rynsztunek a juki u sługi do siodeł uwiązane: pierwszy bowiem mając na sobie żupanik z ciemnego sukna, jaki pospolicie pod pancierz nadziewano, aby ten żelaznemi rębami, nie cisnął i nie mulał ciała, misiurkę krótką stalową w wałek zwiniętą, zawiesił z jednego boku przed sobą u łęku; z drugiej strony na przymocowanym haku, wisiał muszkiet, tak zwany *harłacz*, jakich podobnych łatwo jeszcze znaleźć można po wielu zbrojowniach, kończący się w kształt lejka, z którego garść kul razem rzucić można było w oczy nieprzyjacielowi. W toku tkwiła kopija na pół złamana, którą wiozł

rycerz dla pamiątki widać szwanku własnego i wiernej mu broni; nakoniec u boku szeroka i długa szabla, z furdamentem, kocią głową zwanym, a silnego ramienia wymagająca, na rzemiennych pasach przymocowana, a z tyłu siodła węzeł potężny z ruchomością wszelaką przypięty i zakryty płaszczem, kończył moderunek rycerza, nader ciężki na wyczerpane siły jego rumaka, którego młoda jeszcze majowa trawka dostatecznie podżywić nie mogła. Sam jeździec mógł mieć lat około trzydziestu; trzymał on ranią lewą rękę na tamlaku, to jest białej chustce, głowę miał także przewiazaną podobną chustką i nakrytą lekką czapeczką, z pod której nie dobrze jeszcze zleczona blizna, aż przez czoło się przedłużała. Lecz mimo jednak te rany, i z nich wynikłą błądź twarzą młodego człowieka, skład jego postaci od pierwszego nań wejrzenia okazywał siłę i zręczność, a oko i oblicze piękne i męskie razem, zapewnić zdawały się, że wola i odważna stałość umysłu, nie zdradzi w potrzebie potęgi ciała, o czém i rany jego dowodnie świadczyły.

Za nim już wlokł się *ciura*, to wesoło pogwizdując rozmaite obozowe piosnki, to śpiewając je głośno, aż się echa odzywały. Siedział on na drewnianym kozackim łęku, czarną, wytartą i dziurawą skórą pokrytym, ubrany sam mimo dnia

ciepłego, w burą grubą oponę, od której z tyłu kapiszon klinem ścięty, i wielkim różnobarwnym z sukiennych krajków kutasem zakończony, w deszczach i słońcach włożony na głowę, chronił ją doskonale, i jeszcze jakby kitą ozdabiał. Oponę ta ściśnięta była w stanie, szerokim rzemiennym pasem, na którym także rapier, któż wie czy kiedy dobywany, wisiał. W miejscu zwykłej ładownicy — spora cynowa flaszka, takąż czarką zasrutowana, na sznurze przez piersi przeczepiona; a na przeciwnym boku równymże sposobem umocowana szeroka torba ze skóry, a naładowana narzędziami, już to dla panów, już to dla koni w podróży nieodbitemi, i nakoniec czapka śpiączasta tatarska z gęstą opuchą, dokończyła ubioru krępego chłopaka. Starszy on był od pana swojego, ale nie poniosłszy żadnych wojennych szwanków, wyglądał czerstwo i rumiano, a prostą i rubaszną wesołością, rozrywał długie i smętne zadumania jego. W rękę trzymał stary i złamany łuk, od którego zerwaną pół struną, zacinał konie, jak biczem.

— A długoż jeszcze, miłościwy panie, rzekł, wlec się będziemy przez tę ciemną i djabłą Litwę, nim trafim do tego dworu którego szukamy?

— Zdaje mi się, odpowiedział towarzysz pancerny, że gdyśmy już Wilję przebyli, blisko za-tém być musimy.

— A chwałaż Bogu w Trójcy świętej jedynemu i najświętszej Pannie Częstochowskiej! ale daleko jeszcze czy blisko, trzeba panenku, koniki popaść, bo nie dojdą i pół mili; ot nie zły dyrwanek, i trawka nie spaszona, niechże jej trochę poskubią, napoim ich potem gdziekolwiek po drodze, a i my przekąsim nieco.... Jest we flaszy gorzalina, jest w torbie bułka chleba, jest jeszcze i kawał wysmienitej wędzonki, co nam ich onegdaj, zacna owa szlachecianka na drogę nadawała tyle, że i zmieścić nie było gdzie: dalej więc z konia miłościwy panie, i do roboty.

— Masz słuszność, odpowiedział zsiadając z konia towarzysz, potrzeba dać wypoczynek biednym naszym koniom; któż wie czy znajdziemy czego szukamy? a wtenczas....

— A cóż wtenczas będzie z waszmością? przerwiał zadziwiony pacholek.

— Wtenczas.... Sam nie wiem.... zdaje mi się pocziwy Filipie, że przyjdzie mi znowu wrócić do domu.

— No, to po cóż wasza miłość z obozu odjeżdżałeś? a wróciwszy co tam będziesz robić z pokaleczoną ręką i głową?

Głowa się moja goi, a rękę prawą mam zdrową; pan Nowodworski przymie mię chętnie; bo i wypuszczać nie chciał, ale taka mię tęsknota ogar-

nęła, do odszukania strony mojej rodzinnej i starego ojca, jeżeli jeszcze żyje, a zwłaszcza gdy rany moje nie dozwoliły mi wychodzić w pole, bo zdrów nie odstąpiłbym chorągwi, że postanowiłem koniecznie jechać w te strony; i spuszczać się to na moją dzieciną pamięć, to na rozpytywanie się u pocziwych ludzi, puściłem się w drogę. Waści panie Filipie, dał mi pan Nowodworski za pachółka, ale cię nie przymuszał, dobrowolnie się tego podjąłeś, dziękuję ci zatem, i starać się będę, jeżeli mi Bóg poszczęści, wynagrodzić tobie... Jednakże nie słusznie nazywasz Litwę djabła, bo to równie chrześcijański kraj, jak twoje tam Podgórze, z którego mówiłeś zdaje mi się, że pochodzisz.— Albo ja wiem na pewno z kąd pochodzę i gdzie się urodziłem? ot wziąłem się na ten świat Boży, ni ztąd ni z owąd, dość że mnie, zem jest. Powiedziano mi, że się nazywam *Filip Brześniak* do usług, to i jestem *Filip Brześniak* do usług każdego dobrego pana; i lepiej mnie, bo nie będę nigdy szukał ani rodziców, ani miejsca gdzie się rodziłem, a gdzie umrę? to Panu Bogu wiedzieć, a mnie co do tego?....

Trzymam się zawsze klamki pańskiej, a prawdę mówiąc, strzemia pańskiego; bo nasze pany nogi teraz ze strzemia nie wyjmują, i dla tego w obozach życie pędzę. Żołdu tam wprawdzie nie mam żadnego, czwierci jak ichmość towarzystwo

nie liczysz; ale też i łba nie nadstawujesz, a byle być *rezolutem*, i jak tylko zatrąbią na tryumf, lecieć na plac i szczeluie macać po kieszeniach leżących nieprzyjaciół, broń Boże własnych braci, to z próżnemi rękami nie wrócisz, i kiedy nie talarów, to przynajmniej ruchomości wszelakiej nabierasz szmat,

Zaprawiłem się ja na to, najpierw pod *Byczyną*, gdy służył w czeladzi hetmańskiej pana Zamojskiego. Jak tylko Niemcy pludraki, nie wytrzymawszy impetu rycerstwa naszego, uciekać zaczęli, i sam ich *here*, który chciał być naszym królem, zmykał najpierwszy, a nasi rzucili się za nimi z kopyta, to my wysypaliśmy się z obozu hurmem jak mrówie, i dalejże do rewizyi. . . . Ale tu znowu druga zaczęła się bitwa na kije i kuli, bo przy każdym Niemcu tuzali się pacholko wie jak koguty, i mnie któryś zajechał kijem po grzbiecie; więc ja w bok, w krzaki, na szczęście... aż i znajduję tam leżącego niemiezure; srodcie tłusty i łysy, a we krwi kapie się jak wieprz w kałuży, żyje jednak, bo go ktoś widać przez pancerze tylko przekroił. Dawaj *gielt* łysy biesie krzyknąłem, namierzając się obuchem, ale to dla postrachu tylko. On słabą ręką, pokazuje mi i targa guziki od swojej kurtki; a kurtka sajetowa, i guzików wielkich, oszytych sukmem gwałt! pomy-

śliłem, musi tu być coś, oderwę jeden guzik — talar! drugi — talar! Czy tak?... gdzież tu zabawić się długo?... rozdarłem kurtkę, i w uogi z nią — bo już słyszę, że nadbiegają koleżki. Sześćdziesiąt ośm nałuszczyłem sobie potem talarów.... Dajże Boże zbawienie łysemu Niemcowi, jeżeli umarł; a zdrowie, jeżeli wylizał się z ran swoich; dałem tymfę na ubogich, na jego intencję, bo było za czem cały miesiąc hulać w Krakowie.

Tak rozpowiadając Filip, rozsiódł konie, wytarł je z potu, wyjął z torby dwa żelazne pęta i włożył im na nogi; przy tém młotkiem ostukał podkowy, wbił w nie parę ufnali, pusił na paszę; wszystkie juki i ryusztunki złożył na kupę: słowem porządnym i znającym rzecz swoją okazał się sługa. Tak dokonawszy starania około zwierząt, przystąpił do zaspokojenia ludzkich potrzeb, i odszrubowawszy flaszę — no, a teraz posilim się, rzekł, suplikuję waszą miłość!

— Nie potrzebnie traktujesz mnie za każdym razem, odpowiedział towarzysz; wszakże mówiłem ci, że mi doktor zakazał pić gorących likworów, nim się zupełnie rany nie zgoją.

— A wszakże goją się codziennie, więc powoli przywykać trzeba; możeby trochę rozpogodziła się i twarz waszej miłości, bo przyznam się, że mi

aż nudno czasem, patrząc na nią zawsze smutną i zadumaną. Ale kiedy nie ma pana *Siemaszki* to ja do *flaszki*, podług dawnego przysłowia. Łyknął zatem do dna; ha! dogodziłem! rzekł z przy-ciskiem— i apetyt wilczy odzywa się.

Znowu więc torba z drugiego przedziału dostarczyła wędzonki, séra i chleba; co wszystko wkładał on przed siedzącym pod krzakiem leszczy-nowym, towarzyszem, niezapominając i o sobie.

— Błogosław panie Boże, mówił, słowa w gębie przemieszując z kęsami,— błogosław Panie Boże ową zasnę wdówkę, która onegdaj waszą miłość tak zatrzymywała, i wyleczyć deklarując, i wszelkie swe dostatki, jak z rejestru wyliczając, byleś tylko został. Domek chędogi, piwko jak lepszego i w Krakowie nie znajdziesz, wiszniaczek jak małmazja, i wódeczka stara, a gosposia młoda... dalibóg raj! a wasza miłość gwałtem się z tego raju wyrwał! Oj pożalujesz tego waszmość! pożalujesz!

— Daliśmyż przecie słowo, rzekł uśmiechając się młodzieniec że nie zapomniemy do niej drogi.

— Prawda, i za toż sakwy nasze napęłniła specyałami, których nam aż do dziś dnia stało. Ale pamiętaj waszmość, że to kwatery pokwapna, i tuż przy gościńcu, a gosposia widocznie łaknie załogi; więc znaleźć się może jaki drugi towarzysz, a mo-

że i rotmistrz, który nie tęskniąc tak jak wasza miłość do własnego gniazda, zechce osiąść w go-towym cudzym; a wtenczas choć wróciemy, będzie po czasie dobrodzieju!

— Niechże sobie będzie jak chce dla mnie to wszystko jedno.

— A ja wracając do obozu, zawrócę taki do tak osobliwej pani, i choć pokłonię się od waszej miłości.

— Czyż myślisz panie Filipie, powrócić jeszcze pod Smoleńsk?

— A jużci kiedy da Bóg szczęśliwie doprowadzić waszą miłość do ojcowizny, to już waszmość w niej i zostaniesz, a mnie zdrowemu za piecem nie siedzieć, byle trafić jeszcze przed zdobyciem miasta, to może mi Bóg nagrodzi za to, co pod Kircholmem straciłem.

— Alboć byleś i pod Kircholmem?

— A jakże nie? byłem znowu pacholkiem stajennym u Hetmana ale Chodkiewicza.

— Czemużeś od jednego do drugiego, tak przeszedł?

— A bardzo po prostu: jak Zamojski wojnę szwedzką w Inflantach zdał na Chodkiewicza, tak i ja zostałem się przy obozie, bo chwala Bogu, Filip Brzeźniak ni czym poddanym nie jest. Wsunąłem się więc do czeladzi nowego hetmana; a że

w znajomości około koni nikt mię nie przepisze, bo lubię koniki mospanie, że i podkuję w naglęj potrzebie, i czary w stajni od razu poznam, odpędzę; znają mię więc wszędzie, i każdy koniuszy ochotnie przyjmuje mię na strawę i jurgielt. Takim zatém obyczajem dostałem się do Chodkiewicza, takim od Chodkiewicza do pana Nowodworskiego, kawalera maltańskiego, z którym i waszmość żołądź wiedziesz.

— Więc jakże było pod Kircholmem? — Zapytał pancerny, przerywając biografię Brzeźniaka.

— Aj, tam mnie Bóg skarał, choć pobłogosławił dzielnemu rycerstwu naszemu. Wytrzepał tam, wytrzepał Chodkiewicz Szwedom skórę!!! Jak pod Byczyną niemiecki here, tak tu sam ich król uciekał jak djabeł, kiedy go z tyłu xiądz kropidłem święci: bo i kropiłyz go pałasze polskie! Ale że naszych była mała garstka, a Szwedów w dziesięciuro, więcaby się nieobaczyli i nie wrócili do szyku i ładu, parło ich wojsko nasze bez pardonu, a zatém nie miało czasu zabawiać się zdobyczą; nasza to była sprawa. Ja, aby być na przedzie, chwyciłem szłapaka od wozu, i oklep poleciałem na plac. Rozpatruję, nie ma wielkiej *sperandy*, Szwedziska, to biedny naród; piechury z rusznicami, albo z długimi spicami, które im przecie nie pomogły, leżą w paklakach i hrubych

sukmanach: czwiałuję tam i sam, a nuż jakiego pokwapniejszego nie najdę — nie ma, ale widzę, biega piękny koń skaro-gniady, bez jezdca; a musiał on nosić jakiegoś znacznego wodza, bo i sam dzielny, i siadzenie na nim nie podłe, owszem świeciło się od litego srebra; więc podjechałem, przysłaskałem konika, i cap za musztuk jak swego. Będzie z ciebie dość Filipku, pomyśliłem. Oh! byłoby dość i na całe życie, gdybym nie był głupi; bo na dzień, kiedy po wiktoryi i tryumfie tak wielkim, radość była w obozie, i targ na wszelkie zdobycze, rotmistrz Baranowski targuje u mnie gniadosza z całym moderunkiem. Daje talarów sześćdziesiąt, ani gadam; daje ośmdziesiąt, krótko mówiąc za dziewiędziesiąt pięć oddaje. Mógłbym wiaść i więcej, ale po obozie zaczął chodzić rumor, że wszelką zdobycz każą ciurom i czeladzi składać na kupę, i wszystko oddać, bo powiedziała starszyzna, że ona krew przelewa, a profity wszystkie idą do rąk, kijem tylko nie szablą, zbrojnych.

Wyliczył mi zatém Baranowski umówioną kwotę, konia odprowadzić kazał do swojej stajni, a siadzenie wniósł do kwatery i opatrywać zaczął, gdzie i ja był jeszcze. Patrzy on, cieszy się; siodło zamszem nawleczone, w różne floresy przesywane i miękkie, pociska próbuje.... jednym razem zawoła na wyrostka: „daj sam noża! i zaczyna pruć.

Ja i inni baczni na to krzyczym: dla Boga do-brodzieju! na co wasza miłość psujesz tak piękną kulbakę?

On przepuści szeroko raz i drugi, aż tu jak posypią się czerwienice!!!

Jezus, Marja, Józef! krzyknąłem, bo rozumiałem że to czary. Ale on porze i porze a złoto jak z worków coraz nowych sypie się....

Gwałt! krzyknąłem znowu, ja tego nie przedałem.

— Przedałeś wszystko chłystku, rzekł spokojnie Baranowski, zbierając dukaty garściami.

— Nie przedałem! wolój ja djabłu duszę przedać,— wrzasnąłem bez pamięci.

— Na co ma djabeł płacić, mówił on podrywając sobie, za taki kiepski towar, a wreszcie probuj.

— Nakoniec chwyciłem za dukaty, a Baranowski mnie za kark. On mąż jak dąb! rozeisnął garść moją, jak zmarzłe jabłko i wypychając mnie z tureckim abszystem za drzwi, „idźże do biesa na targi!” wrzasnął. Hałasowałem, przeklinałem się jak opętany, targałem sobie uszy, wąsy i czuprynę, ale nie to nie pomogło; tylko zebrało się koło mnie pełno ludzi, śmiejących ze mnie jak z warjata, lub nawiedzonego. A na większą moją konfuzję, Baranowski wyskoczył znowu z kwatery jak-

by czegoś zapomniał, i wbijając mi jakiś rożek za nadrę, zaśpiewał nad uchem:

„Tobie rożek z tabaką,

„A mnie konik z kulbaką,

„Towarzyszu mój!” (1).

To mnie do ostatniej złości doprowadziło i postanowiłem, bo może już djabeł do mnie i przystępował, wir głową zamącić. Rozepechnąłem więc tłumy, i poleciałem do jeziora o kilka stajów tam będącego: już byłem przy brzegu, gdy mnie dopędził Prokosz sługa hetmański od namiotów— stój! krzyknął on— gdzie lecisz?

— Do jeziora, odpowiedziałem.

— Topić się?

— A ha!

— Oddajże mi dziewięćdziesiąt pięć talarów, któreś wziął za konia, bo tam na dnie nie będą tobie potrzebne.

— Przypomniałem wtenczas, że mam talarki w kieszeni, i stanąłem jak wryty.

— A co bratku, rzekł znowu Prokosz, nie topisz się?

Milczałem, ale odwróciłem się tyłem do jeziora.

— No cóż? albo top się i oddaj mi talary, albo pójdziem i jednego na miód przepijem.

(1) Dawna żołnierska piosnka.

Zgodziłem się na ten projekt, uściskałem pocziwego kolegę, który jakby anioł stróż ze szpon szatańskich mię wyrwał, i upililiśmy się na pociechę. Ale odtąd postanowiłem wszystko co złapię *pruć*, choćby tam do djabła i brzuchy nieprzyjacielskie. . . . Więc odprowadziwszy waszą miłość, i podkarmiwszy konika, wracam wnet do wojska: powiadają, że *Selin* (1) nie podda się tak prędko; może więc Pan Bóg miłosierny nagrodzi mi szkołę *kircholmską*.

— Dla czegoż wyjechałeś z obozu? trzeba było wolój tam się pilnować.

— Widzisz bo wasza miłość: najprzód musiałem powolne służby moje okazać panu kawalerowi maltańskiemu, bo jego chleb jem; a powtórę i to najbardziej, że jakoś serce moje uchwyciło się waszmości, od owego dnia, gdym tak rezolutnie pomógł waszmości do wiktory nad tym *brodatiaszem*, który was porabiał, a któremu waszmość potem tak dogodziłeś, że bodaj poszedł do Abrahama na piwo. Widząc ja z obozu, że nasi góra, i że załogę odpierają do miasta, wyprawiłem się na plac, i położyłem się tam w rowie, czekając bezpiecznie, aż się wszystko zakończy. Leżę cicho, wtém usłyszę koło mnie jakiś tertes

(1) Dowódzca załogi w czasie oblężenia Smoleńska.

i krzyk; wyglądał ostróżnie jak lis z nory, i myśle sobie, że za daleko zabrnąłem, aż to waszmość się borukasz i łamiesz z jakimś, można mówić, olbrzymem zawziętym i nieuważającym na to, że został od swoich; krew waszmości ciekła już po twarzy. — Ej! powiedziałem sobie w duchu, śmiało *Filipku!* Daj salwę mężnemu rycerzowi!!! wyskoczyłem więc z rowu jak z procy; a krzyknawszy po tatarsku *hała hała*, za jednym susem zerwałem kołpak z głowy *brodatiasza*.

— Prawda to jest panie Filipie, przyszedłeś mi w sukurs w sam czas, nie zapomnę ci tego nigdy; ale wolałbym gdybyś go był schwycił za ręce, bo lubom go wzajemnie ciął przez łeb, bronił się jednak mężnie, i mnie jeszcze ranił po rękę.

— Ale bo ja pomiarkowałem w rowie, że jak porwę kołpak i odkryję mu goły łeb, to już łaćtwiej będzie waszmości uchodzić go.

— Tak, ale przyznaj się panie Filipie, że sobolowy ów kołpak, i błyszczący na nim łańcuch, mógł także do tego wojennego fortelu być tobie powodem, rzekł uśmiechając się młodzieniec.

— He! cóż, kiedy pokazało się potem, że sobole podkurzane, a łańcuch miedziany, pozłacany tylko.

III.

Już też i posilili się podróżni, konie się popasły, napoił je Filip w blizkiej strudze, osiodłał i ujechał regularnie; puścili się zatem w dalszą podróż.

Po ujechaniu jeszcze z półtora mili, wybrnąwszy z lasów na otwarsze pole, spostrzegli zdala wieżyczkę kościelną i krzyż na niej. Pancerny podjął się na strzemionach, utkwil wzrok w krzyż ten i westchnął, a potem się przeżegnał.

— Co to znaczy? zapytał Filip.

— Jeżeli moja pamięć po latach dwudziestu nie zawodzi mnie, zdaje się, że zbliżamy się, do dóbr pana Riszki (1), na którego dwór woził mnie małego niekiedy ojciec, i że ten kościółek jest parafialnym miejsca mego urodzenia... okolice wszystkie jakby we śnie przypominają mi się... ten gaj na prawo... tam w lipach dwór za kościołem... a tam oto cmentarz i krzyże!....

(1) Ziemię tu opisywaną, w owym wieku, były w istocie własnością znakomitego niegdyś w Litwie rodu Kiszaków.

Cmentarz!.... tam moja matka spoczywa.... a broń Boże... i znowu westchnął głęboko, i nie-dokończył, ale czytelnik zgadnie łatwo myśli, które się na cmentarzu zbiegły ze wspomnieniem umarłej matki i z niepewnością o życie ojca.

— Trzeba więc tu powziąć języka, mówiąc po żołniersku, rzekł Filip; owo ortaj na polu, podjedziemy.

Zwrócił konia towarzysz, lecz wnet go nazad cofnął.— Oh! nie, mój Filipie, rzekł, nie, jedźmy wolój przedź pod kościół, przypomnę go niezawodnie, jeżeli jest ten sam.... Przymusił tu konia do biegu... i wstrzymał go wkrótce, znowu zwolna postępując... serce jego niespokojne biło gwałtownie, i raz gorącym żądaniem rozwiązania wątpliwości pałało, to pragnęłoby przedłużyć lękliwe oczekiwanie, znośniejsze nad fatalną pewność.... Szczęśliwy! kto w życiu spokojnym i jednostajnym, takich chwil męczących nie doznał.

Podjechali więc pod kościół. Jak tylko zbliżka ujrzał go pancerny,— tenże sam Filipie kochany! tenże sam!— zawołał, i chyżo zeskoczywszy z konia, już klęczał na krużganku kościelnym, a całował z uniesieniem kamienie, na których ukląkł, a bujnemi, lejącemi się poniewolnie jak ze źródła ze źrenic jego, oblewał je łzami. Pierwsze uczucie miłości rodzinnego gniazda, pierwsze odetchnie-

nie powietrzem, które dziecięcą pierś jego żywiło, takim go ogarnęło i żalem, i rokoszą, i uniesieniem, i trwogą, że patrząc nań rzekłbyś, że ten człowiek nie wydała tylu wrażeń, że omdleje pod ich napływem. Filip nawet patrząc na to, rękawem od opończy oczy swe ocierał. — A jakże ten kościół i to miejsce nazywa się? zapytał on, przerywając może umyślnie rozrzuwanie młodzieńca.

— Jak się nazywa? poczekaj przypomnę zaraz.... Aj nie wiem, czy przypomnę, rzekł po namyśle, powstając nakoniec z klęczków.

W tym z małej chatki będącej w podle, a nad której drzwiami, prosty krzyż drewniany oznaczał jako i dziś jeszcze gdzieś obaczyć można, ubogi dla starców i kalekich parafialnych przytułek, wyszedł chromy staruszek i widząc obcych przybyłych pod kościołem: — niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł.

— Na wieki wieków! odpowiedział Filip, i dodał: — a jak się nazywa, staruszk, ten kościółek, i to miejsce?

— Widać że z daleka przybywacie — odpowiedział starzec — ale to niedziwota; teraz codziennie widzimy żołnierzy z całego świata tędy przechodzących, a wszyscy modlą się i mają litość nad nami dziadami szpitalnemi, a my zatém prosim Boga,

aby im na wojacze szczęścił. To mój dobrodzieju *Gierwiaty*. (1)

— Ach! tak *Gierwiaty*! przerwał Julian, (bo to było imię młodzieńca). Przypominam, *Gierwiaty*!... a dalekoż ztąd do Olgienian? Oh! tego nazwiska nigdy nie zapomniałem. — Do Olgienian dobrodzieju dobra mila. — A czy żyje tam?... i głos mu się przeciał i odwaga opuściła, i nogi pod nim osłabły tak, że musiał oprzeć się o kościelną ścianę. — A czy żyje tam... mówił drżącymi ustami, pan *Fiedor Starosielski*!

— A żyje stary, odrzekł szpitalnik, żyje jeszcze i co niedziela bywa tu w kościele, a dla nas biednych nie jednego tymfa do karbony przyrzuca. Niech mu Bóg za to wieku przedłuży.

Juljan odetchnął teraz z całą piersią, jakby z niej ciskany go dotąd spadł kamień; pot mu na czoło w bujnych kroplach wystąpił, jak po przesileniu mocnej choroby, i już swobodniejszym głosem zapytał:

— Jakże żyje staruszek? kto o nim ma staranie?

— Mieszka z nim jego siostra stara, ale jeszcze krzepka babula; ona ład w domu prowadzi,

(1) Kościół i miasteczko na Połockim trakcie w powiecie Wileńskim.

a oboje i przy mszach św. i przy elemożynach, kazał modlić się za sześliwy powrót z niewoli tatarskiej, syna jego jedynaka, którego gdzieś tam i kiedyś na Ukrainie ci poganie mu ukradli, czy gwałtem zabrali.

— Ruszajmy! rzekł Julian, nie chcąc już ani chwili tracić czasu; obdarzył więc starca i dosiadł konia.



IV.

Trzebaby się popytać drogi, rzekł Filip. Nie, spuszcza się na moją pamięć; zdaje się, że trafię, bo mnie małemu dziecinie pozwalał niegdyś ojciec wózkiem i spokojnym koniem wozić siebie do kościoła. Tu wraz powinna być drożka na lewo z gościńca, potem kilka wiosek blisko drogi, potem borek i za nim *Olgieniany*. — No, przecież dał nam Pan Bóg znaleźć czegośmy szukali; ale bez obrazy waszej miłości, rzekł znowu Filip, ciekawość mnie bierze zapytać, jakim sposobem to się stało, że się waszmość tak zgubił z rodzicielskiego domu?

— Długo to było rozpowiadać ci, kochany Filipie, wszystkie przygody mojego życia: gdybyś mi był przed kilką dniami dał to pytanie, możebym łatwiej ciekawość twą zaspokoił, teraz nie mamy już na to i czasu, i sam widzisz, że nie jestem w stanie; po krótko więc tylko powiem. Miałem lat ośm czy dziewięć, gdy rodzic mój utracił żonę swoją a moją matkę: żałośny on był bardzo po

swój wiernój towarzysze, i tém boleśniej mu było, że jako starszy od niej, spodziewał się raczej ją owdowić, niż sam po niej zostać wdowcem.

Ręką już prawie skrzepłą włożyła ona na mnie, z ostatniem błogosławieństwem, relikwiarzyk maleńki srebrny, w kształcie zamkniętej książeczki, w którym jest partykuła krzyża św., a który i teraz na piersiach noszę. On mię zapewna nieraz, przy wstawieniu się jój do tronu Boskiego, w rozmaitych przygodach mego życia uchronił, i teraz może prowadzi mnie cudownie do ojca... Oh! nigdy nie zapomnę tej ciężkiej godziny skonania mej matki!... pamiętam wszystko jak dzisiaj... ona trzymała gorejącą gromnicę..., xiadz nad nią mówił pacierze.... ojciec obumierał po kilkakrotnie z żalu... zachodziłem się od płaczu, i wszyscy domownicy płakali.

W kilka potém miesięcy wyjechaliśmy z ojcem w daleką podróż, jak się później dowiedziałem, na Ukrainę, do siostry mego ojca, a mojej ciotki. Dowiedziawszy się ona o stanie wdowim brata, sama wdowa bezdzietna, postanowiła porzucić na zawsze odległe strony, do których ją zamężcie zaprowadziło, powrócić tutaj, osiaść przy bracie, i zastąpić mnie matkę. Pocieszony tém jój przywiązaniem ojciec mój, nie zwlekał odjazdu; i po

długoj podróży, stanęliśmy na miejscu. Ciotka moja przyjęła nas ze łzami...

Otoż dróżka na lewo! taż sama! taż sama, zawołał z radością Julian. O! trafiemy, kochany Filipie! trafiemy!

— Chwała Bogu! ale cóż potém było? rzekł ciekaw Brześniak.

— Potém po kilkotygodniowej naszej tam bytności, gdyśmy już wybierali się na powrót, i tém rychlej, że chodziły wieści o Tatarach; mój ojciec dla ukończenia wszelkich spraw siostry, opuszczając na zawsze kilkunastoletnie tam swe siedlisko, pojechał do blizkiego miasteczka... gdy nagle i niespodzianie jednego ranku, te poczwary nie ludzie, napadli i objeli nasze całe domowstwo: w mgnieniu oka złupili i zrabowali wszystko. Ciotkę moją, jak mi się wtenczas wydawało, zabito; ale, jeżeli to ona, jak powiadał dziadek ten szpitalny, mieszka przy ojcu moim, to widać wyleczyła się z ran jój natenczas zadanych. Czładzi część wycięto, a część rozpieczętowała się w lasy; słowem w kilku godzinach z całego domowstwa i gospodarstwa, zostały tylko niedopalone głównie i popioły....

Zapewna wiesz choć z powieści co to są tatarskie zagony, bo i krzyczeć umiesz po tatarsku.

— A był psu brat Tatar jakiś przy stadninach

pana hetmana Zamojskiego, i krzychał zwyczajnie na rozhukanych ogierów: hała! hała! więc i ja wiem, że to po tatarsku.

Mnie, mówił dalej Julian, porwał jakiś z tych szatanów, wsadził na szkapę powodną między torby i juki, przywiązał jeszcze abym nie spadł, i powiozł; a nie pamiętałem co się ze mną działo.

Przez kilka dni, Barbary te zbytkowali po naszym kraju, więźniów coraz więcej zabierali i z sobą wlekli. Dobrze mam w pamięci, jak mój opiekun karmiąc mię wrzekomo, lał mi w gardło mleko kobyłe i gęstą kaszą dławił... Opowiadając tak Julian, topił ostrogi między żebra swojego konia, a Filip własnego, łukiem pobudzał, lecz słabe zwierzęta nie odpowiadały niecierpliwości jeźdźców, i podskakując tylko na miejscu, wlokły się powoli jak przed tęp.

— Nie długo jednak tłuszcza ta niedowiarków pastwiła się nad naszym krajem i ludem (1)—mówił pancerny;— na trzecim czy czwartym dniu, rycerstwo nasze dosięgło ich zgromadzonych już w *czambuł*, rozdzielających łupy, i mających wnet

(1) Stać się to mogło w roku 1589, gdy Zygmunt III był z ojcem swoim na zjeździe w Rewlu, a Tatarzy Ukrainę, Podole i Ruś spłądowali; odpędzeni nakoniec przez Hetmana W. K.

ruszyć do swoich stepów na powrót. Nie przyszli nawet do sprawy, odrzekli się zdobyczy, i mnogiej liczby gnanęj w jassyrs ludności naszej; wielu ich padło pod szablą, reszta uciekła, a mój opiekun i karmiciel nie mogąc salwować się jak inni, mniej odeń chciwi, ucieczką, bo swoich ciężkich juków nie odciał z konia, dostał kopiją w plecy, która mu nawskróś brzuch przepruła; leżał więc, gryzł ziemię i chrapał, oddając duszę djabłu.

Jęki zatem, płacze i narzekania wnet się zmieniły w radość i pociechę niewymowną, gdy się wszyscy swobodnemi i wolnemi obaczyli; wszyscy upadli na kolana dziękując najprzód Bogu, za to cudowne wybawienie, a potem każdy wielbił rycerstwo, całował nogi wodzów, i ledwo się opamiętywał w szczęściu.... Toż znowu jednak wróciły się płacze i szlochy, gdy się zaczęto rozwiadywać każdy o swoich: dzieci o rodziców, rodzice o dzieciach, o domostwach popalonych, o porzniętych rodzinach... gdy się zaczęto rozpoznawać, łączyć i ścisnąć.... Żołnierze nawet płakali. Ja tylko stałem na boku sam jeden, i nikt do mnie się nie zbliżał, nie garnał, ani poznawał.

— Biednaż była dziecina z waszją miłości! rzekł Brzeźniak.

— Aj tak, bardzo biedna. Nakoniec jeden z ry-

cerzy, zapytał mię litościwie: „a ty pachole czyjs? i skądś?”

Opowiedziałem moje nazwisko, i jak mogłem o sobie, dodając nazwanie miasteczka do którego rodzic mój był pojechał.— Gdy tak jest rzekł on, toś ty sierota, bo z miasteczka tego wątpię czy żywa dusza uszła; zginęła cała ludność męzka pod mieczem pogańskim.

Na tę bolesną nowinę, zaszedłem się od płaczu: wyraz ten *sierota* jak nożem mię przebił, bom go już raz słyszał z ust konającej matki; poczułem więc dziecinném sercem fatalność jego i nieszczęsną pewność, że już i ojca nie ujrzę... Pocziwy ów poręcznik, bo tak go po obozie nazywano, wziął mię za rękę i gładząc a pieszcząc:— uspokój się— rzekł, dziecino; jest Bóg opiekun wszystkich sierot, ja cię nie opuszczę....

— Patrz! patrz! zawołał młodzieniec przerywając opowiadanie swoje, jak dobrze trafiłem! Oto borek który nam zakrywa *Olgieniany*; jak go przejedziem będziemy już na polach ojca mego. Pośpieszajmy! pośpieszajmy na miłość Boga! bo mi serce wyskoczy z piersi, albo pęknie... i wiosieczka na lewo bodaj do nas należąca: tam mamka moja mieszka!... Ah może już ona dawno mieszka obok matki mej! pośpieszajmy!— Pośpieszajmy, powtórzył Filip— łatwiej to waszmo-

ści powiedzieć, ale konie tego nie rozumieją, a choćby i zrozumiały, to nad siłę nie skoczą.— Tak hamując niecierpliwość jednej strony, podbudzał struną, rzeźwość drugiej, jak dobry obustronny przyjaciel, pragnący pogodzić interesa wzajemne.

— Ale jakim cudem stało się, że ojciec waszmości żyje? zapytał on znowu— gdy ten poręcznik powiadał że go Tatarzy zabili.— Tak i ja mniemałem, lecz pamięci jego i tych stron rodzinnych, nie mi zserca wyjąć nie mogło, a ile razy spojrziałem na mój relikwiarzyk, którego mi na piersiach Tatar nie dórzał i nie odebrał, tylekroć zawsze zapłakałem, ale razem zawsze mi jakaś nadzieja czy przecucie roilo się w duszy, i powiększając tęsknotę, jakby magnesem ciągnęło mię w te strony.

I dla tego, gdy doszedł wieku i szablę ujął w rękę, bo jako szlachcica to mój był los jedyny, więc jak się zdarzyło, że wojska Koronne i Litewskie były w kupie, nie zaniedbałem nigdy rozpytywać się u Litwinów o tutejszych stronach, wtrącając bojaźliwie imię ojca mego. A nuż? a nuż?

Długo daremnemi były moje pytania, ale żem je bezustannie i z serdecznego nałogu, jakby pacierz jaki, powtarzać nie przestawał, więc mię Bóg przed pół rokiem pocieszyć raczył. Bo gdy raz u rycerstwa z pod znaku pana Dorohostajskie-

go, marszałka wielkiego Litewskiego, moje zwykle czynił inkwizycje, jeden z towarzystwa, *Okuszek* zwany, zapytał mię:— a o jakiego to waszmość Starosielskiego pytacie, czy nie o Fiedora, którego to Tatarzy srodze kiedyś na Ukrainie pokaleczyli, i synka mu czy zabrali, czy zabili?

Skoczyłem jak warjat na piersi towarzysza: płakałem, całowałem go, ścisnąłem natarczywie, i krzychałem w uniesieniu. O tego samego! o tego samego! to mój ojciec! O dla Boga czy żyje?— Czy żyje teraz? odpowiedział mi *Okuszek*— tego nie wiem, ale przed sześcią laty, żył jeszcze stary i trojakię codziennie za waszmość, jeżeliś syn jego, wznosił do Boga intencye; to jest: aby ci dał niebo jeżelibyś nie żył, abyś się nie poturczył jeżeli żyjesz, i nareszcie aby cię tu na ziemi lub tam w niebie, oglądał.

O ileż to łez ten nieborak wylewał przy swych modłach nieustannych, i przy opowiadaniach niefortunnych losów; kilka miesięcy leżał on w jakimś tam klasztorze nim się podleczył ze srogich ran swoich, potem szukał waszmości po całej Ukrainie...

— I to dziwno, że nie znalazł, przerwał Brzeźniak, przecież widziano w tłumie uwolnionych i waszą miłość, i wiedziano kto waszmościa zabral i przytwilił.

— Tak, ale porucznik *Pancerzyński*, (tak się bowiem mój dobroczyńca nazywał), odesłał mię wnet do domu swojego aż do Mazowsza, a widać, że mój ojciec nie natrafił na świadków mego uwolnienia i losu; gdy zaś wszyscy w tę chwilę sobą i swojemi zajęci byli, mało więc kto na mnie i uważał, a mniej jeszcze ktoby zapamiętał.

— Otoż, powiadał *Okuszek*— wszędzie rodzie waszmości trafiał na wiadomość, że cię Tatarzy uwieźli.... przesiedziałem u niego w *Olgienianach* tygodni ze sześć, przypadkowo tam trafiwszy....— A dla czegożeś waszmość wnet nie pojechał do tatulka, rozpytawszy się drogi u *Okuszki*?— To też o drodze zasięgnąłem niejakić odeń informacyj, ale chorągwi naszej, idącej właśnie na wojnę, odstąpić nie mogłem: któżby mi uwierzył, że odjeżdżam szukać ojca, gdyśmy szli szukać nieprzyjaciela!... O Boże! wykrzyknął tu *Juljan*, przerywając nieporządne swe i niedokładne opowiadanie. O Boże! Otoż *Olgieniany*! bo właśnie wyjechali z borku, i ujrzeli jak na dłoni dworek...

Miałżeby to być tenże sam, którego stare i w ziemi dziś wrosłe ściany, trwają aż dotąd? i dla czegożby nie? lat pół trzecia sta tylko!.. Dłużej trwa jeszcze sławna na Litwie *Słucka fara*... a przynajmniej domysł tu, urzeczywistnia się omamieniem.....

V.

Pięknaż to prawdziwie okolica, osłonięta do koła lasem, zda się w ustroniu przechowana na to, aby wchodzący w nią niespodzianie wdziękiem jej i prostotą zachwyceni byli. Przechylona w rozmaite wzgórza i doliny, pomiędzy ktoremi żywa się prze-myka struga, ściśniona we dworze między wyso-kiemi brzegi i groblą w biegu ujęta, napęnia stawek i kaskadą zeń wyskakując, biegnie dalej między łąki i pola.

Tu i ówdzie po wzgórzach, stoją jako zabytki dawno wyciętych puszczy Litewskich: to samotna brzoza długimi swemi warkoczy, nad krzyżem mchem ozieniałym nawisła, to sosna współczesna, dzwigająca na starych swych konarach, lub kry-jąca w swych wnętrzościach barchie i ule pszczół-

lek; to znowu pod starożytnym a czerstwym je-szcze dębem, wysypała się młoda zarośl, jak prawnuki pod opieką pradziada....

Nakoniec las gęsty i topołem niedotykany, oko-lając to spokojne zacisze jedną swą przedłużoną odnogą, a drugą aż ku ogrodowi zachodząc, ka-żdego przechadzającego się po nim, wciąga, że tak powiem, do siebie, i nagradza fatygę nastre-czając co krok prawie, to kurhany, to kamienie nadzwyczajne, to jakieś bez podania i wieści, a wyraźnie ręką ludzką sypane, okopiska: dla roz-myślań, badań i wniosków....

O Boże! otoż jesteśmy na miejscu!... obaczę więc wnet ojca mego.... padnę mu do nóg.... mówił drżący młodzieniec, stawał na strzemio-nach, rozpatrywał okolicę, uśmiechał się i chli-pał razem: słowem, wzruszenie jego głębszemu jeszcze i żywszemu było, niżeli przed kościołem Gierwiatskim. Co uważając Filip, zajechał na-przód i stanął mu w poprzek drogi.—Co to jest? zawołał niecierpliwie Julian.—Posłuchaj mię wasz-mość, rzekł Filip. Jam sobie symplak, „*w szkole nie bywałem, różeczki nie widziałem,*” ale nato-miast między ludźmi bywałem, a co się tu i ów-dzie zarwało, to nie odbiło się jak groch od ścia-

ny.... Oto nie raz słyszałem, że i nagle pociecha, jak nagle nieszczęście, może duszę z człowieka wyparć; więc mi przyszło na myśl, że jak waszmość od razu i raptem objawisz się tatkowi, a padniesz mu *insperate* do nóg, to z wielkiej radości staruszek okoleć może. Pomyśl waszmość nad tém.... znajdziesz razem ojca i stracisz.

Zastanowił się Julian; masz rację pocziwy Filipie, rzekł, ale jakże uczynić? czyż potrafię? czy zdołam pohamować się, gdy ujrzę oblicze, które mi nigdy z duszy i z pamięci nie wyszło.

— A hamuj się waszmość jak mogąc, ja będę milezał jak pień. A kiedy już wszystko wyjdzie na wierzch jak oliwa, to wtenczas.... poproszę obroku dla koni.

Młodzieniec zamyślił się... jechali... i stanęli przed bramą,... którą gdy wyrostek wybiegł naprzeciw odmykał.—Ejże! rzekł: znowu Filip, ejże pamiętaj waszmość ostrożnie, ostrożnie!...

Właśnie przechodziła dziedziniec staruszka poważna, lecz nie zgrzybiała jeszcze... — A miałyby to znowu być taż sama, która i mnie wędrowca, niedawno ze staroświecką uprzejmością

na tymże dziedzińcu spotkała?... Oh! nie, zapewne; dom przetrwać może długie pokolenia ludzi, przechodzących przezeń tylko popasem...: Julian lubo z rysów nie mógł przypomnieć i poznać, wszakże się łatwo domyślił, że to jego ciotka, która go niegdyś na Ukrainie tak serdecznie pieściła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł on zsiadłszy z konia i witając niskim pokłonem matronę.

— Na wieki wieków! odpowiedziała,—witamy waszmość,—mówiła dalej, nie dając czasu do niecierpliwych kwestyj Julianowi,—witamy waszmość, i radzi jesteśmy każdemu przybywającemu w imie Boskie, do szlacheckiego naszego domku, a tém bardziej rycerzowi, który, jak widzę po waszmości, i szwankował jeszcze ciężko. Zkądże Pan Bóg prowadzi? zapewne z za Dźwiny; bo tam to teraz podobno wojaczka panuje. Proszę koniki do stajni na wygodę, a wraz i mój pan brat a gospodarz, nadejdzie i bardzo będzie rad tak miłemu gościowi.

Gadatliwe to, wiekowi staremu zwyczajne powitanie, niemniej jednak szczere i serdeczne, przerwał Julian: — wszakże — rzekł on — znajduję się w domu pana Fiedora Starosielskiego?

—Tak jest, tak.

—Mogę go wnet widzieć?

—Wraz, jak mówiłam, nadejdzie; alboż waszmość macie cokolwiek pilnego do mego brata? On tu w podłe za ogrodem nad rzeczką, mówi paciórki pod swoim dębem, i ma tam robotkę, którą sam sobie wymyślił, daj Boże na długo niepotrzebną, bo....

Juljan nie czekał dalej i poszedł szybko na miejsce wskazane: znał on je dobrze, bo dąb ten, przy nim małe jeszcze drzewko, żołędziem zasadzony był w dniu jego urodzenia w ziemię, ręką ojca, który mu potem rozgarnionemu już chłopcykowi, tę pamiątkę nie raz w serce wrażał.

Zdziwiona staruszka zwróciła się do Filipa trzymającego konie, lecz ten poprowadził je do stajni; a tak pokręciwszy głową, weszła do domu dla przygotowania sielanki i małdrzyków na wieczerną dla gości.

Na wysokim brzegu strumienia, wlewającego swe wody do stawku, o którym wyżej namieniliśmy, pod dąbkim urosłym już w piękne drzewko, siedział na niskim stolku starzec, nad szerołą plitą kamienną, i pilnie młotkiem w nią stukał....; postrzegłszy, czy posłyszawszy krok nadchodzącego, powstał.

Tym czasem Juljan jak wprzód przed ciotką tak teraz przed ojcem, wymówił zwykłe chrześcijańskie powitanie, i po zwyczajnej także odpowiedzi:— Witam, rzekł staruszek — miłego gościa. Zkądże przybywasz? i jakim przypadkiem tu waszmość wstąpiłeś, czemu wielce rad jestem.

— Jadę z pod Smoleńska i umyślnie zboczyłem z drogi, — mówił Juljan, a ledwo mówić mógł; jednak pomny przestrogi Filipa i własnego acz trudnego postanowienia, aby się ostrożnie odkrywać, zmienić chciał rozmowę.— I nad jakąż to pracą znajduję was? zapytał.

— Umyślnie tu waszmość zboczyłeś, więc musi być przyczyna temu? Jakaż, jeżeli łaska? Zakłopotany młodzieniec, a wszakże jeszcze panujący nad sobą, rzekł jakąją się:— umyślnie tu zboczyłem z drogi... w nadziei, że wynajdę dom jaki szlachecki.... łaskawy i chrześcijański, któryby pokaleczonemu na usługę kraju żołnierzowi, po trudach wojennych odpocząć... i rany pogoić dozwolił.

— Toż go zacny wojaku i znalazłeś, odpowiedział starzec biorąc Juljana za rękę, i ściskając ją czule, gdy ten wzajemnie i z uniesieniem całował ojcowską prawicę. Pracę nad którą mię znajdujesz, mówił dalej Starosielski, podejmuję sam dla siebie; bo niestety, nie mam przy sobie nikogo,

ktoby mi po śmierci, dybiacój już na mnie zbliżka, taką się przysłużył. Kuję więc sobie jak widzisz waszmość, i właśnie dziś dokończyłem, kamień, który naciśnie me kości.... Miałem syna jedynaka, byłby on teraz młodzieniec jak waszmość i może jako i my, rycerskie wiodł życie i szlachectwu imieniowi memu nowego dodał lustru.... możeby pocieszał biedną teraz bez niego starość moją.... i konającemu zacisnął powieki.... a do Boga za duszę się pomodlił.— Oczy i ojca i syna zachodziły łzami.

— Czyliż on już przed Bogiem? czy na tej ziemi? nie wiem. Opowiem później waszmości, jeżeli słuchać zechcesz historję tego ulubionego mego dziecięcia i mego nieszczęśliwego życia. A ponieważ nadzieja nie opuszcza człowieka aż do grobowej deski, więc na tym kamieniu, nie dokulem ostatniej liczby w dacie mej śmierci; bo najprzód nie wiecie dnia, ani godziny... a może też Bóg miłosierny zlituje się nad starcem, u kresu jego życia, i wysłucha codziennych jęków moich.... Może cudem powróci mi syna jedynego... natenczas umrę szczęśliwy i spokojny.... a on niech na tym głazie, dokuje mi tę liczbę ostatnią!...

— A niechże mi wprzód pokaleczą, a choćby i utną i tę drugą rękę, nim tę ostatnią liczbę na twoim grobie kuć będę, ojeze mój! wykrzyknął

pancerny. Jam twój syn! jam twój Julian!... i z rzewnym a głośnym płaczem, rzucił się do nóg starca.

— O Boże! zawołał starzec i oniemiał. Znasz ojeze ten relikwiarzyk?

Starosielski porwał relikwiarzyk z rąk klęczącego przed nim młodzieńca, spójrzał, przycisnął do ust... — to mojej Heleny.... rzekł, i wpatrzywszy się chwil kilka w twarz jego; — tyś mój syn! Tyś mój Julian! Tyś jej obraz prawdziwy! mówił łkając, i porwał go z klęczków... i tulił do piersi....

Uczucia, łzy i westchnienia ich w tej chwili, pojma rodzice i dzieci kochające się nawzajem.... Bóg daje nieszczęśliwym takie chwile, aby nie zwątpili o opiece i miłosierdziu Jego.

Niestety! w rok potém, łzami zalewając robotę, kuł syn żałobą obłeczony, liczbę 2, dokonywając daty jego sieroctwa; a podanie tej smutnej wspólnej ich pracy zostało w słowach powtarzanych dotąd przez okolicznych mieszkańców: „*Ojciec zaczął kuć sobie kamień, a syn jemu „dokończył.”*”

Szeroka plita głazu z wybitym głęboko starożytnymi literami napisem:



TU LEŻY FIEDOR
STAROSIELSKI

ŻYŁ LAT 80.

Umarł w Roku 1612.

widzieć się daje w *Olgienianach* na wyniosłym
brzegu strumienia, a z przeciwnego, dąb ogromny,
długim go swym przez wodę rzuconym cieniem,
osłania.



UŻEŚĆ PIERWSZA

ŻEGOTA Z MILANOWA

MILANOWSKI.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Miły oku, zamożny wszelkim bożym darem,
Witaj kraju słynący chlebem i talarem.

I.

Kiedy się czyta Walter-Scotta, i gdy naturalnym obrótem myśli zwraca się ku własnym dziejom i ku własnym dawnym obyczajom, uderza nas bardzo często podobieństwo szkockich z naszymi. To ciągle pasowanie się szlachty z władzą królewską; ta krnąbrna duma i nieuległość prawom magnatów, to wysokie oszacowanie szlachectwa, które aż *klejnotem* u nas nazywano, i jak klejnot od zmyzy i zhańbienia strzeżono; to szkockie prawdziwe wywodzenie pokrewieństwa od najdalszych pokoleń między szlachtą, a ztąd życzliwość, pomoc

(1) Treść téj powieści i główniejsze tu spisane zdarzenia są prawdziwe; udzielił mi jęj znany potomek téj rodziny, pan Milanowski z Linkowa, były Deputat Dworzanstwa Gubernii Wileńskiej.

wzajemna i związki między najodleglejszymi krewnymi, do których nikt się nigdy bezskutecznie w potrzebie nie odwołał, tak, że w proste weszło przysłowie: *swój swemu po niewoli druh!* Te nasze partje, mniej wprawdzie niż ich klany, posłuszne skinieniu swych możnowładczych wodzów, lecz też podobne z nimi ciągłą gotowością do rozruchów i nieporzucaniem nigdy *korda*, jak sami *klajmorów*.— W obrazach nawet domowego życia, czy to we wspaniałości dworów i licznej gromadzie służebników, któremi się panowie otaczali (w czém ich bodaj przewyższyliśmy), czy to w przywiązaniu jakby familijném i poświęceniu się z pokolenia na pokolenie zlewaném, tych sług, a raczej wiernych przyjaciół, dla rodziny swych panów, a wzajemnie panów odpłacających dobrodziejstwami i opieką sługom; czy to nakoniec w pojedynczych przykładach mężstwa i sił nadzwyczajnych rycerskich, przytomności umysłu w niebezpieczeństwach i przygodach, chrześcijańskiej ufności w Boga w złej doli; słowem, wszędzie to podobieństwo, rozmaitemi miejscowemi względami mniej więcej modyfikowane, objawia się czytelnikom, a autorów pochopem naśladownictwa drażni.

Nie tu miejsce rozważać, jak dalece nasi narodowi powieścio-pisarze, dając się ująć temu pochopowi, korzystać zeń potrafili. Najważniejsza za-

sługa *Walter-Scotta* obcym literaturom, a szczególnie naszej, jest w tém, że on główną ideę każdego piszącego zwrócił swoim przykładem, do dziejów przeszłości ojczystej, własnej, i każdemu w niej źródło najprawdziwszych a razem najbliższych i obfitych materiałów, palcem, że tak powiem, ukazał.

Lecz i w Kalifornii, gdzie złoto jest pod nogami, ciężko i wytrwale pracować jednak potrzeba, aby go dostać i oczyścić; to też tej wytrwałości i ochoty niezmordowanej w wyszukiwaniu treści naszych autorskich, mamy bodaj jeszcze za mało... a jednakże tak są wielkie w tém bogactwa nasze, że prawdziwe talenta, (warunek prawdziwości jest koniecznym) byle rękę do dzieła przyłożyły, wnet znajdują czém napełnić tomy interesujących i miłych ziomkom pism swoich — a cóż dopiero gdyby się zajęto gruntowném rozpatrzeniem, tak mało dotąd zgłębianych tajni archiwów domowych znakomitszych rodzin naszych, naszych aktów i wyroków sądowych, w miejscach sławnych oddawna w dziejach procedury krajowej, a tém bardziej aktów trybunałów głównych. Gdyby kto i w tém jeszcze naśladować *Waller-Scotta*, który przez lat dziesiątek, wprzód nim zaczął pisać, wędrował samopas po swych szkockich górach i zameczyskach, przeszedł także ziemię naszą rodzinną, z jedynym

zamiarem poznania i odkrycia ziomkom jęj piękności, zebrania podań i pamiątek, słowem, wszystkiego co by w nim uczucia miłości ku tęg ziemi obudzając, tęg samęm i talent autorski rozwijało; pewnym być można, że mimo wielu już rozehwytanych dorywezo, i z rozmaitem szczęściem użytych, z tego swojskiego i domowego naszego skarbu bogactw— mnóstwo jeszcze wynalazłoby się nowych, nietylko powieścio-pisarzowi przydatnych, lecz i poważnego historyka wspomódz mogących.

Miedzy częściami naszego kraju, zachodnia i wschodnia Żmudz i Ukraina, były najczęściej polem walk krwawych i wypadków nie tylko w dziejach i miejscowych tradycjach ludu na długo pamiętnych, lecz nawet niestartemi śladami na powierzchni ziemi oznaczonych. Dwóch znakomitszych w literaturze naszej poetów, oba te kraje obrali sobie miejscem dla najpiękniejszych swych utworów.

„Miła oku, a liczny ożywiona plodem,
Witaj kraino mlékem płynąca i miodem.”

Śpiewa wiesz Zofijówki, i dalej historyczną treść dziejów Ukrainy wywodząc:

„Czernią się zyzne role, lecz bryły tęg ziemi
Krwia przemokłe, stłuczone ciała podartemi;
Dotąd jeszcze wieśniaczą grunt sochą rozjęty
Zębbe słoniów, i perskie wykopuje szczęty!

W tych gonitwach od obcych we środku poznany
Sześnaście potem razy kraj odmieniał pany;
W nim to najśrozsze z Azją potyczki Europy,
W nim z szlachtą wielokrotnie łamały się chłopcy,
W leciech niższych otwartęj choć nie było wojny,
Utrapiał Ukrainę pokój niespokojny:
To siezowe nachody, to Tauryckie hordy,
Zdradne zawsze nad karkiem strzały, spisy, kordy,
Dzicz wnętrzna.” etc.

Drugi nie wymienia nigdzie nazwiska Żmudzi, bo kraina ta naówczas, to w chciwe Krzyżaków przechodząc ręce, to nazad do matki Litwy wracając, właściwe swe nazwanie w losach wojny traciła. Litwa i Prussy pochłaniały ją w sobie kolejną, i potężne tam zwodząc boje, użyzniały także tę ziemię „krwią i ciała podartemi,” a pozostałe okopy, szanice, i mogiły, dziś albo lasami już porosłe, lub zalegające szerokie jęj błonie, wybrzeża Niemna szczególnie i innych rzek doń wpadających, czyjż się myśli nie cofną w przeszłość daleką? czyjż się wyobraźni nie zaludnią dzikimi postaciami z tamtych czasów, i nie przypomną pięknego ich opisu:

„Niemen rozdziela Litwinów od wrogów;
Na jednej stronie błyszczą świątyń szczęty,
I szumią lasy, pomieszkania Bogów,
Po drugiej stronie, na pogórku wbity
Krzyż, godło Niemców, kryje czoło w niebie,
Z tęg strony tłumy litewskiej młodzieży,
W kółpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,

Z łukiem na plecach z dłonią pełną grotów,
Snują się śledząc niemieckich obrótów.
Po drugiej stronie, w szyszaku i zbroi
Niemiec na koniu nieruchomy stoi,
Oczy utkwwszy w nieprzyjaciół szaniec
Nabija strzelbę i liczy różaniec."

Podobieństwo takie dawnych przeznaczeń tych dwóch krajów, rozróżniło się wprawdzie w czasach nowszych. Długo jeszcze Ukrainę „utrapiał pokój niespokojny,” gdy Żmudź ulegając ogólnej zmianie losów, ale szczęśliwa swoim nadmorskim położeniem i żyznością swęj ziemi, wzrastała w za-
możność i w dostatki. A wszakże w obu tych krajach, z burzliwej, wojennej i krwawej ich przeszłości, jest pewnie bogaty skład treści, jakem to wyżej powiedział, i dla powieścio-pisarza i dla historyka. Znakomite talenta dotknęły już tych skar-bów na Ukrainie, bo bliższe w czasie, są one jak-by pod ręką tamtokrajowym mistrzom. Żmudź zo-stawiona dotąd odłogiem a jednakże w dzisiej-szym popędzie piśmiennictwa naszego, tak na zaw-sze zostać nie może. Pełno jest tam ludzi z nauką i z zamiłowaniem nauki, a jak w ziemi ich i w dzie-jach ukrywają się materiały (1), tak między nimi

(1) Że się w tych przypuszczeniach nie mylę, do-wodem być może następna pieśń, która i dotąd na Żmudzi między ludem pospolitym śpiewana, uwiecznia pamiętkę bitwy Kircholmskiej.

ukrywają się pewnie talenta, do użycia ich na chwałę literatury naszej zdolne.

Nadto jeszcze, ziemia ta i jej mieszkańce, mi-mo ścisłego zjednoczenia się z innymi częściami kraju tego, mimo wspólnej cywilizacji i obyczajów, zachowuje jednak niejaką różnicę i właściwą, re-ligijną, pobożną i patryarchalną, że tak powiem, cechę; a lubo powszechne teraz wykształcenie, jedno-

„Eykune sesere ant wiszkelele
Ar ne sulauksme sawa brolele
Mes ysztowiejam kalno dubelie
Mes murimajom auksza tworele.

Warbieg żyrgelis jau parpuskuja,
Auksa kylpeles szalie swiruja
Żyrge żyrgely tu judkierety
Kur tu padiejey musu pralety.

Asz ij patykau Kircholm miestelie;
Kursziu miestele, sweczaj szalelie
Użwaja woja kurszu żemety
Yr yszkapoja dydy wayszkety.

Dewines mares plaunkte parplaunkiau
O szy deszimta nerte parniusau
Dewines kulkas pro szały sieky
O szy deszymta brolety kyryta.
Kur gałwa kryła, roży yszdiga
Kur kraujėj triszka, żemeczugay byzga.

stajną towarzystwu nadaje barwę, jak politura na meblach gładzi drzewo i pod jeden modny podwodzi je kolor, wszakże rodzinnych jego słoów zarzucić nie mogąc, dojrzyć je przez swą szklistą powłokę dozwala. Tak i na Żmudzi z roskoszą serc pociętych i chrześcijańskich, cechę tę jeszcze i dzisiaj rozróżnić i rozpoznać można; a każdy obraz z któregokolwiek tam czasu wzięty, jakbykolwiek

Pójdźmy siostry na gościniec
Czy nie doczekamy swego brata,
Myśmy wydeptały dół na górze,
Myśmy osunęły wysoki płot.

Bieży już konik zadyszany,
Złote strzemiona po bokach się chwieja,
Koniu, koniku ty wrony,
Gdzie ty podziałeś naszego brata?

Jam go zostawił pod miastem Kircholimem.
Pod Kircholimem w cudzej stronie,
My zawojowali Inflantką ziemię
I wycięli duże wojska.

Dziwięć morz przepłynąłem,
A te dziesiąte, nurkiem przeszedłem:
Dziwięć kul go minęło
A dziesiąta, brata waszego zabiła.
Gdzie głowa padła, róże wyrosły;
Gdzie krew bryzgnęła, brylanty błyszczą.

w ogólném pojęciu charakteru naszego był trafny, nie będzie jednak miejscowie podobnym, jeżeli się tą religijną szatą, owiewającą tam równie pana jako i wieśniaka, nie oblecze.

Uwagi te, nie będą ścisłym programmatem mego własnego opowiadania: *wchodząc bowiem na ziemię Żmudzką z powieścią - pisarskiem piórem, chciałbym tylko razem z tem opowiadaniem przekazać i to pióro, któremukolwiek z uczonych tam ziomków, aby dziełem większego rozmiaru i znaczenia, z dziejów i obyczajów własnych, przysłużył się literaturze naszej; jest to raczej studium*

Piosnka ta jest wyraźnie z czasów Jana Karola Chodkiewicza, i dotąd na Żmudzi między ludem popo-
politym śpiewana, uwiecznia pamiątkę bitwy Kircholmskiej przez półtrzecia wieku i razem chwałę bohatera, natenczas pana szerokich ziem i włości na Żmudzi.—
Dziś już niema tam imienia Chodkiewiczów nawet, bo dobra *Szkudy* do dwóch tysięcy dymów liczące, a w roku 1568 sierpnia 5, przez *Zygmunta Augusta* Janowi Chodkiewiczowi Marszałkowi W. X. L. (ojcu Jana Karola) za znakomite zasługi i poniesione na wojnie Inflantkiej wydatki nadane, przeszły do Sapiehów przez zamążpójście jedynej córki Jana Karola, *Scholastyki*, za Jana Stanisława *Sapiełę*, Marszałka Nadwornego Litewskiego: która gdy w roku 1622 wszystkie dobra, jakie wniosła w posagu, jako to; *Bychow, Lachowicze, Cienkowicze, Bystrzyce, Giechowę, Skipicjan, Czyżewicze, Kretynę, Szkudy* — a w Inflantach *Berżonę i Muję*, zapisała mężowi na wieczność, *Alexander Chodkiewicz* Wojewoda Trocki i *Krzysztof Koniuszy Litewski*, roz-

tych obyczajów z drugiej połowy XVIII wieku, gdy szlachta nieukołysana po świeżej domowej wojnie, i tu, jak wszędzie ostatki dziedzicznego męstwa na sobie samęj wytrawiając, ostatkami i cnót dziedzicznych błyskała jeszcze.

poczęli z Sapiehami process o nieprawność tego zapisu, ukończony dekretem sejmowym 1626 roku; i tą koleją hrabstwo *Szkudy* na Żmudzi, aż do ostatnich czasów, było własnością *Sapiehów*. Po *Chodkiewiczach* zaś w fundacyach tylko pobożnych, zostały na Żmudzi pamiątki: — w *Kretyndzie* kościół i klasztor XX. Bernardynów, w *Szkudach* kościół farny ze szkołą parafialną, w *Krojach* wielkie kollegium dla Jezuitów etc.

II.

Był wielki fest w miasteczku *Szylelach* (1). Kto by jednym rzutem oka chciał poznać pobożność i zamożność Żmudzi, niech tam na uroczystość jaką do któregośkolwiek miasteczka przybędzie; nie tyle go zajmie i uderzy wielka liczba pięknych zaprzęgów i pojazdów dostatniejszych obywateli, bo chociaż tam ich jest więcej aniżeli w którejkolwiek z litewskich prowincyi, lecz wszędzie, z właściwej nam żądzy pokazania się bogatszymi aniżeli jesteśmy, zdobywamy się na kosztowne ekipaże, wiozące częstokroć *pana i jego fortunę*, zatem wszędzie place przedkościelne w dniach uroczystych świąt zapelnione bywają koczami i karetami, a jednakże ktoby brał ztąd miarę o dostatkach okolicy, nierazby się bardzo omylił. Na Żmudzi omylić się nie można, bo tam oko mimowolnie zwrócić się musi na pospólstwo, które nigdzie oszukiwać samego siebie, i nad możność się nadstawiać nie zwykło, a z zadowoleniem się za-

(1) *Szylele* miasteczko na Żmudzi.

stanowi i rozpatrywać będzie widoczną i grunto-
wną zamożność kraju tego. Nie ujrysz tam ani
litewskich skrzypiących kałamaszek i poneradów,
ani zaprzężonych w nie chudych karłów rodzaju
końskiego, okładanych nielitościwie grubą brzezi-
ną przez pijanych najczęściej chłopów. Włościanin
żmudzki jedzie okutym porządnie wozem, do kar-
nasyz podobnym, dwoma przy dyszelku małemi
wprawdzie, oddzielnéj rasy żmudzkiéj, ale silne-
mi, dobrze wykarmionemi, i jakby dwoje ponurych
niedźwiadków gęsto zarosłemi konikami. Na wo-
zie, czerstwa, rumiana i szerokiéj tuszy, w jedwa-
bnej chustki i błyszczące bursztyny ubrana gospo-
sia, siedzi na pundelku lnu białego jak śnieg, a
włóknistego jak jedwab, wiezionego, na dobrowol-
ną dziesięcinę w ofierze do kościoła, a odjętego
od kopy takichże pozostałych w domu, które wkrót-
ce na tymże wozie do Rygi pojada. Około niéj
ponatykane tłuste i pucate dziatki; widać że na
czystym chlebie, na pszennym pirogu i na tłustéj
szupieni (1) się wytuczyły. Gospodarz, w szaréj
lub granatowéj wysmienitéj sukmanie, w bótach
po kolana, i koniecznie a nieodmiennie u wszyst-
kich z chustką białą pod kołnierz po kapocie za-

(1) *Szupienia*, nazwisko grochowej kaszy, ulubionéj
pospólstwu żmudzkiemu.

łożoną, na piersiach skrzyżowaną i długimi koń-
cami wiszącą — wiezie ten domowy ładunek na
nabożeństwo, i wiezie pewnie kilka musztynów (1),
z których najmnij parę w zakrystyi zostawi.

Takie więc wozy zapelniały rynek Szytelski,
przemieszane tłumem pieszych, przybywających
ze wszech stron, odległych nawet, na fest Panny
Maryi szczególniej tam łaskami słynącćj. —
Plac kościelny szlakiem od rynku był oddzielony,

(1) Zamożność włościan Żmudzi, teraz jeszcze do-
statniejszych nizeli w innych Litewskich prowincjach,
że była dawniej prawdziwie znakomitą i wielką, do-
wodzą anegdota opowiadane dziś na Żmudzi, i zna-
jome tam powszechnie, a które z czasem w podania przejdą. — I tak: Książę Franciszek *Sapieha* objawszy po
śmierci ojca razem z innemi ogromnemi dobrami na
Litwie i *Szkudy* na Żmudzi, przybył tam nie uprze-
dziwszy wprzód rządcy, *incognito*. Nie znano tam je-
szcze nowego pana i on nieznał nikogo. Wysiadł ksią-
że z pojazdu w miasteczku, a że to była niedziela, wszedł
więc wśród nabożeństwa do kościoła; kościół był pełny,
ławki wszystkie zajęte najwięcej damami: więc nie mo-
gąc nigdzie pomieścić się i usiąść, dosłuchał mszy sto-
jacy, myśląc że to są wszystko obywatelki, sąsiadki
dóbr jego. U plebana potem, do którego po nabożeń-
stwie zaszedł i objawił kim był, dowiedział się z za-
dziwieniem, że to były jego włościanki.

Sławném jest także powitanie natenczas młodego dzie-
dzica przez włościan *Szkudzkich*. Urządzili oni mały
okręciak z łodzi morskich na kołach, które równie jak
i konie ukryte były pod spodem: okręt ten więc przy-
płynął z rozpiętymi żaglami na dziedziniec do dworu,
a z niego wysypali się majtkowie wynosząc dary dla

a u każdego w nim grubszego słupka, white mo-
siężne kółko, każde do jednej z rodzin parafijal-
nej zagrodowej szlachty dziedzicznie należące. Wa-
ra! ktoby u cudzego kółka uwiązał konika; to gu-
zem pachnie mospanie! to wiołencja!—Długi za-
tém rząd koników takich, jakie i u włościańskich
wozów zaprzężone widzieliśmy, stał uwiązany u
kościelnego szakieta... Dziśbyśmy może tenże
sam sam obraz w tymże samym dniu i na tymże

dziedzica, któremi okręt był naładowany. Dary te skła-
dały się z wielu antatów wybornego wina i rozmaitych
tak natenczas zwanych *bakalji*, oraz drogich zapraw
kuchennych, których przy pańskich tylko stołach można
było szlachcicowi pokosztować.

Niekiedy, jak wieść niesie, kilkaset dukatów na
srebrnej tacy bywało dobrowolnym powitalnym darem,
których gdy bogaty pan nie przyjmował zwykle, wło-
ścianie nie odnosząc nazad ofiary swojej, dworskich je-
go złotem osypywali.

Szczęściem to było dla szlachcica zostać rządcą ja-
kich dóbr wielkich na Żmudzi: nie mieszkali tam pa-
nowie, obierając zwykle swe rezydencje w bliższych
swych od stolicy dobrach, do której wysokie dostojen-
stwa i urzęda ich wiązały. Komisarz zatém, a jak tam
nazywano *Gubernator*, był drugim panem, jedynie zna-
jomym i codzienne mającym stosunki z włościanami:
byle więc był poczciwym, łagodnym i sprawiedliwym,
bez żadnej prawie pracy, bez uszczerbku dochodów
pańskich, zbierał często znakomity fundusz, do którego
dary włościan nie mało się przykładaly.

Kiedyś naprzykład, jeden z takich administratorów
Szkudzkich ożenił się, jak powiadają, z piękną bardzo
kobietą, która z dumy, czy z kaprysu, nie pokazywała

ryнку ujrzeli jeszcze, z odumianą tylko fantazyji i
stroju szlachty, która dawniejsze żupany i kontu-
sze na kapoty zmieniając, mało się już od włościan
różni, tém bardziej, że białych chustek na ramio-
nach, jako dawniej tak i teraz razem z włościana-
mi nie zaniedbuje.

Już się było ukończyło nabożeństwo, i wyższa
publiczność, kollatorowie, parafianie i pobożni ze
stron dalszych znakomitsi goście, zaproszeni na

się nigdy włościanom, a ciekawi byli poznać swą panią;
postanowili więc każdy osobno przychodzić z podarkiem
pieniężnym dla niej, lecz razem z prośbą złożenia go
we własne jej ręce. Wieść nie daje wiadomości jakich
użył środków mąż, do przełamania oporu kapryśnej
czy dumnej piękności... było w *Szkudach* około 2000
chat, odebrała więc pani tyleż wizyt, ale za tę *audjencję*
złożone podarki wynieść miały pięć tysięcy dukatów.

W drugich książęcych także, ale innego imienia, a ró-
wnież wielkich na Żmudzi dobrach (zdarzenie to naj-
prawdziwsze), rządcą był zacny i pięknego imienia
szlachcic, *Borkiewicz*. Rodzice jego posiadali wpraw-
dzie nie mały folwark w powiecie Rosieńskim, ale
liczném ich Bóg obdarzył potomstwem, a tak w per-
spektywie, nie wielkie dzieciom obiecywały się dostatki.
Starszy więc ich syn, ukończywszy nauki, podług po-
wszechnego natenczas obyczaju, udał się na dwór księ-
cia, trzymać się klamki pańskiej i szukać tam sobie
krescytywy. Jakoż przez lat kilka tak się potrafił mło-
dzieńiec zasłużyć i podobać księciu, taką zjednał sobie
ufność i szacunek jego że mu on zarząd swych dóbr
Żmudzkich powierzył. Lat z dziesiątek pełnił on potem
ten obowiązek. Włościanie pokochali go bardzo, i do-
brze mu się działo, lecz nie mógł on jak inni składać

obiad przez proboszcza, przechadzali się około kościoła i przed plebaniją, witając się wzajemnie, i na pięknym powietrzu wesoło przedobiednią przepędzając godzinę. Kompanija liczna, z obojęd płci i różnego wieku złożona, na rozmaite też dzieliła się grona: tu starsi i poważniejsi ojcowie rodzin i księża, tam matrony i marcowe kawalery, tam znowu panienki i około nich w koperczakach rzeźwe wierzypienty... a wszędzie dobry humor, obyczajna

grosz do grosza i zgromadzić kapitalik, bo złączony familijnie z wielu dostojnymi domami na Żmudzi, żyć musiał i przyjmować gości nad możność zwyczajnego administratora, a stróż wierny dochodów pańskich, swoich zatem oszczędzać nie mógł, i tak talar talara gonił, a żaden długo w kieszeni się nie osiedziały.

W tém księciu wyjeżdżającemu za granicę potrzeba było gotówki: postanowił on więc wypuścić w arędę dobra Żmudzkie, i wziąć z góry kilkakroć stotyścienną z nich roczną intratę. Wiadomość ta jak piorunem uderzyła *Borkiewicza*: tracił miejsce — przeraziła też bardzo przywiązanych doń włościan — tracili ulubionego pana — bo księcia, który nigdy w tych dobrach nie był, nie znali nawet. Więc rada w radę między niemi, i postanowiono, aby nie kto inny jak *Borkiewicz* wziął w arędę dobra te. Przyszli doń zatem z tą propozycją — a pieniądze zkąd? zapytał on zdziwiony trzykroć sto tysięcy moje dziatki! a ja i trzech tysięcy nie mam. — Pieniądze my złożym — odpowiedzieli: nam częściami oddawać będziesz, a zysk wasz. I tu zaczęło się dobrowolne otaxowanie się na składkę. *Borkiewicz* pisał krędą na stole, a włościanie dyktowali liczby: wkrótce podsumowano 15,000 czerwonych złotych i

prostota, i ruch pełny życia i swobody. Między tém gronem kilkunastu dziewic, jaśniała, jak róża między polnemi kwiatami, panna *Dorota Uwójnianka*, Chorążanka Korszewska, panienka na wydaniu, powtarzam jak róża, bo świeżością i rumieńcem do téj królowej kwiatów podobna, oczkiem jeszcze figlarnym i humorkiem wstrętnym, jak drobnym cierniem serce konkurentów raziła.

nazajutrz już one były w szkatule *Borkiewicza*, bez kart, bez obligów, z prostą tylko notatką, kto i wiele przyniósł.

Wziąwszy zatem *Borkiewicz* z sobą kilku zacnych gospodarzy, bo przed księciem nic z téj okoliczności zataić nie chciał, wyprawił się z pieniędzmi do Warszawy, gdzie natenczas przebywał książę dziedzic. Tam on dowiedział się o wszystkich szczegółach téj sprawy z niewymownym zadowoleniem, i gości swoich, włościan, przyjął najuprzejmiej: chlubił się przed całą Warszawą ich zamożnością, która była razem i dowodem jego względem ich ludzkości, a z pańską wspaniałością nagradzając i swych chłopków i ich rządę, przyjął ochotnie przywiezioną propozycję, rozliczył intratę na korzyść *Borkiewicza*, ustępując mu nawet bezpłatnie krescencje kilku tam znajdujących się folwarków. Folwarki te w miarę obszerności dóbr nie były wielkie, bo gotowe czynsz tam jako i we wszystkich znakomitszych na Żmudzi dobrach składały główny i prawie jedyny a wysoki dochód dziedziców; zakładano je bowiem pierwiastkowie, dla pomieszczenia i utrzymywania tylko miejscowych *oficiów*, ale w kraju tak handlowym pod Rygą, na ziemi tak błogosławionej, i małe zasiewy, zwłaszcza lnu, znakomite przynosiły zyski. Słowem, po latach kilkunastu téj arendy, *Borkiewicz* kupił tu na Litwie chat z półtorasta, piękny i we wszelkie wygodę opatrzony

Więc około panny chorążanki Korszewskiej, otoczonej gromadą nie ujmujących jej wdziękom towarzyszek, skupiła się młodzież na dziedzińcu plebańskim; między nimi, dojrzalszy wiekiem, znaczniejszy mężką i krzepką posturą, a najpilniej zalecający się pannie, był pan *Wincenty Mejra*, młodzian mogący mieć lat dwadzieścia pięć, ale już wsławiający się siłą nad wiek, zręcznością do korda i odwagą. Wtém wychodzi z plebanii, uchylając się we drzwiach, bo te dla każdego wygodne, na jego urodę zanizkie były, powiedziałbyś

majątek, do którego nakoniec z żalem włościan tamtejszych przeniósł się. Lecz rozłączenie się to nie przerwało wzajemnego między nimi przywiązania i wzajemnej wdzięczności. Miło było widzieć, jak zapraszani przez Bortkiewicza na domowe jego rozmaite obchody i uroczystości, przybywali doń kochani goście jego, włościanie staruszkowie ze Żmudzi, a nigdy mu przybycia nie odmówili; jak on sam, ojciec licznej rodziny, rad im był z całego serca, zasadzał ich u stołu obok siebie i dorodne już dzieci swoje przedstawiał im, nauczając synów miłości, wdzięczności i poszanowania dla tych nieoszacowanych przyjaciół swoich; i nakoniec, jak poczciwi starcowie błogosławili domowi, i jakby własnemu, potomstwu jego. ... Nie mam potrzeby dodawać, jakim był sam Bortkiewicz panem dla swoich własnych włościan.

Niegdyś w młodości mojej przysłuchiwałem się opowiadaniu téj całej historii przez naocznego jej świadka, a umieszczam ją tu naprzeciw tytuł potwarzom, modnym niestety! a w ogólności niesprawiedliwym, o obchodzeniu się z włościanami ojców i dziadów naszych.

Samson czy *Herkules*, bo do obu tych historycznych osiłków porównały się mógł; człek o jakie dziesięć lat starszy od Mejry, przystojnej, lecz razem *rubasznej* i *zuchwałej* miny. Dwa te przymioty, na pozór sprzeczne, a jednak często łączące się i w naturze i na licach ojców naszych, a to bardzo naturalnie: bo zasadą ich charakteru były dobroć i miłość, a duma i zarozumiałość nałogiem codziennym z samowolnej nieuległości wyłęgłym. Dla tego też, czy to w ogólnych prawach i uchwałach na dobro kraju, czy to w szczególnych osobistych zamiarach, co miłość przedsięwzięła i postanowiła, to duma i zarozumiałość wykonać nie dozwoliła; i wzajemnie co duma i zarozumiałość nabroiła, to miłość i poczciwość poprawiała i łagodziła, a ta nieustanna fluktuacja, jest właśnie treścią dziejów kraju całego, i dziejów na onczas każdego szlachcica czy pana.

Wychodzący z plebanii, i z postaci i z humoru był właśnie *typem* (szkoda że na to polskiego wiściwego nie mamy wyrazu) téj dwoistój szlacheckiej natury. Pan *Zegota* z *Milanowa Milanowski*, zawzięty jak *mazur*, bo z Mazowsza, jak to później obaczemy, ród swój prowadził: uparty jak *Żmudzin*, a w gruncie poczciwy jak oba.

Gdy wyszedł z plebanii *Milanowski*, siedział wówczas na ganku pan Kasztelan S. *Domi-*

nos (1) Żmudzki, bogactwem i senatorską godnością najważniejsza figura w tém zgromadzeniu. Zmierzyli się niechętném okiem dwaj zawzięci nieprzyjaciele. . . Dla czego nieprzyjaciele? choć krewni, niżej się dowiemy. — *Hardopyszek!* — rzekł przez zęby, lecz z przyciskiem Żegota, mijając Kasztelaną. — *Banita!* — rzekł podobnie Kasztelan za odchodzącym.

— Pana Pułkownika *Murmuluka!* — zawołał znowu Milanowski z szyderezym uśmiechem, mijając kasztelanowego brata, figurę wysoką, chudą i wyperukowaną, a ustrojoną w jakiś *permodum* wojskowy cudzoziemski mundur.

— Dowód to łaski pański! — odpowiedział powitany, wymową przez nos przepuszczaną, od której właśnie *Murmuluk*iem był przezwany; a za odchodzącym Żegotą dodał, mruczając już zupełnie jakby w katarze: *Tausend teufel!* to jest *bodajbyś sto djabłów zjadł*.

Wtém Żegota postrzegł pannę Dorotę, otoczoną rojem adoratorów, sam do jęj serca i ręki szczerzy, serdeczny i powszechnie ogłoszony pretendent.

(1) Od dawnych czasów i dotąd, pospólstwo żmudzkie niektórym tam familjom dodaje nazwanie *Dominos* — w Telszewskim na przykład: *Gadonom* i *Piśsudzkim* — w Szawelskim: *Szeniutom* i *Burbom* — w Rosieńskim: *Prze ciszewskim*, *Billewiczom*, *Dowgiallom* etc.

Dotąd jego rywalem był tylko pułkownik *Murmuluk*, ale się on go nie obawiał wcale, bo chociaż wdzięki tylko były posagiem *Dosi*, mającej liczne rodzeństwo, a pan pułkownik na całej swęj fortunie oświadczał opisać jęj przed ślubem dożywocie, i nadto bogaty dar *summowny* uczynić i obligiem czystym upewnić za wiano, wszakże gdy ta fortuna jego, chociaż obszerna, była jako i on sam starą ruiną, a brat, pan Kasztelan, mający kilku synów, oppugnował się wszelkim małżeńskim imprezom bezzennego ich stryjaska, przeto jak rodziców panny Uwojnianki nie nader łudził majątek pana Pułkownika, tak córeczce nie mogła się podobać podstarzała i śmieszna jego figura. — Nakoniec, ostatni przeciw niemu argument Żegoty był w kordzie; bo chociaż *Murmuluk* pułkownikiem wojsk pruskich się mianował, a mundurem, przysłowiem niemieckim *tausend teufel*, i opodaniem naprzykrzoném każdemu bitwy pod Kistrynem (1), tego dowodził; wszakże często z dobrym skutkiem probowano z nim tego środka, i nieraz zbliżającemu się już do kobierca pałasz rywala zagroził drogę.

Ale spójrzawszy na grono chłopców młodych, otaczających *Dosię*, Żegota wśród nich przeczuł do

(1) Bitwa pod Kistrynem, w czasie siedmioletniej wojny.

razu niebezpieczniejszego współzawodnika w Mejrze... Twarz mu więc, po śniadaniu już zarumieniona w plebanji, ciemnym wnet powlekła się karmazynem.— Chrząknął — chrząknął tylko!... ale aż ziemia zadrżała!... Niegdyś krzyknął Achilles i Trojanie uciekli... tu chrząknął Żegota i panice spłoszyli się od Dosi... Ale Mejra, jak ów natenczas Hektor, został na miejscu... a we wzroku ich którym się spotkali tyle było nienawiści, tyle wzgardy, tyle zemsty, że się zdawało, iż krew im ze żrenie wytryśnie... Ah! bo niestety! krwią zapisane były karty ich przeznaczenia!...

Jak rój motylów rozpiczchły się dziewczęta, każda do swojej mamy, i zbladła Dosia do swojej odbiegła. — Rywale jeszcze raz spojrzeli na siebie jak bazyliuszki, i nakoniec Mejra zawrócił się ku plebanji, a Żegota, postrzegłszy przy bramie kościelnej dwóch nieodstępnych nigdy odeń łozaków swoich, *Poroczka* i *Norejka*, dających mu na migi jakoweś znaki, wyszedł do nich.

— Co to jest? czego chcecie? — zapytał.

— Jedźmy, Jegomość — rzekł *Poroczka* — są tu jakieś na nas zasadzki i praktyki; poznaliśmy z *Norejka* kilku kasztelańskich huzarów, przebranych po naszemu: piją u Szendera, a że to brat rodzony naszego arendarza Judela, przeto nas ostrzegł i zaprowadził tylnymi drzwiami do komory, gdzie

dosłyszeliśmy po trosze, jak oni traktując miodem szlachtę, i złote jej góry od Kasztelana obiecując, zmagają na zaczepkę z panem; więc czy nie lepiej byłoby wymknąć się? bo może...

— Cóż tam może? — przerwał surowo Żegota. — Czy posiedziawszy w domu za piecem tchórzem już podszyliście się? Czy już zapomnieliście konfederackiej komendy „*Muszk* (1) *Poroczka! Muszk Norejka!* A właśnie mię teraz ręka pali, więc chciałbym... *Muszk!* — dodał uderzając po szabli.

Łozaki ukłonili się, i skonfundowani wymówką pańską szli za nim, żadnych już nie czyniąc przestroż.

Zatém zuchwałym krokiem Żegota pomaszerował przez rynek; ustępowała przed nim łożna gawiedź i pospólstwo. *Poroczka* i *Norejka*, od pana nabierając energii, czupurne także nastroili miny. I taką troistą kalwakatą obeszlili plac cały, otarli się koło Szendera, a nigdzie nie spotkawszy, ani dostrzegłszy nieprzyjaciela, w powrocie przed kościoł właśnie środkiem przerynali rynek... gdy na drodze zatrzymała ich *barykada*.

Barykadą tą był długi i szeroki stół, nałożony wielkimi kupami pierników, a otoczony gromadą dzieci włościańskich i matulek, sypiących przeda-

(1) *Muszk* — Bij.

jącęj żydówce koronczyki i pruskie dytki. — Z radością rozechwytywała dziatwa pietuszki ze złoceniemi grzebykami, baranki z takiemiż różkami i różne fabuliczne smoki i latawce, ze słodkiej masy ulepione; a starsze dziewczki i matule rozbierały skwapliwie na zapas i na gościnie dla pozostałych w domu, szerokie jak łopaty pierniki, w różne złoczone na wierzchu floresy ozdobne.

Żegota, zatrzymany w marszu, chciał najprzód stół przewrócić; lecz gdy żydówka rzuciła mu się do kolan i błagać zaczęła, inna myśl do głowy mu przysła.

— Słuchaj! — rzekł — co chcesz za cały stół?

— Jasny Panie! — odpowiedziała zagadniona niespodziewaną propozycją i przełęczoną jeszcze Siora — Jasny Panie, to wielki towar i gwałt pieniędzy kosztuje. Miód drogi tego lata, a tu sam lipiec odborny.

— Mów szachrajko — przerwał jej groźnie Żegota — bo nie mam czasu długo z tobą się targować.

— Jasny Panie! czy ja mogę tak prędko zliczyć; ja jeździła aż do Torunia uczyć się piec tego piernika; a co ja tam za to zapłaciła! aj! aj!

Żydówka ochłonęła już ze strachu, i pustą rozmową, starała się sobie dodać czasu na rozmyślanie jak najlepszej ceny swemu towarowi.

Po lipiec — mówiła dalej — trzeba jechać aż do

Kowna, a i tam trudno dostać, bo wszystek sycą na trójniaka, i wszystek rok na rok panowie wypijają. — Niech im Pan Bóg daje na zdrowie!....

— Czy długo będziesz bałamucić? — zawołał znowu zniecierpliwiony Żegota — mów cenę, bo stół do djabła przewrócę, i pierniki twoje rozlecą się na cały rynek.

— Gwałt! gwałt! co mnie robić? kiedy Jasny Pan tak chce koniecznie, to bez urazy Pańskiej... Nu, a co Pan z niemi zrobi jak kupi?

— A tobie co do tego? Zjem!

— Nu, to nie może być, chyba schowawszy, to na długo będzie dla zakąski albo....

— Do milijon kroćset!... — wrzasnął Żegota porywając za stół.

— Jasny Panie, gwałt! stój pan! stój! zapłać Jegomość dziesięć talarów, i bierz!

Żegota uśmiechnął się na tak przesadzoną cenę; pospółstwo nawet, przypatrujące się tej scenie, łajac żydówkę poczęło, a zmieszało ją najbardziej, kzykawszy, że to chyba razem i z tą skrzynią pełną także pierników, na której siedzi: ale Milanowski nieuwważając na nic, i zapłaciwszy dziesięć talarów: — bierzcie stół! — rzekł do łózaków — i nieście za mną — a widząc że we dwóch temu podolać nie mogli — Pomóście dziatki — rzekł do pospółstwa — a dostaniecie tych kołaczów.

Kilku wnet chłopaków rzuciło się do pomocy Poroczce i Norejce. Szedł więc naprzód Żegota, za nim niesiono stół z piernikami, a za stołem brnął lud, ciekawy co z tego będzie?

Kompanja na dziedzińcu plebańskim widząc że coś się nadzwyczajnego na rynku dzieje, zbliżyła się z drugiej strony do szтакietów i pytała także co się stało panu Milanowskiemu, i co z tego będzie?

Tymczasem on kazał postawić stół przy samej bramie kościelnej, tak, że któkolwiek z plebanji wychodził na rynek lub do pojazdów, tuż koło niego przejść musiał; kazał jeszcze przynieść zedel i zasiadł za stołem jakby do najważniejszego dzieła.

— No, chłopcy — rzekł on najprzód do niosących stół; macie po wielkim pierniku za waszą fatygę. — Ci ukłonili się i z wesołym podskokiem odeszli.

Prowadźcie mi teraz wszystkich ubogich rzekł do swych hajduków...

Pan Kasztelan tymczasem siedział dotąd na ganku, romawiając poważnie ze zbliżającymi się ku niemu, a oglądając się niekiedy w różne strony, jakby kogoś oczekiwał. Gdy Żegota ze stołem i tłumem zbliżał się do bramy kościelnej i zaczął potem tę wspaniałą dywidendę pierników, Kasztelan nań się zapatrując wzruszał ramionami, po-

glądał nienawistnie i mówił sam do siebie: — Banić buszuj, buszuj! ale poczekajno, poczekaj! przytrę ja tobie rogów! — I znowu oglądał się niecierpliwie. Jakoż doczekał się widać oczekiwanego, bo dostrzegł zbliżającego się doń jakiegoś szlachcica, a może jednego z własnych przebranych huzarów, których Kasztelan utrzymywał kilkudziesięciu na swoim dworze, i z których kilku poznali łóżaki Milanowskiego; ten obszedł plac kościelny z drugiej strony, wlaźł do ogrodu plebańskiego przez płot, a z ogrodu wyszedł na dziedziniec i spotkał idącego naprzeciw siebie Kasztelana.

W tłumie i gwarze nikt na ten manewr nie zwrócił uwagi: szlachcic kilka słów szepnął na ucho Kasztelanowi, ten za całą odpowiedź kiwnął głową, i emisaryusz znowu tą samą drogą i lisim krokiem odszedł, a Kasztelan wszedł do plebanji, i zabierając się do odjazdu, z proboszczem żegnając się pocał.

Pleban obfite i pokilkokrotne zastawiając śniadania, bo wyśpieszyć obiadu dla wielkiej publiki, na zwykłą zaraz po nabożeństwie godzinę, niepodobna mu było, miał nadzieję że goście jego cierpliwie, bo niegłódno tę pauzę zniosą; zadziwił się więc odjazdowi Kasztelana, i zakłopotany staruszek przeproszać go zaczął za tę mimowolną zwłokę, upewniając, że wnet waza będzie na stole, a

błagał najpokorniej aby zostać raczył, dla honoru i ozdoby jego ubożuchnego, ale z serca ofiarowanego kollatorom i dobrodziejom tego kościoła, traktamentu.

Lecz Kasztelan, uspokoiwszy go najuprzejmiej, upewniał, że wszyscy widzieć mogli na dziedzińcu posłańca, którego doń wyprawiono z domu, z wiadomością wymagającą rychłego powrotu, a zatem, że odjechać musi bez zwłoki.

Gdy to się działo w plebanii, tymczasem Żegota obdzielał piernikami liczną nader gromadę żebraków na fest zebranych, a z pod kościoła i zewsząd przedeń przyprowadzanych; lecz zostało jeszcze pół stołu zakupionego towaru; natenczas zawołał on głośno: — Sam tu! kto chce piernika, niech się pokłoni.

Nie wielu się kwapiło na to myśliwskie nawoływanie; kilku jednak z pospólstwa śmiejąc się podeszli, pokłonili się i dostali piernika. Lecz w tejże samiej chwili wyszedł Kasztelan z bramy i stanął, nadecekując na swą karetę, po którą posłał, a która odeszła była pod karcznię, bo stangret i służba, nie spodziewając się przed obiadem wyjazdu z plebanii, odjechali tam razem z innemi ekwipażami; znalazł się więc prawie obok Żegoty i odwrócił się doń tyłem.

— Kasztelanie! — zawołał Żegota — pokłoń się, dam piernika!

Kasztelan odszedł dalej jeszcze o kilka kroków, — Ho! ho! panku — wołał za nim Milanowski — nie cheesz pokłonić się szlachcicowi, a nawet krewniakowi swemu....

Przerwał dalszą perorę idący za bratem Kasztelanem Pułkownik. Skoro się on ukazał w bramie, opuściła Żegotę zawziętość i rubasznie zawołał znowu:

— Pułkowniku Murmuluk! pokłoń się, dam piernika!

— Dowód to łaski pańskiej — odpowiedział jak zwyczajnie przez nos i powoli Pułkownik, kłaniając się zdaleka — a wtém nadeszła karetka. Kasztelan wsiadłszy do niej i zabrawszy brata, rzekł przez okno do Żegoty:

— Poczekaj ty Banito! wraz na łbie pierniki mieć będziesz! Ruszaj!.... a Pułkownik przez drugie okno rzucił mu jeszcze: — „*Tausend teufel.*”

Na te apostrofy zerwał się porywco Milanowski, lecz pojazd pędząc z kopyta był już daleko.

Żegota, usiadłszy na nowo za stołem, postrzegł blisko siebie stojącego jakiegoś człowieka, niepoczesnej postaci, ale gęstej miny, patrzącego nań wytrzeszczonemi oczyma, kręcącego wąsy i muskającego się po czuprynie.

— A to co za pokusa? — zapytał on.

— Aj! bodaj żem ja go widział u Szendera — odpowiedział Norejko.

— Słuchaj kpie! — zawołał więc nań Żegota — chodź sam tu, pokłoń się, a dam piernika na ząbkę miodu kasztelańskiego, coś pił u Szendera.

Jakoż podszedł szlachcic, jakby na wezwanie, ale *insperate* zamachnąwszy ręką po stole, wszystkie pozostałe kupy pierników zmiotł na ziemię, i dał w nogi ku kramom co miał siły.

— Ha! chłystek! zdrajca! krzyknął Milanowski — łapaj! łapaj! *Muszk* Norejka! *Muszk* Poroczka!

Nizeli to wymówił, już oba gonili figlarza, ale posłyszawszy za sobą znajomą konfederacką komendę *Muszk*, dobyli szabel, i z podniesionemi biegli za uciekającym.

Milanowski wnet poznał, że ta zaczepka nie jest bez kozéry, i że łozaki jego trafić mogą na zasadzkę; krzyknął więc na pospólstwo: — zbieraj kto chce szabelki, — a sam śpiesznym krokiem szedł ku kramom, na środku rynku w kwadrat zabudowanym, za których jednym bokiem zniknęli właśnie i zbieg i pogon.

Nie omylił się on: była to zasadzka, ułożona przez Kasztelana, a zdana na wykonanie kilku szlachcicom stronnikom jego, kilku dawnym jego

dworzanom i pod ich komendę dodanym kilku huzarom, z planem podrażnienia Żegoty tak, aby on sam koniecznie zaczął zbrojną zaczepkę; czego łatwo dokazać mieli nadzieję, znając charakter i zuchwałość jego. Szło zatem, że w sprawie kryminalnej, która z téj akeyi wyniknąć miała, Żegota choć zwyciężony i zrąbany, bo tego się pewnie spodziewał Kasztelan, nasadzając kilkunastu na jednego, nie mógł zaprzec się, że był napastnikiem, a tak uległby wyraźnemu prawu: „*Infe-stor se ipsum occidit.*” Napastnik sam siebie zabija. — Kasztelan zaś, aby pozoru podejrzenia uniknął, wyjechał, jakeśmy to widzieli, z miasteczka.

Uciekający szlachcic wpadł w kupę spiskowych towarzyszków, czekających go i ukrytych za kramami; za nim lecący Poroczko i Norejko ujrzawszy nagle tę gromadę, stanęli; wtém któryś z wodzów bandy krzyknął:

— Napaść moi panowie! Gwałt! biorę wszystkich za świadków! brońmy się!... i wnet kilkanaście szabel rzuciło się naprzód, a nim hajduki, choć rosłe i silne chłopcy, mogli się opamiętać i złożyć, dostali po łbie i rękach cięcia, lekkie wprawdzie, ale jednak okrwawieni i ranni, nie mogli dotrzymać placu, i niepomni na rycerską sławę, tył poddali, a po prostu mówiąc, uciekać zaczęli.

Atakująca rzesza nie nacierała natarczywie,

czy to mądrze umiarkowana w zwyczajstwie, czy to że miód szenderowski zuehując im po głowach, plątał się po nogach.... możeby nawet przyszło do rady wojennej i do *armistitium*... gdyby w tej chwili Żegota, biegnący na sukurs swoim, nie wpadł na nich, jak zgłodniały wilk na trzodę wieprzów, co się w niebezpieczeństwie takim ciska w kupę, i ostre kły swoje wyszczerzają naprzeciw napastnikowi....

Wyższy o pół łokcia od wszystkich, z rapirem o pół łokcia dłuższym od szabelek szlacheckich — *Muszk!* krzyknął on z całych piersi, i dopadając osłupiałej na ten krzyk tłuszczy, dzwignął mieczem potężnie... kilka kling wybitych z rąk i rękojeści furknęło w powietrze.... a Żegota, zwinawszy przed frontem nieprzyjacielskim krzyżowego młyńca, puścił rapir *horyzontalnie* po nosach, zębach lub łbach; podług wysokości figur jak komu przypadło.... *Muszk!* jak z pistoleta palił, i wnet jakby echa od tego wystrzału rozlegały się aj! oj! aj! oj! rozmaitemi głosami. — *Muszk! aj! aj! oj! oj! oj!*

Opojona szlachta dostawszy w pierwszym zamachu za swoje, ranieni i nieranieni pierzechali wszyscy.... przebrani huzary stanęli szczerlej w kroku, lecz i ci, nie mogąc wytrzymać krzyżowego młyńca, który jak błyskawica wijąc się

koło Żegoty, odbijał i kruszył ich pałasze, a potem kosił ich horyzontalnie, uderzyli także na odwrot.... Wtenczas Żegota zmienił manewr.... walił płazem po uciekających — *Muszk! oj! oj! oj! oj! Muszk! aj! oj! oj!...* a za każdym *Muszk!* sztaba żelaza spadała z góry na grzbiet dognanego, boleśniesz tam i na dłuższy czas, niżeli lekka rana wypiekając piętno.

„Tak niegdyś sławny rycerz Palestyny,
Oślił paszczką gromił Filistyny.” (1)

III.

Jak wygram *rehabicję* (2) na successorach króla Jana III do Milanowa, który on za bezcen kupił od mego antenata, i jeszcze jakby na despekt naszego mazowieckiego gniazda, Wilanowem po włosku przezwiał (3), to będę większy pan i od mego krewniaka pana Rasztelana; mawiał pan Milanowski, gdy się między bracią przy kielichu rozdobruchwał i facecye prawić zaczął. Wiedział on bo-

(1) Monachomachija.

(2) *Rehabicja* termin prawny — znaczy: przywrócenie do własności.

(3) Historyczne, prawdziwe.

wiem dobrze ze swych aktów domowych, że w roku 1677 Jan Sobieski, król, upodobawszy sobie w pięknej nad Wisłą okolicy, blizką od Warszawy wieś, Milanowo zwaną, starożytną szlacheckiej rodzinie Milanowskich jeszcze od książąt Mazowieckich nadaną, kupił ją za 45,000 złotych ówczesnych, i we wspaniałą potem rezydencję monarszą zamienił. A gdy jeden ze sprzedających, Jan Milanowski, na Wyprawie Wiedeńskiej dzielnie pocztom polskim przywodził, pod okiem króla baszę jakiegoś własną ręką zabił, a liczny hufiec turecki z mniejszym daleko własnym rozproszył; przeto król po powrocie z wyprawy, w nagrodę męstwa jego i zasługi, *panem bene merentium* (1) mu udzielił, to jest dał mu w dożywocie starostwo na Żmudzi Tabiny zwane.

Syn tego walecznego męża pojął za żonę córkę możnej żmudzkiej rodziny Jagintów, a po niej dostała się potomstwu jego w puściznie wieś po żmudzku *Berżulukas* (pole brzozy) dziś *Berżylówką* zowiąca się. I oto historia rzeczywista przesadzenia się Milanowskich z Mazowieckiej na Żmudzką ziemię.

Ża czasów jeszcze pogaństwa w Litwie, na początku XIV wieku, familja Mejrów miała już swe

(1) Chleb dobrze zasłużonych.

posiadłości na Żmudzi, około Jurborga, nad granicą pruską, a lubo niektórzy ród ich od Niemców pochodzącym być twierdzili, i nazwiskiem z niemiecka brzmiącym, mniemanie to usprawiedliwiali, wszakże Mejrowie przeciw temu ich zezdrowszczeniu z niezbitym stawiali dowodem, bo z nadaniem od Witolda, za krwawe walki z Krzyżakami (zatem z Niemcami), przodkom ich majątności Kilpinie, od wyrazu litewskiego *kilpa* (strzemie) nazwaną, niedaleko zamków krzyżackich Ragnety i Tylży leżącą. Ileż to dostojnych rodzin na Żmudzi, takimiż nadaniami i za również w bojach z Krzyżactwem zasługi, poszczycić się, pewny jestem, może?

Dwie zatem rodziny, mające we krwi od przodków sobie przelane pochop i zapał do męstwa i korda, żyły od wieków w sąsiedztwie; Milanowscy w *Berżylówce*, Mejrowie w *Kilpinie* — a rozdzielała ich tylko fortuna państwa Uwojniów od wieków także sławnych prawników. Z takiego położenia tych trojga siedlisk zdawałoby się mogło, że między dwoma ważącymi mieczami, rozjemcza *Themis* na gwicicie szali usiadła. Ale niestety! *Themis* to była prawdziwa szlachecka, swarliwa, a do nieustannych processów, kłótni i sporów, szczególnież granicznych, podbudzająca; więc Uwojniów opiekunka i patronka. Jakoż od dziadów i pradzia-

dów, to na jedną, to na drugą stronę obracając się oni, jednemu lub drugiemu dokuczali sąsiedztwu — ale na przemian: bo ani Żegotom, ani Mejrrom nie mogąc dotrzymać pola na dyferencyach, zawierali pospolicie z jednemi kombinację, która zawieszeniem broni nazwać się mogła, warując zbrojną pomoc w przygodzie, gdy na drugiego nastawać mieli, i wzajemnie; ztąd i Milanowscy z Mejrmi kłócili się za cudzą sprawę, a wszystkie trzy domy żyły w nieustanną zwadzie, rozgardyaszu i kłopotcie.

Taki stan rzeczy, idąc przez pokolenia, dotrwał aż do czasu, gdy Żegota Milanowski, starszy ze swój rodziny, wrócił po Konfederacyi Barskiej do domu, i nie znalazłszy w życiu rodziców, został gospodarzem w *Berzylowce* — a Rafał Mejra, mający również kilku młodszych od siebie braci, wyrosł na młodzieńca, i dawnym szlacheckim obyczajem, aplikować się do *jurysprudencji* i do szabli razem, co jedno drugiemu nie przeszkadzało, począł; i nakoniec, gdy u państwa Chorążostwa Uwojnow zakwitła Dosia, która ręką swą na jedną lub drugą stronę oddaną, zjednać mogła dwóm przynajmniej ze trzech kłócących się rodzin zgodę wieczną, a własnej stałych już sprzymierzeńców.

Trzydzieści lat z górą liczyć mógł sobie naówczas, gdy wrócił do domu Milanowski — sam czas

do ożenienia się. — Dwadzieścia pięć miał Mejra, sam czas do miłości. — Dziewiętnaście wiosen liczyła Dosia, sam czas do małżeństwa. Uważając te *cyrkumstancje*, Pułkownik Murmuluk, pretendent trzeci do ręki Dosi, powiedział:

— Gdym był pod Kistrynem, to była tam taka baterja, co na dwa boki strzelała i najciężej było zdobyć ją; alem ja podszedł z trzeciego boku....

— To i Dosię myślisz Pułkowniku zdobyć z trzeciego boku? — przerwał ktoś.

— Dowód to łaski Pańskiej!...

Z Pułkownikiem więc Żegota był w emulacyi jedynie tylko z racyi Dosi, o co mało dbając jakżeśmy to wyżej namienili i nie lękając się weale tego rywala, nie wiele też go i nienawidził. Lecz z Kasztelanem nienawiść ich wzajemna głębsze miała przyczyny, srożej raniła obie strony, i do niebezpiecznych wiodła skutków. Była ona *dziedziczną* i między *krewnemi* — czytelnik więc znający namiętności ludzkie, tém samém uzna, że musiała być najzawziętszą. „*Rara concordia fratrum*” mówi dawne przysłowie; dodaćby można makaronizmem „*Rarissima swagrorum*.” Dwie *Orwidówny* poszwagrzyły niegdyś dziadów Kasztelana i Żegoty; nie małego potem dziedzictwa

żonek swych zgodnie rozdzielić oni nie mogąc, zawzięli się do kłótni i pieni.

„Po piętnastu dekrétach, szesnastu remissach, „Dziesięciu podkomorzych, pięciu kompromissach, proces przeszedł do dzieci i wnuków, gmatwając tylko coraz gorzej kwestyę dzieleczą, i jątząc coraz głębiej serca do miłości z przyrodzenia przeznaczone.

Za pośrednictwem wielu poważnych obywateli ziemskich, a szczególnie powszechnie tam naówczas szanowanego *Szambelana Zaleskiego*, (1) mógłby się i ten długi process skończyć na pojednaniu; bo pan Zaleski nowy zupełnie honoru szlacheckiego wynalazł dowód, który dotąd na pozwie za nadrą i na ostrój szabli u boku zależeć zdawał się.

— Napadać, bić się, kaleczyć — mówił on, gdy upartych do pokoju nakłaniał — to po tatarsku; knuć zdrady, mileżkiem kasać, pieniać się i upornie stać przy niesłusznem, to po niemiecku; ale nie po naszymu, ale nie po szlachecku! Bo wiecież Wacpaństwo — perorował zwykle — zkąd jest *styrps* tego wyrazu szlachectwo? Szlachectwo *provenit* od szlachetność i jest jak *dyftong* jedno z drugim

(1) Szambelan Zaleski, ojciec Michała Zaleskiego starosty Szwentowskiego, znanego już w naszych czasach całej Litwie, a dziad Zaleskich dzisiaj żyjących w Wielonie.

związane; szlachcie zatem jeżeli jest prawdziwy karmazyn, to powinien dowodzić tego *re et nomine* w pocziwem życiu swoim. Burda, kręciel, chciwy cudzego pieniacz, nie jest szlachcie prawdziwy, choćby genealogję od Japheta prowadził.

Takimi argumentami *ad hominem*, modyfikowanymi stosownie do stanu i usposobienia osób z którymi miał do czynienia, przygaszał Zaleski zawziętość, zawstydział głupią zarozumiałość, i rozbudzając w sercach sentymenta godności szlacheckiej wymuszał dla niej ofiary z zastarzałych nałogów do *juromanii*.

— Bięda nam była z tym panem Szambelanem Zaleskim — powiadał mi pan Dargwojń, dawny niegdyś sądowej Rosieńskiej repartyeyi mecenas. — Człowiek bywało przed *kadencyą* (1) nawpisuje sobie do *wokandy* (2) z pięćdziesiąt aktoratów i nieszpetyny wyliczy kapitalik w sperandzie; ale pan Sambelan, świadomy bardzo interesów całej Żmudzi, przed każdą kadencyą wymyśli jakikolwiek u siebie festyn i pozaprasza prawujących się. Nikt mu przybycia odmawiać nie śmiał, bo był to człek mądry i zacnej duszy, a zatem we cześci wszystkich. Zjechawszy się więc ichmość oponenci, pa-

(1) *Kadencyą* — tak się zwał termin zjazdu sądów.

(2) *Wokanda* — książeczka w którą adwokaci wpisywali rejestra spraw, których bronili.

trzą najprzód na siebie z ukosa, ale klócić się w domu tak dostojnego obywatela nie mogą; i po dniach kilku, a czasem i kilkunastu, bo na to ani umysłu, ani fatygi Zaleski nie żałował, wyjeżdżają pogodzeni jak bracia. Nadchodzi potem kadencya, i aktoraty spadają *per non sunt* jakby ich nie było; pana *sukolektora kopy* (1) i nasze *honoraria*... fu!... — skończył, dmuchając po dłoni.

Miło jest tę sprawiedliwą wspominkę poświęcić imieniowi męża, którego obywatelskim cnotom i usiłowaniom nie jedna familja na Żmudzi, winna była pokój i ocalenie kawałka karmiącego i dziś jeszcze jój potomków.

Pan Szmbelan więc Zaleski, zabierał się już do kombinacyi Milanowskiego z Kasztelanem, czegoby pewnie dokazał, gdyby nowa przyczyna nie wynikła niespodziewanie w kraju, która dawną między niemi nienawiść familijną, wzmogła polityczną, przeciwnego sobie stronnictwa zaciętością.

Wybuchnęła Konfederacya Barska. — Przeciwność króla!... Za królem!... dwa te hasła rozdzieliły naród, i wzięto się do oręża.

Żegota Milanowski stanął w Konfederacyi pod dowództwo pana Regimentarza Billewicza, wraz

(1) *Kopy* — tak nazywano opłatę od stron prawujących się dla sądu przez sukolektorów wybieraną.

z jednomyślnymi przyjaciółmi swými, Rotmistrem Kowieńskię brygady *Muśniczem*, *Jamontem*, *Witortem*, *Narwojkiem* i innymi; przeciwnie: Kasztelan, wiodąc za sobą poczt z kilkudziesięciu swoich huzarów, z *Górskim* stanęli na czele partyi królewskięj. Zaczęły się więc krwawe po kraju krowody, w których nikt talentów wodza, i nikt prawie uległości dobrego żołnierza nie dowiódł; ale osobistego męstwa i poświęcenia się codziennie jawiły się przykłady, które budząc tylko chwilowy applauz towarzyszków, i niewchodząc na kartę dziejów, razem z echem odeń ginęły; a jeżeli niektóre i zostały w pamięci i przeszły w domowe podania, to chyba że jakiś stary konfederat, rozpamiętywał i rozpowiadał potem przy kominie dzieciom i wnukom, swoje własne i cudze z owych czasów przygody.

Żegota stanął pod chorągiew Regimentarza, z dwóma nieodstępniemi i doświadczonęj sobie wierności łózakami, *Poroczka* i *Norejka*. Włóścianie to byli jego, ale synowie starych sług domowych, hodowali się razem z paniczem, i z nim razem pobywali nawet w szkołach, w których i panicz niedługo gościł, tyle tylko liznąwszy łaciny, ile do zrozumienia terminów prawnych i sentencyów przy kielichu potrzeba było; w konsyderacyę zaś i afekt braterski kordem się potem wrąbał.

Tenże sam więc kord i dzielne ramię poświęcił Żegota sprawie, w której *sub fide, honore et conscientiae* (1) jak natenczas mawiano, przyjął uczestnictwo, a gdziekolwiek nim błysnął, dotrwać mu w kroku nie mogli *regalistowie* (tak nazywano stronników króla), i często liczne ich bandy z pomocą tylko *Poroczki* i *Norejki* we trzy szable płoszył.

Lecz wtenczas najbardziej krew się w nim zapalała, wtenczas ani komendą ani żadną radą uhamować się nie dawał, gdy kasztelańskich huzarów naprzeciw siebie dostrzegł, i nieraz, mimo olbrzymiej siły, byłby zginął w takim zapędzie, lub w niewoli z łózkami swemi byłby ujętym, gdyby go rychła odsiecz towarzyszy nie salwowała.

Uprzykrzyło się na koniec Kasztelanowi, że jego huzary stali się celem pośmiewiska całej Konfederacyi i stron obu: bo żarty, anegdoty i dykteryjki żołnierskie, z obozu do obozu przechodziły, humorystyczny niejako, przy zerwaniu innych, między bracią utrzymując związek. Nieznośném mu było hasło Żegoty: „*Muszk Poroczkas! Muszk Norejkas!*” którym jego rycerzy wszędzie z urąganiem witano. Zemścić się więc i zmyć hańbę ze swjej chorągwi postanowił, wzajemnie zatém na

(1) Pod zaręczeniem wiary, honoru i sumienia.

Milanowskiego tylko godzić swoim kazał; ale trudno było czegoś dokazać z żoldactwem, które widząc codzienne dowody męztwa i siły jego, przywykło zmykać nie tylko przed nim, ale i przed każdym niebezpieczeństwem. Stowarzyszył się więc Kasztelan z pułkiem królewskim tatarów, i w utarcze pod Wiesznianami (1), obrawszy oddaloną od całego obozu, a dogodną swym zamiarom pozycję, ukazał się ze swymi huzarami na przodzie, i podrażnił nieostrożnego zawsze a zapamiętałego Milanowskiego.

—Héj bracia! widziecie kasztelańskich huzarów—krzyknął on:—Wiara! za mną! wytrzepiem im skórę!—i puścił się pędem... Kasztelan, czekający tylko na to natarcie, zwinął się w śpieszną rejteradę, bardzo podobną do zwykłej przed Żegotą ucieczki, a ten gonił, bez ustanku krzycząc: „*Muszk Poroczkas! Muszk Norejkas!*” którzy oba lecieli obok niego...

Sypnęło się wprawdzie za nimi kilkanaście szabel, lecz nie mogli zdążyć tuż za Żegotą, który leciał w całym pędzie konia... Wtém ukryty za wzgórzem na zasadzce wypada oddział tatarów, i odcina mu sukurs i odwrót... w téjże chwili huzary, pobudzeni głosem obecnego pana swego i wo-

(1) Miasteczko na Żmudzi, nad samą natenczas granicą pruską.

dza, Kasztelana, odwracają się czołem... Milanowski otoczony.

— Żywcem go wziąć! żywcem! nie strzelaj! nie strzelaj — krzyczał Kasztelan.... I czemużbyśmy nie mniemali, że głos ten był głosem jego serca czy sumienia, wzdrigającego się na imie bratobójcy, które z krwią Milanowskiego spaść nań w tej chwili mogło... Lecz komenda ta i późną już była i mało słyszaną, owszem, strzały ze wszystkich stron sypały się gęsto... ale Bóg kule nosi! żadna śmiertelnie nie uderzyła Żegoty; *Poroczka* tylko upadł z zabitym koniem, on zaś nie stracił głowy, ani męztwa, lubo czuł się być rannym. Mgnienie oka i śmierć albo niewola!... Tatarzy nadlatywały ścisłym szeregiem; w nich przebić lukę i dopaść swoich niepodobna było; huzary przeciwnie, zajeżdżali szerokim ale rozstrojonem kołem, a wśród nich Kasztelan wołający bez ustanku: Żywcem go wziąć! — każdy jednak huzar na którego by natarł, musiałby choć najmniejszy zastawić opór przerywającemu się, lub się go jakkolwiek uczepić: jeden Kasztelan umknie mi z drogi, pomyślił Żegota... i z podniesioną szablą rzucił się nań krzyknawszy: — ha! zdrajco! dobędę ja ci żywcą!... — Kasztelan odskoczył z miejsca jak od pioruna... Żegota przesadził obławę! — Norejko zaś będący obok, nacierał na Kasztelana i

rąbać się począł z kupiącemi się na obronę jego huzarami, a więc pocziwiec umyślną ofiarą siebie samego, boby mógł razem ze swym panem umknąć, ułatwiał mu ratunek i zatrudniał nacierających.

Gonić! gonić panie Poruczniku! gonić! — wołał Kasztelan do oficera nadbiegłych w tejże chwili tatarów; lecz ten zakomenderował: — Stój!

— Kogo gonić? — rzekł — jednego całym szwadronem? piękny z pana generał! i gracka pańska komenda cha, cha, cha! no! przecież we stu jednego uchodzili — bo właśnie huzary wiedli okrwawionego Norejkę. — Winszuję wiktoryi — mówił dalej porucznik — winszuję! cha, cha, cha! Ale mi nie czas tu się zabawiać; słyszysz pan ogień, tam się widać nie po naszymu biją; może pan zechcesz po tak wielkiem zwycięztwie odpocząć, ale ja.....

— Panie Poruczniku — przerwał dumnie Kasztelan — proszę tych żartów zaniechać! w swoim czasie przypomnę to panu. — Teraz idźmy razem. Hej! wy, z konia! — rzekł wskazując na dwóch huzarów — zwiążcie tego łotra; znam ja go od dawna, i zaprowadźcie jego do *Wiesznian* do obozu. — Ależ wارا! pilnować, bo jak uciecze, odpowiecie mi skórą! — konie ich wziąć na podwojdy; od pieszych trudniej mu będzie umknąć; a teraz dalej — Marsz!

IV.

Został więc Norejko i dwóch przy nim strażników.

— No — rzekł jeden z nich — trzebaż wiązać pana Norejki.

— A kiedyż nie ma czém — odpowiedział drugi.

Tymczasem Norejko usiadł na ziemi i lewą swą porąbaną rękę, zaczął prawą opatrywać; krew już zastygła, cięcie było jakby ze swawoli zadane; odwiązał więc chustkę z szyi i zawijając ranę: — Oj *Mateuszas, Mateuszas*, rzekł, rzekł do jednego z huzarów, wieleż to razy mogłem zdjąć tobie głowę z karku, ale pamiętałem zawsze, że ty syn mojej stryjecznej ciotki, i tylko kiedy niekiedy płazem dostałeś; a tyś mnie rękę pokaleczył!

— Ok Jeezus (1) a dalibóg, że nie ja! czy ja nie wiem, że waćpan mój brat? czy my nie na jedném polu wykodowali się? dalibóg, że nie ja, ja zawsze makam tylko szablą koło mojego nosa, a strelam w górę; mi całą komendą tak zmówili się; jest prawda z dziesiątek niedowiarków z na-

(1) Język to jest włościan Żmudzkich i Litewskich, pragnących mówić po polsku.

mi, co strelają do ludzi jak do wilków; ale mi prawdziwi kreściani, to w górę....

No to ty pijaku Szucillo, wytrąbiłeś z beczkę mojego miodu po kiermaszach, a teraz okaleczyłeś mnie.

— A niek mnie Pan Jezus *Szyłelski* i Najświętsza Panna *Pojurska* od tego broni. Prawda, ja pożegnawszy się, ruciłem szablę na ziemię (treba będzie jój poszukać) i kwyciłem waćpana wpół, bo pomyśliłem sobie, że jak kto w tej makaninie trafi przypadkiem jego w ciemie, to i *skwituje amen*. A obraza boska, a grech śmiertelny! ale jak kwycę wpół, a pomoże drużyna, to i weźmiem w niewolę kokanego pana Norejki, i tak rychtyk stało się kwała Bogu. — Na co nam bić się, kaleczyć się? czy mi cudzy? kiedy panowie chcą, to niechaj biją się.... Mi całą komendą tak zmówili się.... Ok Jeezus! jak tam smalą z muszkietów!!! Ale mi tyłem całą wojnę obejdziem i trafim do Wieksznian. No tak i idźmy! ale panie Norejko waćpan tylko nie uciekaj, broń Boże! bo wiązać waćpana mi nie mamy czém.

— Ej, dajcie mnie pokój! gdzie mnie tam uciekać? — odpowiedział Norejko — ja ledwo iść mogę, tak mnie ręka boli. Ale poczekajcie; czego śpieszyć się tam gdzie biją się. Ot leży zabity biedny Poroczka, towarzysz mój; oj będziez po

nim płakał pan nasz kochany! Zmówim przynajmniej wieczne odpocznienie za jego duszę, w Wiesznianach najem pocziwych ludzi, aby go pochowali.

— Ok Jeezus! zabity pan Poroczka! — zawołał żałośnie Mateusz. Wieczneż jemu odpocznienie! O to jakiś bezdusznik trafił jego widzieć w same serce!... A Szucillo przeżegnawszy się nabożnie, bóty zabitemu ścigać zaczął.... Wtém zrywa się Poroczka i chwyta za łeb Szucillę, ha łajdaku! — krzycząc! — jak ty ważysz się zabitemu bóty kraść?

Wyrwał się przelęknięty Szucillo, i wszyscy odskoczyli z przerażeniem, bo i Norejko, niespodziewając się tego zmartwychwstania, szczerze chciał za duszę kolegi się pomodlić; ani się domyślał, że on pod zabitym swym koniem się przyczaił, i umazawszy się krwią końską, leżał cicho, oczekując końca tej fatalnej dla nich rozprawy.

— Ok Jeezus! — krzyknął Mateusz — panie Poroczka! albo leż, albo stój, albo całkiem prepadaj!!! kiedy kto zabity... to nie powinien być żywy! albo siak, albo tak!

Szucillo przelękły i drżący, słowa wymówić nie mógł, zegnał się tylko bez ustanku.

— No chodź bracie — rzekł Poroczka do towarzysza.

— Jak to kodź bracie? — odezwał się ochłonięty nieco Szucillo — mi pana Norejki do Wiesz-

nian prowadzić musim: kiedy waćpan żywy, to idź sobie z Panem Bogiem gdzie chcesz: ale pan Norejko w niewoli jest; pięknie nas prymie pan nasz, kiedy jego nie przyprowadzim!

— A kto tobie powiedział że ja żywy? — krzyknął nań Poroczka — jak ja mam być żywy, kiedy u mnie w samym sercu kula siedzi? Ja upiór! — tu wyszczerzył okropnie zęby, i wytrząszyć oczy...

— Ok Jeezus! — krzyknął na tę minę Szucillo i za Mateusza się schował.

— To wy poganiny — mówił dalej upiór — chcecie żebym ja i na poświęconém miejscu nie leżał — żeby mnie tu kruki rozdziobali, a wilki koście roznieśli... poczekajcie! przyjdę ja do was w nocy, i będziecie musieli nieść mnie aż na mogilnik Szyłelski i tam pochować, albo wam głowy poukręcam!

— Słukaj panie Poroczka — odpowiedział odważniejszy Mateusz, wierząc i nie wierząc tym słowom — czy waćpan żywy, czy zabity, nie lży przynajmniej, i mów czy siak czy tak; wszak dawno znamy się; waćpan zawsze figlar wielki! kiedy i teraz skrewisz, a obaczę gdzie waćpana na kiermaszu, to dalibógże kość i doprawdy potem zamresz, ja sam odrąbię waćpanu głowę rydłem i między piętami położę. Obaczysz!

Tymczasem Norejko zbliżył się do perorującego-

go i szablę mu z pochwy zdrową swą ręką nagle wyrwał. Uciekajcie łajdaki! — zawołał — bo wypłazują obydwóch. — Poroczka podjął także własny pałasz.

— Ok Jeezus! — wrzasnął znowu Mateuszas — dalibógże panie Norejko będzie kiepsko! Cóż my powiemy panu jak waćpana nie przyprowadzim?

— Powiedziecie jemu — rzekł Poroczka strojąc znowu straszliwą minę upiora i zgrzytnąwszy zębami: — powiedziecie jemu, że dziś o północy przyjdę i kark mu skręcę.

— No, do — dotrymajże tylko, dotrymaj słowa! — zawołali oba razem — bo jak skrewisz... — a żegnając się i ściskając ramionami, odeszli.

Nazajutrz, w nadgraniczném miasteczku pruskiém, o półmili może od placu utarczki Wieszniańskiej odległém, do izby, w której leżał ciężko raniony Milanowski, właśnie gdy felezer po wyjęciu kuli w ramieniu uwieźdł, bandażował głęboką ranę, weszli Poroczka i Norejko, i zawołali: *Tegul bus pagarbintas Jezus Chrystus* (1). Żegota ujrzawszy swoich, wyrwał się z rak felezera, chcąc ich uściskać, lecz ból ostrego raka mu podjął

(1) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

nie dozwolił, a utrata krwi w ucieczce i przy operacyi siły mu odebrała; upadł więc na łóżko, a pocziwi i przywiązani słudzy do nóg mu się rzucili, połamali od kurtek ocierając oczy.



V.

Wreszcie naród mir uderzył — upadła konfederacya, naczelnicy wynieśli się za granicę, a szlachta, nieuważając na żadne banieye i groźby jakby powiedziawszy sobie: „Kiedy zgoda to i zgoda!” powracała do domów, nagromadziwszy tylko zapas wypadków i przypadków wojennych do opowiadania i przechwałek, kończących się częstokroć na guzach i bójkach, gdy zbliżeni gdziekolwiek przeciwnicy kłamstwami się potracili.

Milanowski, leżąc się długo z ciężkiego postępu, i rozsluchując się razem co się w kraju działo, i jakiego bezpieczeństwa używali powracający do domów konfederacyi, w tém nadgraniczném miasteczku pruskiém, do którego ranny był dopadł, aż do końca rozruchów przebył — *Poroczka* i *Norejko* często i po kolei przemykali łatwo strzeżoną granicę, dowiadawali się do Berżylówki i do przyjaciół Żegoty, z coraz lepszymi wracając no-

winami... Nakoniec, wieść powszechna i listy przez nich przynieszone upewniły niedowierzającego konfederata — a niedowierzającego dla tego, bo się więcej niż ktokolwiek dał we znaki nieprzyjaciółom — że śmiało wracać może; że król nawet przyjmie zarówno łaskawie i stronników i garnących się ku niemu przeciwników swoich; słowem że wszystko idzie w zapomnienie. Raptem więc i niespodzianie, w którąś niedzielę, ukazał się Milanowski w swym parafijalnym kościele szylelskim.

Na widok jego zbladł obecny tam Kasztelan.

Na widok Kasztelana zaczérwienił się Żegota — zdało mu się, że głęboką bliznę jego gorące przeżyło żelazo... Oh, bo głębszą daleko była rana, jęcząca nienawiścią w sercu jego!...

— On brat mój — wnet pomyślał — z zasadzki i zdradą na mnie napadł... on winien krwi mojej!... On... lecz Bóg niedozwolił przekłęstwa w swoim domu świętym — a tenże sam głos sumienia, który na wieszniańskim placu boju, wywołał, jakeśmy to widzieli, z ust Kasztelana „nie strzelaj”, tu przemknął po zapamiętałej głowie Żegoty słowami: „odpuść nam nasze winy” i ochłodził ją, uspokoił i ukorzył przed ołtarzem.

Po nabożeństwie i gorliwém podziękowaniu Bogu za szczęśliwy swój powrót, Milanowski siedł do plebanji, powitać swego starego pasterza; tam oto-

czyli go i ściskali serdecznie sąsiedzi, przyjaciele i niedawno nieprzyjaciele nawet, jedni i drudzy mężstwu jego, stałości i cierpieniom, sprawiedliwą przyznając chwałę.

Zatém rużgościł się on w domu i odwiedził sąsiadów; poznał bliżej piękną Dosię i gorący ku niej uczuł affekt, a nie tając się z tém bynajmiej, owszem w częstych odwiedzinach domu państwa Chorążostwa Uwojniów i w konkurach do ich córki, starając się zjednać jej wzajemność a łaskawość rodziców, dozwalał bezkarnie przeorywać sobie miedze, niszczyć kopce, i spokojnie patrzył na niesłuszny uszczerbek swój ziemi, nie rozwodząc skarg nawet, któreby mu wstępu do progów *Dosi* zaprzeczyć mogły.

Baranek to był więc łagodny naprzeciw Uwojniów, ale lew to był straszliwy naprzeciw rywalów, i aby nie dać czasu znęcać się im ku nieporównanym wdziękom dziewicy, myślał bez dalszej zwłoki wybrać stosowną chwilę i dobrego przyjaciela, dla wystąpienia już z otwartą swaczą.

Wybór ten padł na pana Rupejkę, jeszcze nateczas adwokata subseliów Rosieńskich, nim potem został on jednym z najślawniejszych patronów Trybunału Litewskiego, i pełnomocnikiem najzamożniejszych domów na Żmudzi i Litwie, a na-

wet Księcia Ordynata Radziwiłła, jak to przypomniał sobie czytelnicy *Pamiętników Kwestarza*.

Pan Tomasz Rupejko był obowiązany przyjacielem Milanowskiego; aplikowali się oni razem w Rosieniach, ale chudy pacholek, pan Tomasz, nieraz od możniejszego kolegi sukursowany to talarciem, to kuntusikiem podnoszonym, to pasikiem jedwabnym, znał że w pilnej pracy cała mu dźwignienia się z tej biedoty nadzieja; pracował więc usilnie, sposobiąc się na *człowieka* i dokazał na koniec swego: *wyszedł na człowieka!* (1) na człowieka mającego powszechną wziętość, a zatem i fortunę; bo gdy potem córkę jedynaczkę wydał za mąż, za pana Szymona Zawiszę (a gdzież tam pierwój było Rupejkom do Zawiszów!) pięćkroć sto tysięcy wylczył posagu, a po śmierci jego najmniej drugie tyle zostało wnukom na załobę. Otoż rosnąc tak w dostatki i sławę, pan Rupejko nie zapomniat jednak nigdy, że go w pierwszych a trudnych krokach wspierał po przyjacielsku Milanowski, i na zawsze został mu wdzięcznym. Dla tego Żegota, polegając na jego przyjaźni i znaniej

(1) *Wyjść na człowieka*—wyrażenie to upowszechnione dawniej, dziś niekiedy już tylko użyte, dowodzi jak wysokie i dostojne znaczenie przywiązywano natenzas do tego nazwania *człowiek*, i jak pracować i kształcić się trzeba było, aby na nie zasłużyć!!!...

jako adwokata *in his et similibus rebus* elokwencyi, postanowił wezwać go do Berzyłówki, gdy niespodzianie jegoż samego zajeżdżającego pod ganek postrzegł.

— A witajże mi, witaj, kochany, serdecznie kochany panie Tomaszu! — zawołał Żegota, wybierając na przyjęcie miłego gościa, i ściskając go oburącz. — Szczęśliwe *fatum* tutaj cię przyprowadza, co nawet biorę za dobre *presagium* w moich zamiarach; bom dziś jeszcze chciał ślać do ciebie, wzywając twego przybycia i pomocy.

— *Fatum* zawsze fortunne, gdy mnie do twojego domu prowadzi, zacny mój i kolego i benefaktorze, bo mnie wzajemne z tobą uściski *circa praecordia ludunt* (1); ale na ten raz i ja przybywam żądać twojej pomocy, do czego *fatum* bodaj fatalne mnie zmusza.

— Jezus Marya! cóż takiego?

— Odpocznijmy — rzekł Rupejko — niech się nacieszę twoim szczęśliwym z wypraw wojennych powrotem, twoim zdrowiem, po tak srogim szwanku jaki poniosłeś — potem opowiem ci co się święci.

— Posłuchałem rady twojej, panie Tomaszu, w liście twoim ostatnim przez Norejkę mi przysłanym, i powróciłem — rzekł Milanowski.

(1) Po sercu głaszczą.

— Aby zaś i ochota ci nie przyszła nadal do marsowych impetów — kontynuował Rupejko niby zaczęte wyznanie Żegoty — postanowiłeś ożenić się z sąsiadką swoją, panną Chorążanką Uwojnianką, i mnie na swata prosić masz.

— W Imie Ojca i Syna! — rzekł zdziwiony Milanowski. — Czyś czarownik? czyś myśli moje podsłuchał?

Rozśmiał się Rupejko. — Szydło w worze nie utai się, mój kochany panie bracie — mówił on dalej; — więc i twoje afekta do ładnej Chorążaneczki rozgłosiły się już wszędzie; a więc nie trzeba czarów, ani wielkiej perspikacyi, aby zgadnąć, że mnie, najlepszego przyjaciela masz użyć w swaty. I służyć ci będę *ore et corde praestantissimo!* (1) Ot i cała twoja zagadka — mojej nie tak łatwo się domyślisz.

— Nie będę sobie i tba suszył nadaremnie — odpowiedział Milanowski — gdy sam mi wszystko rozpowiedzieć masz, boś po to przybył. Co każesz na wszystkim gotów; tymczasem rozgość się jak we własnym domu, a koniki do stajni.

(1) Usty i sercem najstalszém.

VI.

Po długim niewidzeniu się i po świeżych wypadkach krajowych, dwaj przyjaciele mieli dość treści do poufnych pogadanek, które przy wieczornym chłodzie, pod cieniem dwóch stuletnich klonów, ręką rycerską przodka Milanowskich, a ja-keśmy to widzieli, towarzysza wiedeńskiej wyprawy, niegdyś zasadzonych i do dziś dnia na dziedzińcu Berżyłowskim szérokie rozpościerających konary, prowadzili. Ale gdy w opowiadaniu dziejów swych konfederackich, Żegota przyszedł do ostatniej swjej przygody i zasadzki nań Kasztelana pod Wiesznianami, i gdy mu swą wieczną nienawiść i zemstę zaprzysięgał: — Cała Żmudź — przerwał mu Rupejko — wie o tym postępku Kasztelana, i chociaż on to fortelem wojennym nazywa, chociaż usprawiedliwia się tćm, żeś najzawzięciej zawsze i bez ustanku na jego huzarów godził, jakbyś innego przed sobą nie miał nieprzyjaciela, wszakże nikt mu tego pochwalić ani darować nie może; a jednak kochany mój Żegoto, proszę cię abyś w rzeczy i rozmowie, którą gwoli mnie z nim mieć będziesz, miarkował twój furor i inwidyę...

Co to jest? czy nie godzić mnie z nim chcesz? — rzekł żywo Milanowski.

— Aj, nie! wcale nie! choć wołałbym, dalibóg wołałbym.... Ale posłuchaj — mówił dalej Rupejko. — Jestem ja plenipotentem pana Podkomorzego *Szemiota*. Są między nim i panem Kasztelanem spory, z racyi przejść niektórych dóbr z imienia do imienia, i dla tego porozumieć się obu stronom koniecznie należało, aby przerwać już wzajemnymi manifestami napoczęty proces. Wybrałem się więc zawczora do pana Dygnitarza, nie tylko jako pełnomocnik przeciwnika jego, ale jeszcze jako i pośrednik, mający *plenum jus* od Podkomorzego, ułożyć ten interes na zgodę, choćby nawet ze strata, bo to pan spokojny i bogobojny, pieni nie lubi: dość powiedzieć, że brat cioteczny Szambelana Zaleskiego. — Pan Kasztelan przyjął mię ozięble, ale ja w traktowaniu rozmaitych interesów i z rozmaitemi ludźmi, umiem często poznać z mi-ny, co u kogo w głowie siedzi; więc zdało mi się, że pan Kasztelan chce dać *ad intende* jako processu się nie lęka i kombinacyi nie zbytecznie pragnie, a zatem pomyślałem sobie: *via recta brevissima!* (1) i aby to majaczenie skrócić, bez długich wstępów przystąpiłem do projektu ugody, rozwijając wszelkie widoczne z niej dlań korzyści, a powolności i odstępstwa Podkomorzego. Ale Kasz-

(1) Droga prosta najkrótsza.

telan, wysłuchawszy mnie, rzekł dumnie: — Mospanie Rupejko! — a mógłby mię przecież i panem Poczeszym nazwać, boć wie że nim jestem — pan Szemiot chce ze mną *Kombinacyi*, a ja chcę najprzód odeń *deprekacyi*, bo pan Szemiot piérwszy *publice* manifestem mię oskarżył. — Więc póki *publice* także nie nastąpi jedna, nie może być druga.

— Mości Kasztelanie, — odpowiedziałem — manifest ten ja sam pisałem, i ręczę panu, że tam nikt nie najdzie ani jednego słowa, któreby ubliżało panu; interes tylko i nie więcej, a zatem nie ma się za co gniewać, i nie ma za co przepraszać. Oprócz tego, przy szczęśliwej da Bóg zgodzie, manifesta *pro et contra* zapisywane, z akt eliminować będziemy.

— Otóż to właśnie że wiem, iżś Waszeć pisał ten manifest, a jednak nie nie mam do Wasześci, boś za to zapłacony; pan Szemiot niech odpowiada, który na takie Waścine błazeństwa dozwolił.

— Ha, to już za hrubo! pomyślałem, bo jak są różne gradusy głupstwa ludzkiego, tak powinny być i różne odpowiednie gradusy gniewu za nie. Naprzykład „odpuść im Panie bo nie wiedzą co czynią,” słowa te święte powinniśmy mieć na względzie, gdy mamy do czynienia z ludźmi zupełnie głupiemi. Ale pan Kasztelan nie należy wcale

do téj kategorii, więc z rozmysłu mię poniewiera; *invidia* tu razem i *superbia* jest, a *debellare superbos* powinien każdy ucziwy szlachcic, który szanuje jak powinien swój klejnot, i którego ktoś *superba pede* podeptaćby chciał... Wszystko to mnie przemknęło po głowie; ale jeszcze dla świętego pokoju i żądanej zgody, pohamować się chciałem, i *mutando quadrata rotundis* (1) ostrzedz raczěj niżeli rozgniewać pana dygnitarza.

— Waść, Waszeć — rzekłem zatém — nigdy nie powinno było wyjść z ust pańskich, gdy się mówi do równego sobie szlachcica, a tém bardziej teraz, gdy nas od roku nowe łączy pokrewieństwo.

— Jakie pokrewieństwo? — zapytał mię zdziwiony Kasztelan — o żadném ani starém, ani nowém niewiem.

— A przecież wiedzieć pan powinienes — rzekłem — że od daty jakieś został Senatorem, każdego szlachcica bratem nazywać musisz; tak chce prawo, a jest to razem i piękna attrybueja i obowiązek wysokiego urzędu pańskiego; a pokrewieństwo to nowe, mnie od *obelgi*, pana od śmiertelnego grzechu *pychy* zasłonićby powinno.

(1) Wyrażenie to przenośne znaczy w treści, mieszając przyjemne z gorzkimi — *quadrata rotundis* — *rogate* z *okrągłemi* dosłownie.

Rozumiałem, że takim obrótem, wynosząc razem dostojność urzędu i delikatną łącząc wymówkę, zreflektuję pana Kasztelana; ale gdzież tam?

— Mój Mości panie bracie, kiedy tak chcesz koniecznie — odpowiedział mi z widoczném urągowskiem — ale braterstwo takie przyjać mogę chyba tylko na lewą rękę, rozumiesz mię Waść? bo jak świat światem, najemny *gębacz* Kasztelanowi nie będzie bratem. Ruszaj więc z Panem Bogiem, a pan Podkomorzy i sam znajdzie do mnie drogę jeżeli zechce.

Po tych obelżywych słowach, odszedł pan Dygnitarz trzasnąwszy za sobą drzwiami, i dobrze zrobił, boby i mnie cierpliwościnie stało. Wyjechałem więc z konfuzyą, ale też i z postanowieniem poszukiwania satysfakcyi za krzywdę mego szlacheckiego honoru. Przez dzień wczorajszy dałem folgę rozpalonej głowie mojej, aby *frigida sanguine* (1) poczynąć sobie w tak ważnej okoliczności, a dziś przybywam do ciebie, jako do przyjaciela *a teneris unguiculis* (2) abyś mi dopomógł... Trzeba wyzwać Kasztelana... rzadki to będzie ewent na świecie: *jurysta* z szablą w rękę, i prosty szlachcic na przeciw jaśnie wielmożnego Dygnitarza! Ale cóż robić, panie bracie? przypomnę

(1) Zimną krwią.

(2) Od lat dziecinnych.

sobie młodsze moje lata, kiedym z tobą noga w nogę na Rosieńskim sejmiku stawał. — I *Muszk!* po naszymu!!!

— *Muszk!* po naszymu! — przerwał niecierpliwie Żegota — ale na co to wszystko potrzebne, panie Tomaszu? na co? On cię skrzywdził we własnym domu swoim, więc gdzie grzech tam i pokuta; jadę wraz i daję ci słowo, że tamże *in loco loci* takie mu dam regularne reflexy i spełna, że będzie mu kwita za nas obu i z boryszem!... Wyzywać jeszcze tego *hardopyszka* i tchórza! nie wyjdzie zaręczam ci...

— A czyś ty zwarjował? — przerwał wzajemnie Rupejko. — Właściem cię prosił, abyś twój furor w interesie moim modyfikował, a ty chesz awanturę zrobić; piękniem trafił! Rozumiałem że ci pod Wiesznianami dobrze téj gorącej krwi upuścili, aż ty taki sam jako i przed tém; nie ma więc rady z tobą; muszę kogoś innego do téj sprawy poszukać.

— No, mów czego chcesz, panie Tomaszu — rzekł usiadając spokojnie Żegota. — Niedopuszczę abyś sprawę twego honoru komu innemu powierzał, bo ten ktoś musiałby być lepszym ode mnie twoim przyjacielem, a takiego na całej Żmudzi nie najdziesz. — Dysponuj więc co i jak mam uczynić, a spełnię wszystko punktualnie. Słuchać spokojnie

inwektywy kasztelańskiej na ciebie nie mogłem, bo suspikuję że on cię tak nienawidzi za to właśnie, że w procesie z nim, tyś mym obrońcą gorliwym i przyjacielem.

— Być to może, a więc tém bardziej modera-minu użyć należy. — Ja żądam aby pana Kasztelana wprowadzić gładko i grzecznie w *sak*, z któregooby mu nie łatwo było wyleźć. Dla tego wyzwiesz go panie bracie, i oznaczysz mu plac przy okopach Szwedzkich, pod Kołtynianami (1); będziemy waleczyć *in conspectu* grobowisk rycerzy przodków naszych; to nam mężstwa i ochoty dodać powinno — mówił Rupejko z uśmiechem. — Broń, — ta którą każdy szlachciec dla obrony swego honoru u boku nosi; świadków i sekundantów niech zbiera wiele chce; bo uprzedzić go należy, że i ja będę miał około siebie nie skapo przyjaciół, nawet i takich którzy w godności nie ustąpią najmniej panu Kasztelanowi... Termin, od dnia i godziny wyzwania, za tydzień.

(1) Pod Kołtynianami, miasteczkiem parafijalnym, na boku błoni na miłą rozległych, są dwie wielkie, jedna obok drugiej, góry i wały jakby szanice; tradycya o nich jest powszechna, że to są okopy szwedzkie, i ztąd nazwanie. Lecz prawdopodobniej, że są z czasów poganiństwa dawniej Żmudzi. — Tu w roku 1812 marszałek Macdonald stoczył potyczkę, rejterując się z pod Rygi.

— A na co tak długi termin? — rzekł Żegota — I na co wielu sekundantów? Mnie jednego dość będzie.

— He! bo nierozumiesz mojego planu — rzekł dalej Rupejko: — Widzisz, zdaje mi się, że pan Kasztelan nie zechce łba nadstawić; bo to co innego huzarów swoich na harc wysłać i samemu w obozach konfederackich językiem szérmować, a co innego stanąć bez ceremonii w kroku na przeciw ostrój szabelki; jedném słowem, mniemam, że wyjść nie zechce; dla tego, prócz zaufania w twojej przyjaźni, wzywam ciebie a nie kogo innego do téj sprawy, bo Kasztelan pomyśleć musi, a całe *publicum* powie, że gdzie Żegota Milanowski sekundantem, tam nie na żart wyzwanie. Naznaczam plac sławny i znajomy całej Żmudzi, aby ciekawi wiedzieli gdzie się udać na to *spectaculum*; ciekawych zaś będzie tyle, ile jest niechętnych panu Kasztelanowi; więc zająć mogą całe pole. Nakoniec, damę mu czasu cały tydzień; powiesz, że dla tego, aby uczynił należyte interesów swych rozporządzenie i napisał testament; ale w rzeczy dla tego, aby szeroka *fama* rozészła się o tём wyzwanie i w gorszy kłopot go wprowadziła. — Nie wyjdzie — plac ostrzelamy; gdzie potém oczy pokazać — wstyd! hańba! — Jeżeli wyjdzie a nie zechce się bić — to deprekacya solenna będzie po-

żyteczną nauką i przestrogą i temu pankowi, i jemu podobnym, aby przed szlachtą nosów w górę nie zadzierali, a *jurysprudentów* Mospanie wszystkich za najemnych *gębaczów* nie mieli. Nakoniec, wyjdzie i zechce mi dać poczeziwą satysfakcyę — to wołaż Pana Boga mój bracie! *Muszk!* po naszemu!

Dobrze, rozumiem teraz wszystko — rzekł Żegota — mądryś! nie ma co powiedzieć. Dajże Boże usłużyć ci wiernie! Zatem jutro rano jadę, a na powrót mój tu zaczekasz.

Teraz zaś, panie Podezaszy dobrodzieju mój, łykniem na tę biędę. Powróciwszy do domu, wnet około najważniejszej sprawy zawiąłem się, nasycałem maliniaku i udał mi się wyśmienicie — czy zgoda?

— Zgoda — rzekł Rupejko — łykniem!

— *Nu to, ani susi, ani pusi* (1) mówi nasze stare żmudzkie przysłowie. — Hej! Norejko! przynieś flaszę — zawołał Żegota — i gdy Norejko wnet rozkaz wypełnił, dwaj przyjaciele, powtarzając za każdą szklanką *ani susi, ani pusi*, wysuszyli ją do dna.

(1) Potém ani szaleć będziesz, ani opuchniesz.

VII.

Nazajutrz rano Żegota już był na koniu, a za nim oba nieodstępni łózaki, *Poroczka* i *Norejko*. Mil parę odbyć on musiał do pana Kasztelana, i wrócić wieczorem do domu, by długiem oczekiwaniem nie udręczać Rupejki; puścili się więc kłusem, i obiegłszy połowę drogi, gdy piaszczysty kawałek się nadarzył, a spotniałym koniom folgi dać trzeba było, jadąc stępem, Żegota rzekł do swych towarzyszy, przed którymi żadnej nigdy nie miał tajemnicy, i którym z wieczora dając rozkaz do jutrzejszej podróży, i cel jój rozpowiedział.

— Cóż wy o tém wszystkiém myślicie?

— Co my mamy myśleć? my nie nie myślmy, ani rozmyślamy, gdy Jegomość co rozkazuje. W ogień, chwała Bogu! szli za Jegomościem nie myśląc, a teraz co?... przede dniem wstaliśmy — mówił *Poroczka* — zadali obroku koniom, wyczyścili każdy swego, i pańskiego napoiili; potem w kuźni na toczydle przepuścili trochę pałasze, do pistoletów i swoich i pańskich nowe skałki powkręcali i nabili kulami; wypili potem po sztofie piwa grzanego, zjedli na śniadanie pół pieczeni, a drugą połowę wsunęli w kieszeń na drogę, a gdy Je-

gomość wstał, posiadłali konie, i choć w piekło za Jegomościem!...

— Wybraliście się rezolutnie, jak na konfederacyę; ale zdaje mi się że pistolety obeszłyby się bez ostrych nabojów.

— Kto to wie? — rzekł *Norejko* — *I kłoni krytys, sausas ne kelsy!* (1) jak to ludzie powiadają.

Żegota pomyślił trochę i rzekł:

— Prawdę mówicie, ostrożność nie wadzi; ależ nas trzech dosyć na cały dwór Kasztelana, wszelakoż gdy przyjedziem i ja wejść do budynku, miejcie baczność na wszystko.

Mogła być dziesiąta przed południem gdy się zbliżyli do Kasztelańskiego dworu. Nie bez wzruszenia ujrzał go *Milanowski*, przypuścił więc konia, jakby w takt żywiej bijącemu sercu i w lot stanęli na miejscu.

— Jest Pan w domu? — zapytał Żegota, zsiadając z konia, jednego z licznój służby uwijającej się na dziedzińcu.

— Jest — odpowiedział ten zdziwiony na widok Żegoty; bo wszędzie wiadomą była nienawiść jego wzajemna z Kasztelanem, a tém bardziej w samym tym dworze; służący więc wbiegł pędem do pałacu,

(1) Wpadłszy w kałużę, sucho nie wstaniesz.

i gdy tam uwiadomił o zjawieniu się takiego gościa, Kasztelan zmieszany nagle, nie wiedział co począć. Siedząc w głębi pokoiów obszernego swego domu, nie widział przyjeżdżającego; gdyby był dostrzegł, kazałby pewnie zatarasować bramę; — możeby ją natenczas Żegota szturmem zdobywał, lub przez jaki wylom w ostrokołe wdrzcęby się do fortecy starał... Lecz teraz było po czasie, bo nieprzyjaciół już był w środku... i słyhać go było wstępującego męzkim krokiem po wschodach, a nareszcie przechadzającego się po gościnnej sali, i rozkazującego po kilkakroć lokajom, aby o jego przybyciu panu donieśli.

Kasztelan więc zbierał na prędcie w głowie myśli i projekta; nakoniec zdało mu się że stanął na najlepszym, to jest, aby się nie widzieć z nienawistnym gościem. Kazał więc przywołać wodza gwardyi swojej, choć już ze stopy wojennej zeszedł, a raczej podręcznego do wszelkich funkcyj dworzanina Mielezko, i gdy ten przyszedł: — Wyjdź Wasan — rzekł mu — do tego *banity* Milanowskiego, który tu niewiem po co wpadł *insperate*, i powiedz mu, że chory i widzieć się z nim nie mogę; a jeśli ma jakiś do mnie interes, to niech Waści opowie, lub może ze mną skomunikować się listem... Ale słuchaj! drzwi za sobą na klucz spuszcza... i poczynaj sobie z nim uważnie.....

i ostrożnie. — Nie dawnoś Waś w tych stronach, więc nie znasz jeszcze tego szalonego *subjectum*!

Mielezko skłonił się, ręką na szablę swą wskazał i wyszedł do sali; tam powtórzył Żegocie wyrazy swego mecenasa.

— Łiesz Waćpan — odrzekł mu surowo Milanowski — a łgarstwo nie przystoi szlachcicowi, bo rozumiem, że takim jesteś gdy szablę masz u boku. Kasztelan zdrow, tak jak ja i Waćpan.

— Ja sam dobrze wiem — odpowiedział z równymże humorem Mielezko — co szlachcicowi przystoi a co nie, i nauki w tym nie potrzebuje. Pan mój powiada że chory, więc ja wierzę, a pulsów jemu nie macam, bom nie doktor.

Żegota pokręcił wężem, i chrząknął po swojemu; obraziła go hardość dworaka, ale miarkował się pamiętając na instrukcję Rupejki.

— Mniejsza o to — rzekł — nie z Waćpanem rzecz; proszę tylko pójść do pana Kasztelana, który ze strachu może i doprawdy zachorować, i powiedzieć mu, żeby śmiało wyszedł do mnie, bom nie przyjechał tu kłócić się z nim, ani przypominać mu *wieszniańskięj* potyczki; znajdziemy na to inną porę. Przybyłem zaś w interesie mego przyjaciela, pana Podczaszego Rupejki, i kilka słów mam tylko powiedzieć panu Kasztelanowi; ale jemu samemu, koniecznie w oczy. I choćby mi tu przyszło sie-

dzieć ruski miesiąc, to doczekam kryzysu téj jego wileczój choroby, a obaczyć się koniecznie muszę.

Mieleszko z takiem poselstwem poszedł znowu do Kasztelana.

Tymczasem, wyrzawszy z oficyny kuchennój przez okno na dziedziniec, znajomy nasz rycerz *Mateuszas*, postrzegł i poznał *Poroczkę* i *Norejkę*, a nie mogąc wstrzymać chętki pogadania z nimi, wyszedł ku nim, i kręcąc głową:

— Ok Jeezus! — rzekł — Panie *Poroczka*, a Waćpan tu! Oj będzie rydel w robocie, będzie! Jaki z Waspana upior! tfu!... pryde, pryde o pół nocku mówileś, i skręce głowę waszemu panu; a czy przyszedłeś? tfu! A on nam na jutro po pięćdziesiąt fuchtelów wlulić kazał za Waspanów. Oj! oj! — a gdybyś dotrzymał słowa!!!

— No, wybaczej *Mateuszas*; zapijem kiedyś tę sprawę; a gdzież twój towarzysz *Szucillo*?

— Nie ma jego we dworze; on dziś na służbie, konie pasie.

— To taka wasza teraz żołnierszczyzna?

— At, Waspanom kee się wszystko wojować! Mi sobie teraz odpoczywamy, spokojnie klebujemy i Pana Boga kwalim, za grehi pokutujem, po odpustach kodzim — a z kolejki każdy na służbę idzie — kto konie pasie....

— Kto bydlę pasie — odpowiedział *Norejko* śmiejąc się.

— A niek Pan Bóg bron! nie — konie to co inszego, to żołnierska sprawa, a bydlę to pastuska. Na służbie kto konie pasie, kto przy kredensie półmiski liże, kto przy kukni pieczenie kręci... Ot i ja dzisiaj do kukni wykierowałem się; kręcąc, kręcąc pieczenie dla panów, to i sobie kawałek przykręcisz. Ha! ha! ha!

— To ty dziś jak niedźwiedź pana Wyjszwyli.

— Ok Jeezus! niedźwiedź pana Wojszwyli! Czy to prawda, że on raz kukcika na rożen wsadził, śpiek i zjad.

— Prawda, prawda, a wiesz ty jeszcze czém on jego dzyngował?

— A czém? da zmiłuj się panie *Poroczka*, powiedz.

— *Mateuszas*! do pałacu! — zawołał wtém przebiegający lokaj i wpadł do oficyny.

— Czémże niedźwiedź kukcika dzyngował? — pytał ciekawy *Mateuszas*; ale *Poroczka* i *Norejko* zwrócili uwagę na to zawołanie, a tymczasem posłaniec wywołał jeszcze kilku służących, i biegnąc z nim mimo, powtórzył znowu: — *Mateuszas* do pałacu!

— Cóż to znaczy? — rzekli oba razem zdziwieni i niespokojni łózaki.

— He! he! he! — rzekł odchodząc Mateuszas —
 pewnie pana Żegoty w niewolę brać będziem, tak
 jak waspana, panie Poroczka, pod Wiesznianami,
 he! he! he! — a potem rozpowiesz mnie waspan,
 czém on jego dzyngował? — I odszedł śpiesznie
 za drugimi.

— A ja mówiłem: *I kloni krytys, sausas ne
 kelsy* — rzekł Norejko do koleki. — Tu na coś niedo-
 brego zanosi się; ruszaj bratku do pana, ja zostanę
 przy koniach i oglądać się będę na wszystkie boki.

W pałacu, Kasztelan dowiedziawszy się z ust
 Mieszkzi o rezolucyi Żegoty: — A to mi djabli
 nadali takiego gościa! — rzekł. — Słuchaj waćpan,
 takięj załogi i takięj zniewagi w domu własnym
 ścierpieć nie mogę, a widzieć się z nim tém bar-
 dziej nie chcę teraz, bohy on się chwalił, że stra-
 chem na mnie to wymógł. Posyłaj więc natych-
 miast po kilku ludzi i postaw ich za drzwiami,
 a sam wyjdź tam do niego i powtórz mu toż samo
 coś powiedział, a nareszcie powiedz bez ogródek,
 że widzieć się z nim nie chcę, i że kiedy uparcie
 zechce tu siedzieć, to że masz ludzi za drzwia-
 mi, którzy go jako *intruza* wyprowadzą z mego
 domu, co i bez ceremonii proszę uczynić, jeżeliby
 inaczej wyprosić się nie dawał.

— Ciężki to jednak rozkaz dajesz mi JW. Pan —
 rzekł pokręcając głową Mieszkzo.

— Masz waś przecię rozum, i masz ręce swo-
 je i moich ludzi. . . . Użyj najprzód pierwszego,
 bo burda w każdym szlacheckim domu, a tém bar-
 dziej w senatorskim nie przystoi; ale gdy głowa
 nie nie poradzisz, to już natenczas użyjesz rąk,
 a wina padnie na turbatora *securitatis publicae*.

Posłano więc, jakieśmy to widzieli, po ludzi
 do oficyny, — co obudziło baczność łózaków Mila-
 nowskiego — i skupiwszy ich razem z pałacowy-
 mi lokajami, postawiono za drzwiami prowadzą-
 cemi do sali, w której się znajdował Żegota.

Kasztelan odchodzącego Mieszkę zatrzymał je-
 szcze i rzekł: — Masz oto arkusz papieru i kała-
 marz z piórem; kiedy zechce niech swój czy cu-
 dzy interes, w którym tu przyjechał, napisze, a
 ja dam potem rezolucyę, czy jemu, czy temu kto
 mi takiego szalonego nadał posła.

Wszedł więc znowu Mieszkzo do Milanowskie-
 go, rzucił z ukosa okiem na Poroczkę, stojącego
 pod oknem dla dania w potrzebie hasła Norejce,
 i pomyślił: — Oho! ciężko będzie dwóch takich
 Goliatów gwałtem ztąd wyprosić.

— No a cóż? — skwapliwie go zapytał Żegota.

— Toż samo co i pierwěj, Mości Dobrodzieju.

— Pan Kasztelan tu nie wyjdzie?

— A nie wyjdzie, i kazał mi to Jegomości o-
 świadczyć bez ogródek.

— No, to ja pójde poszukać go!

— Z tego nie także nie będzie! — rzekł zastępując ode drzwi Mieleszko i zamykając je na klucz, a klucz chowając do kieszeni szerokich swych kozackich karmazynowych szarawarów.

— Czy nie waść mi zaprzeczysz? — albo te wasze dawniej tchórze huzary, a teraz pastuchy, których za drzwiami postawiłeś?

Poroczka bowiem ostrzegł pana o zwołaniu służby do pałacu i opowiedział terazniejszą kondycję huzarów, a wejście ich hurmem do przyległego pokoju, dające się słyszeć w sali, ostrzegło o napasei czy o zasadzce.

— Już cię nie jesteś pan Samson, abyś kilkunastu zwyciężył — odpowiedział Mieleszko — a i ten Jegomoścın Goliat znaleźć tu może Dawida. Ale pytam pana, na co mu tak koniecznie potrzebna prezencya Kasztelana, że o nią, jakby po tatarsku dom jego nachodząc, dobijać się chcesz? Masz pan doń interes własny czy cudzy? oto papier i pióro, pisz Jegomość, a Kasztelan przeczyta i da rezolucję komu należeć będzie, bo kazał mi to panu zaręczyć.

— Da rezolucję... da rezolucję! — mówił namyślając się Milanowski. — Ale czy da satysfakcję?

— Jak to mój Dobrodzieju — przerwał Mieleszko — czy to ma być pojedynek?

— A tak, pojedynek.

— A mój miły Dobrodzieju! — wykrzyknął on. — A ściskamże stopki pańskie! a chwałaż Bogu! A *Daj samże go tu! daj sam! daj sam!* — Tak wykrzykując radośnie, Mieleszko okręcał się na jednej nodze, składał się ręką w powietrzu jakby na różne cięcia, podjeżdżał, przysiadał, kokoszył się rozmaicie, jakby w zajadłym pojedynku, wołając bezustannie: — *A daj samże go tu! dajsam! dajsam!*

— Panie bracie! czyś ty sfiksował? — rzekł Żegota patrząc z zadziwieniem na te sztuki Mieleszki. — Z czego tak się cieszysz? Dajmy żeś gracz i ochotnik do korda, to wszakże ten pojedynek nie do ciebie należeć nie może. Ja przybyłem tu, jako uproszony przyjaciół od pana Podczaszego Rupejki, abym się u pana Kasztelana dopomniął o krzywdę jego honoru szlacheckiego, którą się dopuścił Kasztelan, traktując go onegdaj we własnym swoim domu obelżywemi słowy, a po prostu mówiąc, abym go wyzwał na pojedynek z Rupejką — a zatem...

— A zatem — przerwał Mieleszko — interes pański skończony; przyjmuję ja w imieniu Kasztelana wyzwanie pana Podczaszego Rupejki *Verbum nobile*, że będzie on miał satysfakcję... *Daj sam go tu! daj sam! tatulenku daj sam!*

Milanowski zmierzył uważném okiem od stóp do głowy tę oryginalną figurę. — Smagława statura, wąs czarny zawieszisty, kresa przez łysinę, oko żywe i pełne, szyja długa, jedwabną zieloną chustką niedbale obwinięta, kurtka na opasce, i szerokie karmazynowe aksamitne rajtuzy, ściśnięte u pasa rzemiennym pendentem, zapiętym na srebrną blachę, na której cyfra królewska S. A. R. wyłaczana jaśniała, i nakoniec szabla u boku. Wszystko to rozważał pilnie Żegota, obchodząc go dokoła, a jednak nie mógł z pewnością pomiarkować kogo miał przed sobą i jakiego animuszu, jakiej kondycyi i funkcyi był ten człowiek. Nakoniec, po niejakiem milezeniu, rzekł:

— Słuchaj panie bracie, djabli cię wiedzą czego ty chcesz i co ty myślisz z twojém *Dajsam!* z twemi łamańcami i z twoją mową ni w pięć ni w dziewięć! jednakże zjesz kata, nim mnie obalamucisz..... Możesz ty jeden z takich, którzy z szabelki żyją, a czepiając się wielkich panów i za nich łba własnego nadstawiając, klecą sobie fortunę, a przynajmniej mają chleb powszedni. Ale tu się potrójnie okpisz, panie bracie; bo najprzód pan Kasztelan musi sam swoją personą stanąć na placu, naprzeciw uczeiwego i powszechnie szanowanego szlacheica, którego skrzywdził; zastępstwa żadnego nie przyjmujemy. — A jeśli nie wyjdzie...

plac ostrzelamy.... Waśc wiesz co to znaczy?... i do spotkania! — Powtóre, jako szlacheic, możesz sekundować swojego mecenasa; a ja będę sekundantem mojego przyjaciela Rupejki, więc kiedy zechcesz, to nasze pryncypały po sobie... a my po sobie... Możesz zatém dostać drugą kresę po łysinie, ale *gratis*, i tu znowu będzie trzecia omyłka, bo Kasztelan nie ci nie da, i nie będzie za co, gdy weźmiesz guza z własnej ochoty.

Mielezko wysłuchał cierpliwie téj perory, pokręcając tylko głową i rzekł:

— Mój Dobrodzieju. *Ksiądz z ołtarza, pisarz z kalamarza*, a biedny szlacheic z czegoż? Więc dajmy na to, że i zgadłeś Jegomość po części moją funkcyę, to cóż w tém złego? toć wprawdzie *krwawo* na chleb zarabiam. Więc i nie dziw, że przeczuwając robotę człek się rozochocił.... A czyj się tu łeb nakresuje, Pan Bóg to wie! dość że ja przyjąłem wyzwanie w imieniu pana Kasztelana, i odniosę mu one wnet; więc powtarzam tylko prośbę o czas i plac... a *Dajsam!*

— To się znaczy panie bracie, że gdy ci się nie udało wystraszyć gościa, więc się go chcesz gładko pozbyć, a co gorsza — mówił Żegota patrząc niedowierzliwie na szlacheica — powiem otwarcie, że ci Judasz z oczu wygląda!... Gotowyś ustne moje wyzwanie połknąć, i mówiąc czy

nie mówiąc o niem Kasztelanowi, przybyć potem sam jeden na plac, oświadczyć, że Kasztelan o wyzwaniu nie wie, i sam się panu Rupejce za adwersarza ofiarować, a mnie na dudka wystrychnąć. Niebezpieczny to plan, panie bracie, jeżeli go masz; a mieć możesz, bo byłem niejednokrotnie świadkiem takiej praktyki, przez ludzi twego rzemiosła nastręczanę; a chociażby ci tam za taki figiel nie z pałaszem spotkać się przyszło... ale cóż nam potem? Tybyś właśnie swego dopiął; bo by Kasztelan musiał tobie dać na kamforę; a nasz pojedynek rozchwiałby się po błazeńsku!... Ale panie bracie, włócząc się ty po świecie, i nie w jednej szkole, jak uważam, ucząc się *sapiencyi*, musiałeś słyszeć ruskie przysłowie: *na chytróść jest mudrość*, otoż tak zrobimy:— Nie chcę gwałtem dobijać się do pana Kasztelana, bo powinienem to moje honorowe poselstwo odbyć dokładnie; chociaż po takim mnie przyjęciu wszelkie uwagi i względy na bokby odrzucić należało, i powinienbym wzajemnie po tatarsku, jakieś waść powiedział, skwitować za politykę dygnitarską. Napiszę więc wyzwanie i oddasz pismo moje panu Kasztelaao-wi. Pisma jak słowa nie będziesz mógł skrócić, bo *verba volant scripta manent*; nie przyjmimy zatem ekskuzy, że go nie odebrał, gdyż je piszę we własnym jego domu, na własnym jego stole,

oddaję pisanie moje szlacheicowi, jego dworzani-nowi, a podpiszę... podpiszę dobitnie.... Waść zaś, panie bracie, w tej całej sprawie *respice finem*!— I zasiadł do pisania.

Mieleszko, skonwinkowany na wszystkie boki, i w tém co myślał, i w tém czego może i nie myślał, srtacił rezon, stał spokojnie, przygryzając tylko paznogie i rozważając słowa Żegoty.— Podpiszę dobitnie, co by to znaczyć miało? *Respice finem*?... Oj, tak, będę uważał i pilnował końca, bo on gotów *in fine* jakąś sztukę pokazać....

Żegota tymczasem pisał, ale powoli, i jakby namysławiając się nad każdym słowem, a między przestankami uczepiając niedbale pytania do Mieleszki.

— A dawnoś tu, panie bracie?

— *Ante tres mensas* — odpowiedział Mieleszko, rad się pochwalić ze swoją łaciną.

— Ha! toś nie był z Kasztelanem na konfederackiej wyprawie; możeby huzarowie jego tak szpetnie nieuciekali, gdyby niemi taki *Dajsam* dowodził.

— Któż to wie, jakby było? któż to wie?— odpowiedział przez zęby Mieleszko, a myślał: — Coś on długo pisze, a tylko dwa wiersze dopiero napisał... I podniósł się na palcach, zaglądając przez ramię Żegoty na papier.

— A czego Waspan zérkasz na to co mój pan pisze?— odezwał się niespodzianie Poroczka.

Nagły ten głos, gruby jak żubra, zdziwił i skonfundował Mieleškę. Odskokzył on w tył. Ozierając się nań Żegota rzekł:— Na co ta wczesna ciekawość, panie bracie? wszakże oddam na twoje ręce to pismo, więc je i przeczytasz.

— To nie panie dobrodzieju... ja tylko chciałem, nieprzeszkadzając panu... obaczyć czy prędko pan skończy— mówił jakając się Mieleшко i zjadliwym wzrokiem rzucając na śmiejącego się Poroczkę.

— A czego ci tak pilno?... Wieleż odbyłeś w życiu pojedynków, panie bracie?

— A kto ich tam zliczy?

— Musisz mieć dobrą szablę, i pewnie nie jedną? Jakąż teraz głównię masz przy boku?

— Wyszynka, mój dobrodzieju, prawdziwa wyszynka — ale odpowiadając pomyślił:— Oho, o szabli mowa, baczość!

— To dobry gatunek — mówił Milanowski — chociaż bywają kruche. — I dalej rzekł powstając:— No, oto masz, panie bracie pismo moje, które proszę oddać panu Kasztelanowi; ma tu on oznaczone sobie miejsce spotkania pod Kołtynianami, przy okopach szwedzkich, znajome wszystkim na całej Żmudzi; ma pozwolenie przyprowadzić z sobą przy-

jaciół, wielu zechce, bo i my nieskapo ich przyprowadzimy; ma nakoniec tydzień od dziś dnia czasu, na ułożenie interesów i napisanie testamentu.

— Aż tak! — rzekł zdziwiony Mieleшко.

— A to Waść, panie bracie, przywykły widać do pojedynków kończących się na dzbanie!

— Bywało i tak i owak, mój dobrodzieju.

— No, a teraz pokaż mi swoją wyszynkę — rzekł Żegota.

— A to na co? — zapytał niespokojnie Mieleшко, odstępując w tył kilka kroków.

— Ot, lubię broń i mam nieszeptny arsenalik. Jeżeli twoja wyszynka mnie się podoba, możemy uciąć faeyndkę, w której przydatek nie z twojej panie bracie będzie kieszeni.

Pokuszony Mieleшко chciał już wyjąć szablę z pochew, ale nowe podejrzenie.... A nuż on weźmie z rąk szablę i nie odda... rozbroi, a potem co zechce to robi, i jeszcze drwić będzie?....

— Nie, mości dobrodzieju — odpowiedział więc — nie mogę handlować mojej wyszynki, bo i głównia przednia, i osada dobrze mi do garści przypada, a pan wie, że na tém grunt kiedy przychodzi machać gęsto...

— Ho; ho, panie bracie — mówił znowu Milanowski — nie wyszynka u ciebie w pochwie, ale rożen od pieczeni być musi, gdy jęć nie cheesz

pokazać.— No, to przypatrz się mojemu pałaszowi— warto— zaręczam. Wiedz bowiem panie bracie, że mój antenata pod Wiedniem głowy nim Turkom zmiatał.

Dobyl więc, można śmiało nazwać, miecz swój, prosty, długi i szeroki.

— Patrz!...

Lecz Mielezsko niechętnie, krok na przód i krok w tył stawiał.

— Cóż u diabła?— zawołał ze śmiechem Żegota — a to Waś, panie bracie, tchórz wierutny! *daj sam! daj sam!* a do poczeiwój szlacheckiej i chrześcijańskiej broni zbliżyć się nie śmiesz. Czy rozumiesz że cię zetnę? wstydz się!.....

Mielezsko nie był zapewne tchórzem, ale ostróżnym, a nie mogąc przeniknąć czém może zakończyć Milanowski, tém podejrzliwiej patrzył nań, gdy on nagi miecz miał w rękę; lecz zbliżył się nakoniec, i przypatrywał się ciekawie.

Sino-olowiane, węzowej barwy żelazo, zdradzało hart swój błyszczącą gdzie niegdzie gwiazdką, jakby iskrą przysypaną popiołem, a gotową sypnąć zarem od pierwszego ciosu... Na takim tle błędem jaśniał przy rękojeści, złotem nabity, krzyż podwójny, ze starożytnym z gockich liter podpisem: *In hoc signo vinces.*

— Patrz, panie bracie— mówił Żegota— jaka

to święta i mądra sentencja: *In hoc signo vinces;* to znaczy *krzyżową sztuką płataj!* Zatem i ja inaczej się nie biję.— Uważaj!...

Tu odstąpił kroków kilka aż ku końcowi długiego stołu, przy którego środka dotąd oba stali, i mgnieniem błyskawicy wywinawszy krzyża w powietrzu, spuścił ostrze całym ciężarem potężnego ramienia wzdłuż po twardych słojach dębowego stołu... odszczepiona ćwierć dyla z łoskotem upadła na podłogę.

Mielezsko osłupiał... ruszał tylko ustami, ale nie wymówić nie mógł....

— A co?— zawołał śmiejąc się Żegota — *daj sam* go tu! *daj sam!*... Mówilem ci *Respice finem.*— Otóż masz *finis* dobitny do mojego pisma, a szczególnie, panie bracie, masz przestrożę dla siebie, że jak *in fine*, podrwisz głową w tej sprawie, i zechcesz figlami mądrości swojej zasłonić Kasztelana, to ćwierć z ciebie, jak z tego stołu odwalę.— Bądź zdrow.— I wyszedł.

Jeszcze Mielezsko nie mógł się opamiętać, gdy wbiegł Kasztelan.

— A co wyjechał?— zapytał on żywo:— Co tu za huk stał się? jakby co ciężkiego na podłogę spadło.

— Ot, co spadło — przemówił Mieszkowski podnosząc kawał stołu.

— Jakto, porąbał stół?

— No, no, panie dobrodzieju! no, no. A niech go wszyscy djabli wezmą!... Nie zapomnę ja nigdy!... oto *mach!* kiedy *mach!*... ale oto pismo do Pana.

— Dawaj! na cóżes mu dozwolił stół rąbać?

— Oho; Jaśnie wielmożny Panie! niech go tam jasny piorun trzaśnie! Oho ho! oto *mach!*, kiedy *mach!*

Kasztelan nie słuchał już tych niezwykłych i nieporządných wykrzyków przerażonego Mieszkowskiego; który z podziwienia i trwogi nie tylko zupełnie upadł na sercu, ale nieobecnego nawet Żegoty jeszcze się lękał.

Kasztelan przebiegał podane sobie pismo, i za każdym słowem coraz mocniej się czerwienił; na koniecie, drżąc z zapamiętania i złości:

— Gdzie ten banita — wrzasnął — Wyzwanie! i w tak obelżywych wyrazach i warunkach? Gdzie on? Napadł na mój dom! porąbał stół! *violator!* i śmie jeszcze takie niegodziwości pisać!!!

Nie wiemy wyrazów tego biletu wyzywającego, lecz zapewne Milanowski, obruszony nieukazaniem się Kasztelana jakby nową poniewierką, nie zachował w nim zalecanego przez Rupejkę umiarkowa-

nia; dla tego widać długo się namyślał pisząc, i dla tego tak głęboko dojął nim Kasztelana, że ten czytając i wściekając się ze złości, krzyczał:

— Gdzie on? gdzie ten banita? rozbojnik! kryminalista!....

— A ot jeszcze na dziedzińcu, przybiera się do wsiadania na koń — rzekł Mieszkowski — spojrzawszy przez szybę.

Milanowski bowiem wyszedłszy z pałacu, aby nie rozumiano że się śpiesznie unosi i ucieka zrobiwszy awanturę, zaczął najprzód bałaszkować ze swymi łózakami, potem zatrzymał jakiegoś starego kredencera przewlekającego się przez dziedzińiec, i z nim gawędził trzymając już konia swego za cugle....

— Jeszcze na dziedzińcu? — wrzasnął Kasztelan — Hej! biedz i zamknąć bramę!... Mieszkowski! biegaj z ludźmi...

Jakoż Mieszkowski skinął na ludzi, aby wypełniali rozkaz pański, ale sam nie śpieszył się... a tymczasem już i Żegota siadł na konia, co przez okno postrzegłszy Kasztelan, i widząc że lud jego wysypał się wprawdzie na ganek, ale nim się namyśli zastępować mu drogę, Milanowski będzie za bramą, w niepohamowanej zapaleczywości otworzył okno i krzyknął na całe piersi:

— Stój Banito! stój!...

Żegota odwrócił konia postępującego wolnym krokiem ku bramie.

Rozbojniku! — krzyczał Kasztelan. — Na! oto twoje wyzwanie! odwiez Rupejce, takiemu jak ty sam bezezelnikowi! Masz!... — Podarł w szmatki pismo, i cisnął przez okno na wiatr.

To nagłe ukazanie się nieprzyjaciela, ze srogą obelgą na ustach, to podarcie i wyrzucenie ze wzgardą pisma, uderzyło jak ognistym grotem Żegotę. Nie myśląc już więc ani pomnać co robi, wyrwał pistolet z olster... Kasztelan postrzegłszy giest ręki, uchylił się od okna... a w tém Żegota wypala... i kula w mosiężnej grubiej blasze, pokrywającej zamek u drzwi na przeciw okna będących, uwięzła (1).

Rozruch i gwałt zrobił się niesłychany. — Kasztelan zbiegł na dół i ukazał się na ganku, prac ludzi i Mieleszkę, a krzyząc:

— Łapać! łapać kryminalistę!

Ludzie wszakże posuwali się leniwo! a Żegota uradowany w duchu widokiem Kasztelana, zawołał:

— A gdzie kryminal? przecież żyw i zdrow jesteś, a ja cię tylko ostrzelałem, jako nieprzyjmującego wyzwania, co, i na placu powtórzę.

(1) Prawdziwe.

A że Mieleszko naglony przez Pana, podsuwał się z ludźmi, więc dobył pałasza i zawołał doń:

— *Respice finem, Panie dajsam!*

Mieleszko na to zawołanie stanął, a ludzie iść nie chcieli, bo i Poroczko z Norejką jadąc stępem za Panem swoim, dobyli także szabel.

Kasztelan więc napróżno wrzeszczał, łajał i hałasował; Żegota był już za bramą, a Mieleszko na pożegnanie odważył się wreszcie krzyknąć:

— A niech cię jasny piorun trzaśnie!

Tu czytelnik niech się cofnie myślą do sceny na rynku Szyełskim rozpoczynającej tę powieść, bo tamta była skutkiem teraz opisanj. — Kasztelan w srogim gniewie i złości, wypędził téjże godziny Mieleszkę, na którego mężtwie brzydko się zawiódł. Lecz wkrótce gdy się opamiętał, rozmyśliwszy się spokojnie nad tém wyzwaniem, poznał, że lekceważyć go nie należało. Nazajutrz więc wybrał się do pana Podkomorzego Szemiot, i zagaił tam propozycję opisanja się w sporach do processu prowadzić mogących na kompromiss, na pana Szambelana Zaleskiego; co z ochotą przyjął Szemiot, a wśród kielichów pojednawczych, zaproszony pan Podezaszy Rupejko, zgodził się na przystojną i w licznym obywatelskim gronie po-

wiedzianą sobie deprekacyę Kasztelana, a tak przez przyjaciół sformowaną i ułożoną zawczasu, że samego Kasztelana nie nadto ambarasowała: zgodził się zaś tém łatwiej, że wiedząc jak Żegota zakończył wyzwanie, za główny warunek zgody położył wzajemne przez Kasztelana zaniechanie wszelkich protestacyi lub prawnych kroków i zapomnienie wszystkiego co się stało.— Na ten warunek Rupejki skłonił się chociaż po mocnym oporze Kasztelan, bo inaczej Rupejko pod *Kołyńniany* zapraszał. Więc lubo kroków prawnych przyrzekł nie rozpościerać za tak wyrazistą *violencyę* swojego domu — a nie rozpościerałby i bez tego, bacząc na mowy ludzkie, którego by śmiesznością okryły, że jak wprzód całą swą huzarszczyzną, tak teraz całym dworem nie mógł dać rady jednemu Żegocie... — lecz wcale nie przebaczył mu w duszy, i owszem, przemyślając nad sposobami zemścić się, umyślił i osnował napad wykonany jakżeśmy to widzieli w Szyłelach, a zakończony zupełną klęską napastników.



CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Dzisiejszym młodzieńcom, mającym zamiary wstąpienia w stan święty małżeński, i rozmyślającym nad wyborem najłatwiejszych ku temu środków, dam radę, zda mi się bardzo pożyteczną, bo wypływającą ze znajomości tegowiecznych obyczajów i powszechnego dziś prawie w takich okolicznościach celu, a usuwającą te nudne i kłopotliwe starania, zabiegi, swatowstwa, te *fac similia* miłośnych zapałów, które wszystkim przebywać i ponosić przychodzi dla próżnej przyzwoitości, tém trudniejszej dla młodzieży emancypującej się teraz właśnie z pod wszelkich przymusów, i takich nawet, które dawniej miłość lekkimi i pożądanymi czyniła.

Następcza tę radę kochany nasz Zabłocki w którejś ze swych komedyj. Tam jeden z ubiegających się o rękę pięknej i bogatej dziedziczki, gdy rywale jego, romansowemi idący drogami, między

nadzieją i bojaźnią nie mogą swego zgadnąć losu... on zbliża się rezolutnie do tajemniczego bóstwa, i jednym wierszem jak jednem cięciem, rozwiązuje gordyjski węzeł swego przeznaczenia.

„*Pani masz rękę, serce — proszę o pieniądze.*”

Formuła, jak to widzą czytelnicy, bardzo zwięzła, szczera i prosto do celu wiodąca, a właściwiej, zda się, dla naszych czasów i obyczajów ułożona, niżeli dla owych przed kilkudziesięcioletnich, w których żyli i żenili się rodzice nasi, w których miłość pocziwa a prawdziwa wiodła szczęśliwe pary do kobierca, a powszechnie, urocze, rozlane w młodzieńczych kołach, jak woń roszkowna wiosennych kwiatów w powietrzu, *zalecanki*, lubego, swawolnego i igrającego z sercami Kupidynka, miały swém godłem i bóstwem.

Zalecanki, słowa tego używam ja na wyrażenie owéj serdecznój sympatyj pociągającej wzajemnie serca jednéj płci ku drugiej, a raczej na wyrażenie skutków téj sympatyj, objawiającej się w żądzy i staraniu wzajemnego podobania się. Słowo to lekkie na pozór, daje mi jednak powód do poważniejszego zastanowienia się nad ideą, którą przezeń wyrazić chcę.

Autor powieścio-pisarz, rozmyślając i studiując obyczaje w okresie czasu, w którym powieść swą mieści, i wspomagając się w téj koniecznej dla się

pracy, to źródłami pisanemi, to nakoniec domysłnością autorską, która jest główną zasadą powieścio-pisarskiego talentu — gdy myśl swą na obranym przedmiocie zastanowi, wnet się ona rozpromienia wszechstronnie, ulata w przeszłość daleką, i potem z biegiem czasu, jak z biegiem rzeki spływa, przemyka jak łódź lekka nurtami niesiona, po przestrzeni pamiątek i wyobrażeń, śledząc i upatrując wszędzie losy i zmiany rozważanego przedmiotu... i tak nakoniec dobiega i wraca do punktu, z którego ją autor w przestrzeń i w przeszłość rzucił. Tym sposobem rozwijają się umiejętną ręką pasma pojedyncze wielkiego spłotu obyczajów ludzkich; i pod takim szczególniejszym względem autor pożytecznie pracować może dla ludzkości, gdy obierając jedno tego spłotu pasmo, zdołbiące go lub szpetne, pierwsze ku naśladowaniu, drugie ku obrzydzeniu ziomkom przekazać będzie umiał: pierwsze w dalszą tkaninę wplecie, drugie wyrwie z osnowy i wątku.

Piękne zaiste powołanie talentu! a w wyborze treści tém szczęśliwsze dla powieścio-pisarzy, że im się dostała najpiękniejsza, błyszcząca, złota nić życia, która z serca jak z jedwabniczego kokona wywija się i wplata w losy ludzkie — nić miłości i wszelkich z niéj zjawień i skutków w dziejach człowieka! Ale też za to i podwójna ich spo-

tyka trudność, która podwójnej a głębokiej wymaga znajomości i serca ludzkiego i obyczajów społeczeństwa, aby dzieła ich i utwory najchlubniejsze piętno, to jest piętno prawdy, na sobie miały. Bo gdy inne uczucia i namiętności, raz dobrze odgadnięte, jednostajnym prawie w każdym wieku i czasie objawiają się sposobem, i ani nadają barwy obyczajom i społeczeństwu, ani jęj od społeczeństwa nabierają, a pobudzane i wzburzone jakakolwiek przyczyna, przewichrzywszy świat i ludzi, nikną potem i na długo częstokroć, w głębi duszy zmordowanego niemi człowieka, lub w głębi zmordowanej całej ludzkości, jak żar na dnie ostudzonego wulkanu: to miłość, jak płomień żywotny rodzaju ludzkiego, goreje nieustannie, ożywia świat cały, i jako codzienny pokarm duszy, przylega do wszelkich jęj myśli, wyobrażeń, i z niemi razem przybiera rozmaite kształty, ozdoby i kolory.... A ztąd coraz to inne wyrazy, sposoby i środki na objawienie swych uczuć i sympatyj wynajdując, coraz to w nową i odmiennego kroju szatę ubiera towarzystwo. Tak każdy okres czasu cechuje się innym, właściwym sobie rodzajem zalecanek, i śledząc za nim, daleko ważniejszych dójszby można rezultatów, i daleko trafniej osądzić stan moralny narodu, pod to dochodzenie wziętego, niżeli z rozbioru poważniejszej na pozór dzie-

jów jego treści; bo tu uwaga ściagałaby i przeglądała usposobienia serc ludzkich, których pocziwość lub zepsucie jest wizerunkiem i dowodem stosownego stanu społeczności, a której tajnie najrzeczywiście się wydają na zewnątrz, w takich najinteresowniejszych okolicznościach życia.

Sprawdźmy więc naszą teorię, przypatrując się pięknej Dosi, i rozwiniętym około niej *zalecankom*, a ztąd wypadkom przedłużającym ciąg dalszy opowiadania naszego.

Dorodna i ładna Dosia wzrosła i wychowała się pod okiem pocziwej matki swojej, pani Podczaszynęj Uwojniowej, słynącej w całej okolicy za wyborną gospodynię. I była nią w rzeczy samej; bo gdy mąż, zawzięty prawnik, jak o tém namieniliśmy, jeździł bez ustanku po ziemstwach, grodach i rozmaitych kondescencyach, już-to w swoich, już-to w cudzych interesach, ona zajmowała się pilnie całym gospodarstwem domowem i skrzętnie gromadziła talarki; a chociaż mężuło, zwykle goły wróciwszy do domu, dobrą część ich zabierał, lecz że wszystkich schowanek jejmości wysledzić nie mógł, zostawało więc zawsze trochę, a z tego rósł coraz pękatszy woreczek, zakłety głęboko gdzieś w skrzyni na dnie, na szlachecki

posażek dla Dosi. Jedna też tylko Dosia o nim wiedziała, bo gdy doń coś dosypać przyszło, pani Podeczasyna, wyprawiawszy naprzód z domu pod różnemi pretekstami wszystkie pokojowe dziewczki i resztę młodszych dziatek, szła z Dosią do alkierzka, dobywała worek, dosypywała z kieszonek skórzanych z boku pod suknią wiszących, jedną i drugą gartkę *musztyniów*, i tuląc czule córkę do serca: — „to dla ciebie, moje dziecko” mówiła; córka z płaczem całowała ręce matki, a ta rozrzewniona do głębi, i córkę i worek zegnała.

Scena taka powtarzała się razy kilka do roku i rzecz nadzwyczajna! widok pieniędzy najpiękniejsze tu uczucia i najsłodsze łzy pobudzał! Jakąż sprzeczność zwyczajnym tego widoku skutkom! Ale tego skarbu nikt się ani domyślał, a o pannie Dorocie mówiono, że kto ją wezmie, ten wezmie skarb prawdziwy, bo nie tylko dobra i piękna dziewczyna, ale i dobrego *gniazda* — *jablko od jabłoni nie daleko pada*; będzie i Dosia taka jak matka, bez której pan Podeczaszy Korczewski, jużby dawno fortunę przeprocesował.

Że zaś właśnie w tamtym wieku wzgląd na to przysłowie był na szczególniejszém baczeniu, i gdy jako dziś o ilości posagu panny, tak natenczas o obyczajach domu jój rodzicielskiego, nim do bliższych przystapiono oświadczeń, pilnie się wywia-

dywano; nie dziw zatem, że posiadając te główne zalety, nadobna Dosia, niżeli się opatrzyła na świecie, ledwo na kilku festach obok mamy pokazała się, wnet młodzież rojem ją otaczała, a trzech, jakeśmy to widzieli, niewątpliwych do swęj ręki dostała konkurentów. Każdego z nich wdzięki Dosi ujęły najprzód, ale każdy inaczej nad swém z nią ożenieniem rozmyślał i innemi powodami się do tego skłaniał.

Najmłodszy *Mejra*, zakochany do szaleństwa, najbliższy sąsiad, a zatem najczęściej widujący Dosię, śmierć nad jój utratę przekładał, i równą takiej miłości nienawiść nosił w sercu dla rywalów, a szczególnież dla najniebezpieczniejszego — to jest dla Milanowskiego. — „Ożenię się z nią — lub zginę! Oto cała treść myśli Wincentego Mejry.”

— „Ożenię się z Dosią, dumał sobie Żegota: „dalibóg ładna, hoże i zdrowe dziewczę! Kocham „ją szalenie! To mi gosposia w domu! takiej „mi właśnie potrzeba! a będzie pócziwa i rupna „jak jój matka. Pan ojeiec pieniącz, ale co mi „tam! za reformę prawować się nie będziemy, bo „posagu nie da, a ja nawet żadnego nie chcę.... „Ejże! a rywale?... Ah! wszystkich ich przez „kij przesadzę!.... moja Dosia! tak mi Panie „Boże dopomóż!”... 1817703 — 502533 A —

Nakoniec, myśli i projekta pana Pułkownika

wojsk pruskich poznamy z rozmowy jego ze starym i poufałym, a często nawet zuchwałym sługą jego i powiernikiem.

W pałacu dawniej wspaniałym, teraz ruinie, zostały zaledwo zamieszkiwać się mogące dwa pokoje, któremi się pan ze sługą podzielili; w jednym więc z nich wieczorem, Pułkownik zdjawszy z głowy perukę i starannie ją na kołku umieściwszy, przeszedł kilka razy marszowym krokiem wszerz i wzdłuż izbę, zapalił fajkę, i usiadłszy w starém szerokim krześle, gotowym był do zwyczajnej wieczornej ze sługą pogadanki lub kłótni, co zależało bardziej od humoru sługi niż pana. — Bonawenturo! — zawołał więc.

— Ja — odpowiedział z za ściany głos jakby przedrażniający, bo nosowy i gruby jak Pułkownika.

— A co tam robisz?

— Tabakę!

— A chodź-no tu.

— Zaraz.

Pułkownik całą wielką wypalił fajkę, nałożył i drugą, nim się to zaraz ukończyło; nakoniec ukazała się przezedrzwie lśniąca głowa, i dwie podobniuteńkie lśniny powitały się z sobą.

— A czego? — zapytał on.

— Chodź tu, pogadamy.

— Ah! — wsunął się natenczas zawiedły, jako i pan jego, Bonawentura, z którego twarzy kwaśnej i skrzywionej łatwo odgadłbyś, jak wielki zapas zrędy i gderaetwa miał on w sobie; znosił go jednak Pułkownik, bo jego własnej niktby nie zniósł, kto by mu wet za wet oddać nie mógł, a nadto, oba wzajemnego łagodzenia się posiadali sekret.

Długo jeszcze oba milczeli, Pułkownik gęsto puszczał dym z gęby, a Bonawentura bez ustanku świeżą tabaką nos częstował; nakoniec Pułkownik podjął nań oczy i rzekł:

— Myślę żenić się.

— Z Uwojnianką? — odpowiedział ponuro Bonawentura i pociągnął mocno tabaki, kiwnął głową i spojrział złośliwie.

— No cóż ty głową kiwasz? czy to źle?

— Gorzej będzie mospanie jak pod Kistrynem.

— A cóż ty wiesz jak było pod Kistrynem, kiedy tam nie byłeś?

— Kto wie czy i jegomość tam był? ale jegomość mówisz, że tam było ciężko jegomości; o toż tu byłoby ciężej... ale że z tego nic nie będzie...

— Jak to nic nie będzie? — przerwał Pułkownik — dla czego nie będzie? co ty kpie prorokujesz? Otoż to że będzie! Pan Chorąży, ojciec panny Doroty, powiedział mi onegdaj: daj mi panie

Pułkownika swój majątek i swoje interesa w ręce, a obaczysz jak wrok puścim z kwitkiem panów zastawników twoich pięknych folwarków. — Odpowiedziałem:— Dowód to łaski pańskiej!

Otoż widzisz jak on zna dobrze moje folwarki, więc jak oświadczę, że wszystkie bez excepcyi oddaję w dożywocie mojej przyszłej żonie, i z pięćdziesiąt tysięcy talarów darem, to i jej dam fundusz i jemu zabawkę z zastawnikami. A któż jego córce da taką fortunę? czy ten hajdamaka Milanowski? Cóż on ma? *Berzyłówkę*? at folwark, chat tam jakich ze trzydzieści, i brat jeszcze na tem bodaj nie wypłacony zupełnie. — Czy Mejra? a cóż tam ich *Kilpinie*? na kilku braciszków? będzie okolica. — A tu u mnie, pani żona będzie panią całą gębą... i finfa braciszko wi memu, panu Kasztelanowi, który czeka jak kania deszczu, aż ja nogi zadrę; bo trzech synków *hoholów* na moją fortunę wyhodował. — Ale zjedzą kaduka... będę miał własne dziatki.... Dosia! he, he, he! odmłodnieję przy niej!.... — rozśmiał się i nadzieją tą ukontentował się serdecznie.

— A czemuż nie? — rzekł Bonawentura — może być jak w godzinkach *Abizai* prawego *Dawida* grzejąca.

— *Tausend teufel!* stary osle! jak ty śmiesz

mnie z Dawidem komparować? on miał lat ze sto, gdy się do *Abizai* tulił; a ja... zwyczajnie podżyły.... ale nie przeżyły człek! — zawołał dotknięty do żywego Pułkownik i tupnął nogą; ale wnet jęknął oj! oj! bo w gniewie zapomniawszy o pedogrze, bolącą stopą o ziemię uderzył.

Bonawentura zrozumiał, że już niebezpiecznie było drażnić się dalej i uragać z pana; więc zmieniając ton, a znając główną myśl jego, — da to i prawda! — rzekł — Jegomość choć stary ale jary! Pan Bóg da dziatki... i poprosisz jegomość pana Kasztelana z synkami na chrzciny pierwszego swego syna. Oto wtenczas będzie panu Kasztelanowi finfa! prawdziwa finfa!

— No, widzisz, także i mów; na tém grunt! dość jemu i tego co nabrał z mojej fortuny gdym ja wojskowo traktował! Więc i panu bratu finfa, i żoneczka młoda i ładna! he, he, he, i własni sukcesorowie!...

Tak sam rozdobruchany, chciał wzajemnie udo-bruchać sługę, i miał na to także niezawodny sposób. — A wiesz — rzekł — kto nam ślub będzie dawał? oto nie kto inny, jak waści brat, bernardyn, X. *Teopemptus*.

— Da jegomość tylko tak mówisz, a jak przyjdzie do czego, to biskupa zaprosisz! — rzekł niedowierzający Bonawentura.

— Nie, daję tobie słowo — nie kto inny jak X. Teopemptus.

Wnet zatem rozfałdował i rozweselił czoło Bonawentura, bo brat jego bernardyn, definitór, był jego chlubą na ziemi i nadzieją zbawienia w niebie; każde więc o tym bracie wspomnienie, tak mu było miłym, że Pułkownik wzywał zawsze jego imienia, ile razy zrzęde sługi w pochlebstwo sobie chciał zmienić. — Teraz więc oba w lepszych humorach, szczęśliwie zamiarom swoim raili nadzieje. (1)



II.

W jakimże było stanie, i z jakim uczuciem serduszek Dosi, względem tych trzech pretendentów?

„*W głowie — w mowie — w myśli — w sercu — na kobiercu!*”

(1) Powszechnie dawniej na Żmudzi włóścianie byli w stosunkach patryarchalnych z dziedzicami; zamożniejsi oddawali synów swoich do szkół, z kąd najczęściej wstępowali oni do stanu duchownego, garnąc się najbardziej do zakonu Bernardynów; lecz i w świeckim duchowieństwie nauka doprowadzała ich nieraz do wysokich dostojenstw kościelnych i do katedr uniwersyteckich.

Przekładając stosownie wyrazy tej stariej kabaly, a której stopniowanie dowodzi w układającym ją kabaliście znajomości dróg i kolei, któremi miłość wchodzi do serca i prowadzi do kobierca, wypadną kombinacye, odpowiadające myślom i uczuciom panien na wydaniu, w rozmaitych okresach czasu i obyczajów.

I tak, panowie konkurenci byli u Dosi w *głowie* i w *myśli*; w sercu zaś czy był który nie wiemy z pewnością; bo w owych wiekach kluczyk do serca młodej dziewicy był zawsze w ręku jej rodziców: dla narzeczonego tylko odmykano je z lekka i ostrożnie, a oddawali go zupełnie mężowi, gdy z ich córką po ślubie od ołtarza odchodził.

Wszyscy trzej byli za to w mowie nie tylko jej rodziców, ale i całej otaczającej ją domowej gromadki, wśród której każdy z nich miał zyczliwych sobie stronników, już-to troskliwych o przyszłe szczęście swjej panienki, już-to ujętych tajemnie podarunkami lub obietnicami przez którego z konkurentów.

I to była w tamtych czasach zwyczajna prawie droga szlacheckiej dziewicy do kobierca; droga na pozór zimna, sucha, nie kwiecista, nie osłonięta różami, ale najczęściej natenczas prowadząca do szczęśliwego pozycia stadła, pod godłem najświęt-

szem i najprzykładniejszym czwartego przykazania zjednoczonego.

Przyszła jednak kolej i na serce, gdy bardzo serdeczny Stanisław August, po pierwszych burzliwych latach swego panowania, miękko, spokojnie i rokosznie rozlecił się na tronie... i łatwy, nie pracowity, nie mężki a chlubnie tylko i pochlebstwu wielce podatny, obrawszy sobie królowania zawód, monarchą opiekunem nauk, mającym sarmacką narodu swego szorstkość oglądzić, i po europejsku go oświecić deklarował się. — Po europejsku, to się natenczas znaczyło po francuzku; więc razem z literaturą, z językiem, z książkami, ubiorem, z obyczajami, napłynęły do nas, i francuzkie *zalecanki* — śliczne, gładkie, łudzące, pieszczotliwe, swawolne, zbliżające młodzież ku sobie a usuwające powoli zawady i przegrody, któremi dotąd chłopców od dziewcząt *modestia* przedzielała, niekiedy je tylko wśród hucznej wesołości przeskoczyć pozwalając.

Zatém stolicę najprzód objęła jakaś jakby atmosfera wonna, rozmiękezająca i upajająca zmysły.... Wśród niej ozwały się pienia poetów, pochlebiające to królowi, to królującym nad królem pięknościami, to erotyczne i pokuszające; to czułe, wdzięczne i słodkie, na które czysta i tkliwa miłość barwę im nastrajała — otworzyły się teatru nietylko w stoli-

cy, ale i po dworach niektórych bogatych magnatów (1). Wesołe i romansowe piosenki w łatwych a miłych nótkach rozplywały się z nich po kraju:

Patrzcie bogacze świata,
Jak mało człeku trzeba!
Kochanie w młode lata,
Pod starość kawał chleba. i t. d.
Raz na pniu między dębami,
Siedziały w parze turkawki (2) i t. d.

i tym podobne, nie uczonemi ale wdzięcznemi głosami śpiewały dziewice, wtórowali im chłopcy. — Nakoniec, z tkliwych najtkliwszy zjawił się Karpiński, i miłość swą ku nadobnej Justynie rzewnemi i słodkimi opiewając piosenkami, wszystkie młode serca jakimś rozkosznym upojeniem, jakąś tęsknotą zalał... kochać i być kochanemi ośmielił. (3)

Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory;
Tam ja z moją Justyną
Słodkie pędził wieczory i t. d.

O! i pewnie nie jedna natenczas para, za przykładem kochanka Justyny, nad potokiem w cieniu jaworów, nócąc te czułe jego wyrazy, wieczną sobie zaprzysięgała miłość...

(1) Teatr w Słoniem u Hetmana Ogińskiego był bodaj najlepszym z prywatnych, bo sam książę był razem i aktorem i kompozytorem muzyki grywanych tam operetek.

(2) Początki piosenek z oper tamtoczasowych.

(3) *Amare auso*.

Nakoniec, w takim powszechném skłonieniu serc i uczuć, w muzyce zjawił się w ciągu tegoż samego czasu drugi Karpiński.... Któż mi zaprzeczy że nim był Ogiński Michał? jego polonezy tak uroczą, tak rzewną, tak niewymownie czystą i rokoszną razem tchną harmoniją... że słuchając ich człek się w niej rozplywa, żrenica tkliwą łzą zachodzi... którą młodzieniec nieraz na dłoń kochanki ronił, a starzec, zdziwiony że wzruszony, rękawem od kontusza ocierał.

Tak przeniesione ku nam *zalecanki* francuzkie, w stolicy podsycane zbyt i miękkością, a ośmielane niedowiarstwem także francuzkiem, rozpleniły się tam w rozpustę, zniewieściałość i zgorszenie; lecz po wsiach i po całym kraju trafiwszy na serca poczeiwe, i modném zepsuciem jeszcze nie rażone, jak mętne wody przeciekając przez czysty piasek wyklarowały się same, i szczęśliwie przenarodowione, rozbudziły w nich tylko właściwą i wrodzoną charakterowi naszemu czułość, i wdzięczniejszych sposobów objawiania jęj nauczyły.

Wtenczas to znalazły się środki otwierania serduszek dziewczęcych bez kluczyków rodzicielskich.... Lecz i w takim tajemniczém porozumieniu się sere, inny znowu znakomity poeta dał powszechnie wówczas znane, powtarzane i ściśle przyjęte, a miłość z cnotą łączące godło.

A kto jest uczuć zdolny uczciwie kochanie,
Albo już jest enotliwym, albo nim się stanie. (1)
I dla tego w owym wieku — który wiekiem ojców naszych, tak jak wiek Żegoty wiekiem dziadów naszych nazwać możemy — najczęściej wzajemna a poczeiwa skłonność wiodła pary do ołtarza. Okres ten wszedł jeszcze w pierwsze dni naszj, dziś już ludzi podżytych młodości, a jak i na jaki obyczaj w dzisiejszym wieku się przemienił, rozważać i sięgać nie będę; rada moja bowiem dla młodzieży, na początku tego rozdziału napisana, zawiera sens moralny, który jest razem i definicyą terażniejszych *zalecanek*.

Wszystcy trzej zatem konkurenci Dosi wybierali się z oświadczeniem swych zamiarów i z prośbą do rodziców o jęj rękę. — W domu państwa Chorążych Korszewskich przeczuwano także ten attak, i dla tego pani Chorążyna, wybrawszy sposobną chwilę, zagabnęła męża pytaniem, co myśli o postanowieniu córki.

Ale on, który wszystko prócz procesów na jutro odkładał, odprawił żonę kilkakrotnie niedbałym „obaczemy”, albo potém o tém — poradzę się brata, pana Pisarza Ziemskiego Rosieńskiego.”

(1) Trębecki.

Pani Chorażyna niecierpliwie więc oczekiwała rady w tej najważniejszej dla niej okoliczności, a gdy czas upływał i mąż milczał, znowu więc naglić go poczęła.

— Cóż Wasze myślisz?— rzekła więc ona, odprowadziwszy go do osobistego alkierza. Gdzież te rady pana Pisarza? razy kilka byłeś w Rosieniach, i nie mi nie mówisz.

— A cóż tam tak pilnego?— odpowiedział mąż— czy już pannie Dorocie uprzykrzyło się u rodzi-ców? to niech idzie z Panem Bogiem za kogo chce: „*Kaip pasysłosi— Taip uszmigosi.*” (1)

— Co to Wasze prawisz swoje *kaip pasykowski*? Czy Dosię kto od nas wykradł? niech Bóg tego broni; czy to kochane dziecię nasze nie powtarza mnie zawsze, ile razy o jęj zamężciu mowa, że nieinaczej, jak za wolą i rozkazaniem a błogosławieństwem naszym obierze sobie przyjaciela, i że wołałaby raczej nas nigdy nie odstępować. Więc Wasze wolęj pocziwie i po ojcowsku choć raz w życiu nad tém pomyśl, bo ostrzegam, że lada dzień którykolwiek z konkurentów, a może i wszyscy trzej razem, bo szpiegują jeden drugiego, zawitają tu z oświadczeniem.

(1) Jak się pościelesz, tak i wypisz.

— W takim razie moja Imość, będę żądał aby mi dali *horę*...

— A w Imię Ojca i Syna! eo wasze pleciesz?— przerwała żona — czy sfiksowałeś? prosić *hory*? proś wolęj Boga, aby ciebie i dzieci twoje strzegł od *hory*, a zięcia pytaj, czy da dobrą dolę twe-mu dziecku, nie *horę*.

— Waćpani bo mnie nie rozumiesz — po łaci-nie *hora*, po polsku *godzina*; otoż gdy-wszystkie dylacye prawne już się urwą, to jeszcze ostatnie *refugium*, *hora*, *godzina*, której sąd niekiedy, i to przy wielkich forsach dozwala, a tymczasem nim ta *hora* upłynie, sąd przystępuje do wołania innych spraw, i tak *hora* przez lat kilka często-kroć się wlece.

— A dajże mi Wasze pokój z tą swoją *horą*! ani słyszeć chcę tego wyrazu gdy o Dosi mojęj mowa; ale wyrozumiem, że Waćpan godzisz na zwłokę, a cóż nam i jęj z tego przybędzie? Praw-da, dziewczyna jeszcze młoda; ale gdy Bóg zda-rza a jest z czego wybierać... i młodsze podra-stają, co taki... i taki...— tu uśmiech na twarzy macierzyńską chlubę, a jakanie się, skromność, a może i bojaźń uroków, oznaczały,— i taki... bę-dą podobne do starszój.

— Oho! jaka Imość rozumna, zgadłaś; natu-ralnie chodzi mi o zwłokę; tak, ale o krótką —

trzy latka tylko serdeńku! trzy latka! a potem na kobierzec w Imie Boże. To łaska Boska taka dziewczyna! to łaska Boska! to skarb w domu! na co go więc tak prędko cudzemu oddawać.

— Tak ją bardzo kochasz? — rzekła wzruszona a przywiązana do swojej Dosi matka — to ty ją bardzo kochasz? — powtórzyła tkliwie i gładząc męża pod brodę. — Ja zawsze myślałam, że ty masz dobre serce i przywiązanie do dzieci. Ale czemuż ty Dosi po ojcowsku nie pocałujesz kiedy, nie pobłogosławisz jej, nie popieścisz, gdy ją tak kochasz, że z domu nie chcesz puścić; dziewczynaby się rozplynęła z radości.

— A jakże jej nie kochać — rzekł Choraży — kiedy widzisz moja rybko, onegdaj kazałem kosić ową łąkę, o którą się prawuję od lat tylu z Mejrami. Myślałem, że znowu jak zwyczajnie co rok dotąd bywało, przyjdzie do kłótni i bitwy; przykazałem nawet ekonomowi, aby w razie napadu rejterował się, depcząc tylko łąkę z kretesem: — kiedy nie nam, to i nie wam — i sam wyglądałem z daleka co się stanie? Koszą moje chłopcy w najlepsze, aż zjawia się i pan Wincenty Mejra z wyżłem i z fuzyą. Pomagaj Bóg! krzyknął podchodząc. — Dziękujemy! odpowiedział ekonom. — Wtém postrzegłszy on mnie, podszedł, powitał bardzo pięknie, i rzekł jeszcze: — „Proszę darować,

„panie Choraży dobrodziej, że łąkę pańską podepczę trochę, ale za to wszystkie bekasy, jakie na „niej zabiję, odeślę Chorażynie dobrodziejce.” — Jakoż pukał a pukał, chodząc za swoim wyżłem, i gwałtem mi potem wbił, bo akceptować nie chciałem, kilka par dubeltów; które przywoźłem onegdaj imości.

— No, a nie tenże sam Wincenty przeszłego jeszcze roku, napędziwszy gwałt ludzi i swoich i cudzych, skosił tę łąkę i trawę wnet zwiózł do *Kilpin*, a teraz tak głośno, jakby umyślnie powiedział: „*Pańska łąka*” że kośce słyszeli. Oho! toć ja gdy on bekasy strzelał, wszystkim moim koścom krzyczałem nad uchem: „*Pańska łąka! Pańska łąka!*” i ekonomowi kazałem przez cały dzień krzyzczeć nad niemi: *Pańska łąka!* aby im i śniły się te wyrazy, to nie zapomną; a *in casu necessitatis* (1) moja dobrodziejko, najpewniejsi świadkowie własnego wyznania pana Mejry, że łąka jest moja. — Wczoraj nowy cud. — Ekonom pojechał po drwa; kazałem aby poprobował szczęścia w lesie dyferencyjnym, o który prawujemy się z Berżylówką Milanowskich; ależ zaleciłem ostrożność!!! bo z Żegotą i z jego Poroczka i Norejka, to gorzej jak z Tatarami. — Cóż imość powiesz? w sa-

(1) W razie potrzeby.

mój robocie nadciągnął tam Żegota z całą swoją psiarnią i chałastą, mógłby nam wszystkie konie i wozy pozabierać... ale jako żywo! uśmiechnął się tylko i jeszcze ekonomą, po starłej znajomości jak powiadał, z myśliwskiej torby dobrą wódeczką potraktowawszy, kazał nam unizenie się pokłonić.

Otoż widocznie Dosia wygrała od razu dwie sprawy graniczne, których ja od lat kilku wygrać nie mogę. Jakże takiej córki nie kochać!... Ale duszeńku! imosteczku moja serdeczna! trzy latka tylko! trzy latka!... — a mówił to błagalnym głosem, wzajemnie gładząc żonkę pod brodę; wydasz ją potem za kogo zechcesz; ale ja tymczasem będę z jednej strony *ciqé*, a z drugiej *kosié*!... Panowie konkurenci przeczyć nie będą, a tak używalność i possessya trzyletnia, podług statutu utwierdzi się.... Trzy latka serdenku! trzy latka tylko wytrzymajcie!...

— Tfu! odpuść Boże ciężkie grzechy! — krzyknęła pocziwa Chorażyna, i drzwi za sobą zatrzaska.

Mężulo stanął osłupiały, z ręką do gładzenia żony pod brodę wyciągniętą... potem kiwając głową, z westchnieniem zawołał: *O mulieres! mulieres!* po djable *z wami interes!*

III.

Na ziemi Berżyłowskiej Milanowskich, nad rzeką *Okmianą*, jest obszerna i równa łąka, wśród której wznosi się, wyraźnie ręką ludzką usypana, góra *Pilepilaŭte*. — Przedchrześcijańscy Żmudzini tak zwali miejsca obrane starannie i naturą lub własną ich pracą przyspasabiane, na których bogom swoim palili ofiary i na które niekiedy, znosząc wszystko co mieli najdroższego; do obrony naprzeciw najścia nieprzyjaciół kupili się.

Góra ta w Berżyłowce jednemu i drugiemu celowi dobrze odpowiadać mogła, bo na wierzech płaska i równa jak stół, ze wszystkich zaś stron stroma i niedostępna, wpadającym do Okmianym strumieniem i trzęsawiskami otoczona, nie łatwy do siebie dawała przystęp: a była jakby na przedniej straży od Krzyżaków, bo zamek ich *Ragnita*, nad Niemnem o cztery ledwo mile ztąd odległy. Że zaś była to razem i góra ofiarnicza, prócz podania o tём gminnego, dowodzi jeszcze i nazwanie łąki na której usypana *Alkas* — co w języku żmudzkiem (Ałas Aukas) znaczy ofiarę — a nadto na wierzchu jęj płaskim i tak obszernym że nie mała ludność pomieścić się tam może, stoi.

i do dziś dnia czerstwo zielenieje, ze sześć wieków może liczący dąb ogromny, drugi żmudzki *Baublis* (1), drzewo jak wiadomo święte w bałwochwalstwie, zasadzone tu zapewne ręką jakiego *Krywejty*, nieprzewidującego natenczas wcale, że szérokie jego konary krzyż kiedyś, godło wiary zwyciężkiej nad jego wiarą, osłaniać będą. Nie wiadomo bowiem kiedy, przez kogo, i na jaką pamiatkę wzniesiony, stary, dziś i mchem porośły, stoi krzyż pod tym dębem.

(1) *Baublis*. Sławnym jest na całą Żmudź dąb ten, w powiecie Rosieńskim, w majątku *Bordzie*, obywatela (już zmarłego) Dyonizego Paszkiewicza; nieraz już nawet opisywano go (Dziennik Wileński na rok 1817, tom VI. stronica 502.—Dziennik Warszawski na rok 1829, numer 44, stronica 12 i dalsze). Nazwanie to *Baublis* było mu odwieczne, a podanie, jak mi powiedział Paszkiewicz, niosło, że czczony był w bałwochwalstwie, jako bożek i opiekun pszczół i pszczolnictwa. Narbut w swych *Dziejach starożytnych narodu Litewskiego* (tom I. stronica 193) mówiąc o tymże samym *Baublisie* twierdzi: „Że mistyczne nazwanie tego dębu ma odpowiadać w Żmudzkiej dialekcie, nazwaniu tego odgłosu, który byk wydaje, a jakim się ani krowa, ani wół nie odzywa. Widać że to był dąb jeden z wróżących, z którego wypruchniałości wychodził głos wieszczu, podobny do byczego ryczenia.” Nie wdając się w roztrząsanie, czyli podanie, lub erudycja, na pewniejszej zapewne znajomości rzeczy oparta, bliższą tu jest prawdy; dodamy tylko, że w roku 1824, będąc na Żmudzi, odwiedziłem pana Paszkiewicza, i piłem herbatę razem z siedmiu mych odwiedzin towarzyszymi w *Baublisie*. Stał on i zielenił się wprzód na łące, lecz gdy pastusi wy-

Noc letnia, ciepła a nawet parna, ale ciemna i pochmurna, okrywała tę górę i całą okolicę. A była to noc tajemnicza, czarodziejska... podczas której złe duchy obliczają zwykle roczny bilans swych skarbów, w zakopanę i ukrytą w ziemi gotówce, przyjmują od zakamieniałych ska-

palili w nim sobie od spodu głęboki loch, do którego podczas deszczu wdziali, Paszkiewicz natenczas zdecydował się przenieść tułów tego olbrzyma do ogrodu. Z wielką więc pracą odkopał jego korzenie, i obciąższy je, odmierzył w górę pięć łokci i pół pnia, a wydrążywszy do reszty tak, że trzy cale tylko zostało ścian drzewa, przewiózł do ogrodu, nakrył ten kadłub, dał drzwi i okienka, polakierował wewnątrz i *Baublis* stał się altanką przeznaczoną na skład starożytności żmudzkich, które Paszkiewicz zgromadzał rozkopując kurhany i okopy krzyżackie, po całej Żmudzi gęsto znajdujące się. Zbiór ten był nawet dość ciekawym, a umieszczony na półeczkach wewnątrz na około będących. Na środku stolik, z tegoż samego dębu i kilka zedelków, a tak goście których *Baublis* często do pana Paszkiewicza sprowadzał, wygodnie w nim pomieszczeni, siedmią wiekami objęci byli i rozpatrywali starożytności tych wieków, słuchając jakby prelekcji samego gospodarza o każdym szczególe. W mieszkaniu pana Paszkiewicza wszystkie drewniane sprzęty, szérokie stoły, ławy, krzesła; z pozostałego ogromnego kłosa porobione były, a nadto, krąg z całego dębu spiłowany i wypoliturowany, dozwalał policzyć słoje wyraźnie, a więc wiek dębu — siedemset kilkadziesiąt słojów, i tyleż lat żył *Baublis*. Zaczął zatem życie w czasie gdy w Polsce panował Bolesław Śmiały, i mógł być rówieśnikiem wiazu Św. Stanisława — ma średnicy ta altanka w Bordziach łokci górą siedm.

pców nowe depozyta, a wzajemnie niesytym chciwcom odkrywając podziemne swe kassy ze złotem, wypłacają im z góry umówione *quantum* za ich dusze; innym znowu w różnych żądanych talizmanach i czarodziejskich sekretach dają asygnaty na podobną hypotekę, na wszelkie światowe rokosze i sukcesy, i nakoniec uczują z czarownicami po łąsych górach; piją targowe borysze, rozpisują cerografy, i z zapianiem koguta zamykają na cały rok swe konta i bióra. Słowem, była to noc w wigilię Ś-go Jana, powszechnie za straszną ogłoszona i przyjęta— Wśród takiej zatem ciemności, człowiek jeden idąc ostrożnie, i grzęznąc za każdym prawie krokiem w trzęsawiskach i krynicach, zbliżał się powoli z jednej strony do góry, niosąc na ramieniu rydel i siekierę; z przeciwnej drugi brnął podobnie i niósł także narzędzia, a nadto jeszcze i sakwy. Nakoniec, od rzeki Okmiany szedł trzeci, a ten włókł za sobą długą żerdź, podpierając się także rydlem.

Dwóch pierwszych góra przedzielała, trzeci był w środku między niemi, a wszystkich czarna nocna ciemność kryła najzupełniej.— Prawie razem stanęli oni u spodu góry, i z bijącym mocno sercem pięć się na nią zaczęli... a podnosząc się coraz wyżej i czepiając się na oślep krzaków, którymi boki jej porosłe były, lub je łamiąc, sprawili

szeleś, który wszystkich trzech zarówno doleciał.... Oslupieli zatem i stanęli jak morem obwiani.... przeżegnali się...— znowu cicho i głucho.— Więc pną się dalej— jak najciszej, jak najostróżniej, jak najpowolniej... im wyżej, tém są sobie bliżsi... tém wyraźniejszy szeleś się powtórzył... natenczas strach przejął każdego aż do serca.— Stanęli znowu, drżeli jak w febrze, i nakoniec ustać na strętwiątych nogach nie mogąc przypadli do ziemi... a bez ustanku trzepali pacierze, których ani skończyć, ani zrozumieć sami nie mogli....

Jeden wszakże opamiętał się rychlej od innych; sięgnął do kieszeni, dobył flaszkę, łyknął haust dobry... i wnet męztwo się wzmogło i rozwaga się znalazła.— Chwilę jeszcze się zatrzymał, a nie słysząc, bo tamci oddech nawet tłumili w pierśsiach— dopełzał do wierzchu, ale nie wchodząc na płaszczyznę, tak się ułokował, że głowę tylko na niej położył, i w takiej ostrożnej pozycji warując do skarbu, po który przychodził, jak wyżej do półmiska, postanowił czekać i pilnować, co się tu dalej stanie?

Wkrótce zaczął rozmyślać i reflektować się.... Jeżeli tu jest diabeł, to mam na niego krzyż Pański... mam szkaplerze... byłem u wielkanocnej spowiedzi... bies nie da mnie rady!... a ja wiem czego on nie lubi... wiem... otoż zaprobuję...

Kukuryku! zaśpiewał więc naśladowując doskonale koguta i słuchał... cicho — znowu pociągnął z flaszki, a gdy w miarę haustów i śmiałość rosła *kukuryku!* powtórzył, i dodał: — *a co biesie, a gdzie ty?*

Na to zawołanie ozwał się głos z drugiej strony: — Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja chwałę — odpowiedział pierwszy śmiało już powstając i idąc ku dębowi na górę; ale kto ty? i po co tu?... w tym głos trzeci zajęczał prze-wlekłe.

— Ok Jezus! wszak to pan Norejko, a ja rozumiał że diabeł.

— I ty tu pijaku *Mateuszas!* a tyż tu po co?

— Po skarb, panie Norejko! po skarb! ale gdzież Waćpan? Oj kwała Bogu że Waćpan dał głos i odezwał się, bo ja zdeklby już ze straku.

— No któż tam trzeci? odzywaj się i chodź tu! — zawołał Norejko — bo to on był w rzeczy samej, i wzajemnie się z Mateuszem po głosie poznali.

— Idę, idę, mój kochany Norejko — odezwał się ten trzeci — to ja, *Druktejn*.

— Pan Druktejn! pan ekonom pana *Mejry!* a stara znajomość! kłaniam uniżenie! I Waćpan po skarb? oho! wielka nasza kompanija, nie podzielim się — No, ale chodźcie tu obadwa pod dąb — mówił Norejko — a sam już na pamięć tam trafiwszy

i krzesząc ogień... — Djabel tu ich nadał, myślał sobie, teraz już skarbu nie wziąć! bo trzeba koniecznie być jednemu, jak ludzie powiadają, a trzem razem nie da się...

Odwiązał potem kilka suchych płonek u rydlowej rękojeści na zapas uwiązanych, i zapalił je od nasiarkowanej hubki, co ułatwiło drogę pod dąb niespodziewanym przezeń towarzyszom tej wyprawy.

Przywlekli się więc i Druktejn z długą żerdzią za sobą, i Mateuszas z rydlem w ręku, a sakwami na plecach.

— Kłaniam uniżenie — powtórzył Norejko do Druktejny — kłaniam uniżenie. Czy to Jegomość za chleb nasz, co przez kilkanaście lat jadłeś, teraz przyszedłeś skarb nasz wykraść?

— Wasz skarb? dla czegoż wasz? czyście go tu zakopali? — opowiedział Druktejn.

— Nie my, ale Waćpan wiesz dobrze, bo będąc dyspozytorem w Berżylówce nieraz tu przy kościach stałeś, że ta góra należy do pana mego, a zatem i skarb, który w niej jest do niego należy.

— Każdy skarb — rzekł Druktejn — gdziekolwiek jest — a co ich jest po świecie, to Boże zmiłuj się! — do tego należy komu się pokaże i kto go wziąć potrafi; gdyby ten skarb był pana Milanowskiego, toby już jemu i pokazał się...

— A Waćpanuż pokazał się?... — zapytał Norejko.

Tymczasem Matenszas chcąc ogień utrzymać i większy podniecić, suchą żerdź Druktejną łamać począł.

— A co ty robisz najlepszego? to miara od dębu gdzie skarb leży! — wrzasnął ten zapomniawszy się.

— A w którą stronę — zapytał szybko Norejko.

Matenszas zaś składając wnet kawałki żerdzi jedno do drugich; — No kwałaż Bogu! — rzekł — że jeszcze jój nie spalił.

Ale Druktejn czy postrzegł się, czy rzeczywiście nie wiedział, w którą stronę trzeba było żerdzią mierzyć odpowiedział: — Ot co tego to nie wiem.

— Musi być na zakód słońca, bo zawsze na zakodzie czarowniki zakopywają skarby rzekł Mateuszas, a Norejko wstał, piędźią wszystkie kawałki żerdzi przemierzył i na ogień wrzucił. Z suchego drzewa piękny więc zajasniał płomień, i całą górę oświecił.

— Darmo tu przyszłście i przychodzić będziecie rzekł Druktejn, siadając pod dębem — nikt tego skarbu nie weźmie, tylko ja, albo syn mój, albo wnuk, albo prawnuk i tak dalej (1), póki Druktejnów będzie na świecie; a który z nas do-

(1) Wszystko z miejscowego podania.

stanie, to syn jego będzie *Dominos* większy od wszystkich żmudzkich *Dominosów*.

— Czemuż to syn, a nie on sam?

— Bo umrze zaraz każdy który dostanie ten skarb.

— A niek Pan Bóg bronil! nie prydeż ja tu więcej! wykrzyknął Mateuszas.

Oho! ho! panie Druktein, uczeiwszy uszy, łiesz waćpan! chcesz tylko wszystkich odstraszyć; nie przyszedłbyś dziś po skarb, gdybyś wiedział że jutro z pełnemi garściami złota umrzesz. Czy to ten skarb na takie słowo zaklęty? — mówił Norejko i śmiał się.

Stary Druktejn patrząc nań smutnie kiwał głową: mój kochany Norejko — mówił potem — znamy się od dawna; tyś był młodym chłopakiem, kiedym ja w Berżylówce był dyspozytorem u ojca terazniejszego waszego pana; przecież często natenczas nad uchem słyszeć mogłeś: „poczeiwy Druktejn! poczeiwy Druktejn!” chwala Bogu, było to sprawiedliwe moje przezwisko. No dla czegożbym na starość, zostawszy łgarzem i szalbierzem, darmo was chciał straszyć i oszukiwać? Cała Żmudź wie, że w tój górze jest skarb wielki, wiedzą nawet piąte przez dziesiąte, zkad on tu powstał, ale pod jakim zaklęciem, to bodaj ja jeden wiem tylko.

— I u nas o tём cały dwór rozpowiada to siak

to tak — rzekł Mateusz — a każdy inaczej, i każdy wybiera się przez cały rok po ten skarb, ale jak przyjdzie pora, to niema ani jednego *zuka*. Szucillo nawet skrewił. Mówiłem jemu: — kodź! kodź bracie! skarb wielki, ja jeden nie pryniosę. — A on na to: — niek ciebie djabli wezmą i ze skarbem!

— Słyszałem i ja — przerwał gadatliwemu Mateuszowi Norejko, skonwinkowany umiarkowaniem i smutną miną Druktejna, że tu była wojna; że na tej górze Żmudzini bronili się, i że wszystkie tu swoje skarby zakopawszy, sami zginęli co do nogi; ale o Druktejnach nie słyszałem.

— A od kogoś miałeś słyszeć? chybaby ci dał ten, który był świadkiem wszystkiego co się tu natenczas działo, rozpowiedział; wiesz to zatem co wszyscy prawią, a ja tylko wiem samą prawdę; jaki to skarb i z kąd on tu wziął się i co się natenczas ze Żmudzinami stało — i nakoniec, że nie kto inny jak Druktejn do niego się dobierze, kiedy przyjdzie czas na to...

— Panie Druktejn — rzekł z oburzeniem Norejko — za co waćpan jeden masz wszystko zabierać? skarb na naszej ziemi zakopali go wszyscy Żmudzini, a jeden Druktein ma wziąć?

— A dalibógże to niesłusznie — odezwał się Mateusz, poprawiając łom palący się.

— Ma wziąć... ma wziąć... mówił wzdycha-

jąc Druktein. — Otoż to, że już z dziesięciu, a może i więcej Druktejuńów z tą nadzieją codzien spać się kładli, z tą nadzieją rano wstawali, z tą nadzieją żyli i umierali, a konając oddawali ją w successyi synom swoim, którzy ją jak chorobę jaką zaraźliwą, do serca przyjąwszy, przez całe życie w biędzie i ciężkiej pracy, patrzali prawie na złoto, którego dostać nie mogli. — Nie jeden więc Druktejn i nie jedną noc Sto-Jańską jak dziesięjsza, póki był młody, przebył wałęsając się jak wilk około tej góry, bo każdy chciał skarbu, a nie chciał umierać; tak cheiwość Boże odpuść, parła go w górę, a śmierć stając w oczy odpychała na dół... ale gdy dożył starości, to już śmiało laź, i pod tym dębem noce Sto-Jańskie strawił...

— Oho — przerwał Norejko — bo pod starość wszystkie cheiwieja.

— Nie bracie — oh nie! ale że miłość i przywiązanie do dzieł tak natenczas ogarnia człowieka, że gdy już nie wiele zostaje latek osiwiatłej głowie, łatwiej przychodzi nałożyć tę głowę, byle ich z biędzy wyrwać. Ja sam, kochany mój Norejko, ósmy krzyżyk kończę, i choć dzięki Bogu, jeszcze na chleb zarobię i jeść chleb zdrowymi zębami mogę, ależ jednak Matuzalowych lat nie przeżyję, a tu u jedynaka mego, Maciusia, sztuka w sztukę trzech synków. Szlacheka kon-

dycyjka nasza, w której jak w gniazdeczku ma-kolagwy, siedzi cała gromadka, nie wyżywi ich nawet. Cóż z niemi potem będzie?... *oramus i boronamus!*... Oh! kiedy której niedzieli pojedę tam do nich, a biedny Maciś i jego żona zaczną z płaczem mizeryę swoją przedemną rozwodzić, a wnuczkowie mili, nie znając tego, jak zaczną dziadulka hołubić, a leżąc na kolana, na piersi i po łysinie, gładzić i po twarzy busiać i was mój stary drobnemi swemi rączkami czochrać, słowem jak ptaszeczki do mnie się tulić... to aż serce pęka, mój dobrodziej, to łzy ciurkiem się leją... ot i teraz wstrzymać ich nie mogę. Więc postanowi-łem... więc postanowiłem — mówił dalej ociera-jąc z łez oczy — i ja poprobować szczęścia... A nuż! a nuż!!! Umrzeć mój dobrodziej — no, to raz człowiekowi umrzeć — i pożyło się już, ale dziatki moje, ale wnuczki moje, jużby nigdy biędy nie znali — a przykazałbym im pod błogosła-wieństwem, aby na tej górze kościół wymurowali, i elemożyny biednym sypali, i poczeiwemi zaw-sze byli.

— Panie Druktein — rzekł wysłuchawszy No-rejko — prawda, dobrze byłoby twoim dzie-ciom, gdybyś ten skarb dostał, ale gdyby twój Maciś wiedział że to życiem masz przypieczęto-wać, toby się na to pewnie nie zgodził, a gdyby

się zgodził, nie wart byłby tego skarbu. Lecz nie o tym Dawidzie, gra idzie. — Powiedz zmiłuj się kiedy możesz, zkąd to wam do głowy przyszło, że wy sami tylko, a nie kto inny, możecie skarby tutejsze zamancypować?

Druktein dumał, kiwał głową, nakoniec, roz-myśliwszy się rzekł:

— Tać i powiem, bo gotoweś znowu pomyśleć, że stary Druktein łgarz. — Otoż przed laty, dawno a bardzo dawno, jako i wiesz zapewne mój ko-chany Norejko, bo i na kazaniach często o tém wspominają księża, że Żmudzini żyli w balwo-chwalstwie, to jest nie wierzyli w Boga w Trójcy Świętej jedyne. ...

— Ok Jeezus! a to szelmy! — przerwał Mateusz.

— Milcz! — zawołał nań Norejko — wiem o tém panie Druktein — cóż dalej?

— To wiesz także i o tém, że gdzie teraz Prus-sy, to w tym kraju panowali Krzyżaki, którzy na-szych przodków na wiarę świętą nawracali...

— Oto poczeiwe ludzie! daj im Boże zdrowie! — wykrzyknął znowu Mateusz.

— Oh! ale te apostoły — mówił dalej Druktein — pod pretekstem nawracania, wytępiali biednych Żmudzinów, łupili, rabowali, palili...

— Ok Jeezus! oto szelmy!...

— A milczże gawronie! — ozwał się znowu zniecierpliwiony Norejko.

— Żmudzini więc kryli się w głębokie i niedostępne puszcze swoje, któremi natenczas cała Żmudź była zarosła, ze swojemi bogami i skarbami, przed nieustanną napaścią tych okrutnych ludzi; a gdy i tam ich wytropili Krzyżaki, to bronili się mężnie i do upadłego, tak, że i Krzyżaki często na drogę do powrotu trafić nie mogli. Otoż jedném z takich miejsc do obrony była i ta góra, może tu umyślnie wśród błot i trzęsawisk usypana, a szerokimi natenczas lasami otoczona, na której Żmudzini długo swoje odbywali nabożeństwa, a Krzyżaki dobrać się do niej nie mogli, lubo wiedzieli, że za każdą ich napaścią, w puszcze tę i na tę górę chroniła się z całym swém mieniem mnoga okoliczna ludność, że tu było ostatnie już gniazdo bałwochwalstwa i miejsce przebywania ich Krywejty, czyli najwyższego biskupa... nie... — to grzech tak mówić.... najwyższego *Mołny* tej ich tam wiary, i nakoniec wiedzieli, że bałwany ich, czyli bożki, których tu pod tym dębem tuzinami stało, były jakoby ze złota i srebra lane.

Nie odważyli się jednak oni brnąć w tę puszcze, pełną zasadzek, zasieków i samolówek, w jakich nieraz już przepadali, gdy nieostroźnie gonili Żmudzinów; więc postanowili zapalić ją ze wszystkich

stron, i potem idąc obławą za pożarem, spędzić w kupę pod tę górę, jakby stado bydła, ukrywających się w puszczy bałwochwalców, ochrzcić ich w tej rzece razem tysiące, zabrać ich złote bałwany, lub jeżeliby się nie poddawali i nie ochrzcili, wszystkich w pień wyciąć.

— A niek ich djabli wezmą! — nie dotrzymał Mateuszas i odezwał się.

— Otoczyli więc las ten ogniem i żelazem Krzyżaki, a gdy płomień jakby piekielny objął go w około i świdrował coraz głębiej w gęstwiny, przerażona ludność wszelka napelniająca puszcze, ustępowała przed pożarem, garnąc się pod opiekę bogów swoich i gromadząc się pod ten dąb. Nakoniec płomienie doszły aż do brzegów lasu i do tych trzęsawisk, lecz zgryźć ich nie mogły, bo gaśły w wilgoci, a cała łąka ta i góra i brzegi rzeki jak nabite były ludem jęczącym i płaczącym w rozpacz, codzien większej i gorszej, gdy po dniach kilku głód wszystkim dokuczać począł. Jedna już tylko droga osaczonym Żmudzinom zostawała do wyzwolenia się z tej rozpalonej huty; tą drogą była rzeczka, płynąca i wtenczas przez ten cały las wzdłuż, jako i dziś płynie, ale przez pola i łąki gdzie był las. Postanowiono zatem brnąć po niej i wybrnąć na czyste pole, unosząc z sobą co unieść się mogło, a resztę wszystko cisnąć w pło-

mienie, aby się Krzyżakom nie dostało. Więc podług tego stanęli na przodzie najmężniejsi i najsilniejsi młodzieńce, i ludzie do krwawych bojów z Krzyżakami nawykli; wiedzieli bowiem, że ci na wyjściu z lasu przejmą ich niezawodnie; dalej długim a wązkim, do szerokości rzeczki stosownym tłumem uszykowała się cała tłuszcza; nakoniec wezwano starego Krywejty, aby zszedł z góry z bałwanami swemi i stanął w środku, zaprzysięgając bronić go i bogów swoich do ostatniego. Ale stary kapłan, zowiący się *Kryszpin* (1), nie zgodził się na ich żądania, ani na żadne ich prośby. — Moje dzieci! powiadał on im....

— A z kąd waćpan wiesz jak on się nazywał i co on im powiedział? — przerwał Norejko.

— Z kąd wiem? — mnie to mówił mój ojciec, jemu rozpowiadał jego ojciec, tamtemu ojcowi znowu ojciec... a więc tak jakbyś tą rzeczką szedł na przeciw wody, tobyś doszedł aż do krynicy, z której ona wypływa, a z tamtąd znowu gdybyś puścił po niej kawałek drewna, toby dopłynęło aż tu; tak gdybyś odkopywał i stanowił w rzęd trupie głowy moich ojców, dziadów i pradziadów, doszedłbyś aż do téj, która te słowa Kryszpina słyszała, a nazad idąc doszedłbyś do mo-

(1) Kryszpin, Druktein, są nazwiska podaniowe.

jéj, wkrótce trupiéj, która odda synowi co wzięła od rodzica.

— Aj panie Druktein, nie gadaj, zmiłuj się nie gadaj o trupich głowach, bo strak! dalibógże strak! — mówił Mateusz.

— A jakżeś ty tu odważył się iść, kiedyś taki tchórz? — rzekł Norejko.

— Ot, bo ja myślał o pieniądzach nie o trupich głowach, a i tak jak coś zaszuciło i zaszamotało, to tylko co nie zdek.

— Więc Krywejte — mówił dalej Druktein nie uważając na Mateusza — powiedział do błagającego go ludu: — Moje dzieci! tam za lasem ani ja, ani te bogi, nie będą wam potrzebne; czeka tam na was inny Bóg, inna wiara i inny kapłan — albo śmierć! Mnie tu umrzeć przy moich bogach! bo kiedy giną pany, to i sługi ich wierne ginąć muszą. Wy idźcie! i ty Austello (1), córko moja, idź z niemi! idź!... Bóg chrześcijański, który starowiecznych bogów naszych żmudzkich, i w tym ostatnim ich przytulku dosięga; wiem, że ogarnie pod swoje panowanie cały ten kraj... — Ale Austella płacząc i pełzając przy nogach ojca, zaprzysięgła że go nie odstąpi. — A ja nie odstąpię

(1) Austella, imię bogini opiekującej się pszczołami, pszczelnictwem. — *Narbutt*.

jój! — krzyknął młodzieniec stojący natenczas obok niej — nie odstąpię i zginę razem z nią i z tobą ojczyste!!! — Był to narzeczony Austelli, młody Drukteinis czyli Druktein, jeden z naszych przodków.

Długo jeszcze cały lud, wzruszony bardziej tym widokiem, błagał Krywejtę; ale uparty starzec nie ruszył się ani krokiem, a sam błagał córkę i zięcia aby szli z ludem.

Gdy nakoniec jedne i drugie zaklęcia i prośby nie nie wskórały; gdy kapłan bogów swoich ani dotknąć nie pozwolił, lud nagłony potrzebą jak najszybszego wybawienia się, z wielkim płaczem i narzekaniem zbił się w długi pas i webrnął w rzeczkę, obzierając się z zalem na górę, na której zajaśniał wnet płomień, jak lud mniemał, na ofiarę bogom przez Krywejtę zapalony.

Rzeczka ta jak wiecie, wąską jest i nie głęboką; do brzegów jej to dochodziła puszcza, to trzęsawiska i błota; gdzie błota, tam brnąć było łatwiej, bo z boków nie dopiekało, ale gdzie nawisłe drzewa łączyły się prawie wierchołkami, i paląc się jakby dach ognisty nad wodą formowały, tam wśród dymu, sypiących się iskier i gorących popiołów, jak przez czeluście piekielne przechodzić biedni musieli... i nakoniec bo wszystkiemu jest koniec, choć nie wszyscy bo wiele a najbardziej kobiet podusiło się i popadało, całym tłumem na czyste pole wyszli.

Tu ujrzeli to co im Krywejta ich przepowiedział — *Nowego Boga — nową wiarę — i nowych kapłanów* — albo *śmierć!*... bo ściśłem kołem konno i zbrojno, od stóp do głowy w żelazie, stali Krzyżaki, zamykając wszelkie wyjścia z lasu; a przed nimi z krzyżem świętym, w bogate ornaty i kapy przybrani, stali kapłani, do ochrzczenia téj bałwochwalczej z płomieni wychodzącej tłuszczy przygotowani.

Na ten widok stropili się Żmudzini — osłabieni takiem przejściem przez las, które i najsilniejszych, a wprzód głodem już zmorzonych do reszty zwatliło; nie zdołali oni przebieć się przez taki otaczający ich płot żelazny. A w tém podstąpili do osłupiałych kapłani, i z niemi razem mnoga liczba nawróconych już dawniej braci. Kapłani modlitwami wzywali pomocy Boskiej i łaski Ducha Świętego, a nowi chrześcijanie kruszyli ich serca i przykładem własnym zachęcali do uznania prawdziwego Boga. Krótko a po prostu mówiąc, tak się chwala Bogu stało, że wodą poświęconą tejże samej rzeczki pochrzcili wszystkich.

Lecz Krzyżaki pamiętali dobrze o złotych bałwanach, i nie znalazłszy ich jak się spodziewali między ludem, dowiedzieli się że razem z Krywejtą zostały na górze; nie tak więc nabożni, jak cheiwi, tą samą drogą, którą przebyli Żmudzini,

nie zważając na żadne szwanki i niebezpieczeństwa, przez las przedzierać się zaczęli. Lecz gdy osmaleni wysunęli się na te błota, z zadziwieniem nikogo i nie na górze nie postrzegli. — Pędem oni wbiegli na nią, rozumiejąc że Kryszpin z bogami gdzieś się w niej jak kret zarył i schował; ale napróżno ryli, pruli i kopali ziemię, żadnego tam nigdzie nie było śladu nory czy lochu; znaleźli tylko popiół i niedopalone głownie.

Co się więc stało ze złotemi bogami, z Krywej-tą, z jego młodą córą Austellą, i z jój oblubieńcem Drukteinsem? nikt powiedzieć ani zgadnąć nie mógł. Jedni mówili że oni, rozpaliwszy stos wielki, który na odejściu Żmudzini widzieli, rzucili się wszystko troje w ogień, a bożki same tam powyskakiwały; drudzy prawdziwiej, czy zgadli, czy im się objawiło, że jak Krywe Krywejte zaczął swe bałwochwalskie czynić zaklęcia, a bluźnić chrześcijaństwu, tak w tej samej chwili, gdy za lasem lud cały upadł na kolana pod chrzest święty, góra się rozstąpiła i pochłonęła w siebie i bogi i kapłana i ostatnich na Żmudzi bałwochwalców.

— Po niejakiem czasie Mospanie na tej górze zaczęły pokazywać się strachy — mówił dalej Druktein — a wielu i nieraz widywało w nocy, kobietę w bieli, to stojącą pod tym dębem, to chodzącą

po tej górze z załamanemi rękami; innym pokazywał się rycerz żmudzki, raz stojący także jak na warcie, drugi raz maszerujący sobie po górze, a czasami i oboje razem....

— Oj, oj, panie Druktein, coś mnie zmora prekodzi po skórze, i zęby nie statkują! — odezwał się Mateuszias.

— No i ja o tém słyszałem — rzekł Norejko.

— A ja o niczém nie słyszał — mówił znowu Mateuszias. — Czy ja tuby poszedł? A niek Pan Bók bron! Mnie mówili tylko, że w tej górze jest skarb zakopany, więc ja wzięwszy rydel i wór, poszedł, a i tak kiba Najświętsza Panna Szyłelska uratuje mnie od frebry z przełknięcia. — Pójdę tam zaraz piekotę i krzyżem leżąc pięć mszy wysłukam.

Wszystkim na myśl przychodziło, że to pokazuje się Austella, córka Krywejty Kryszpina i jój narzeczony Druktein, i że kiedy oni pokazują się i bładzą po tej górze do której zapadli, to nie darmo; więc że tam gdzieś na dnie być muszą i bałwany złote, zaklęte jak zwyczajnie skarb.

Zamilkł opowiadacz i przez krótką chwilę milczeli wszyscy, lecz nakoniec odezwał się Norejko.

— We wszystkiém, tém panie Druktein, co dotąd opowiadałeś, niema jeszcze racyi, dla czego same tylko Druktein mają prawo do tego skarbu? a choć tam spalili się czy zapadł jakiś Druktein,

to nie Waćpana przodek, bo był jak sam mówisz narzeczonym tylko a nie mężem téj poganki Austelli, i nie miał potomstwa. — A i on jakież miał prawo do tych bałwanów złotych? one całej Żmudzi byli bogami, więc do całej Żmudzi i należą, a konieć końcem kiedy one tu są, kto ich wykopie to i zabierze; a że my na naszój ziemi nikomu kopać nie dozwolim, więc sami poprobujemy tego dziwu da Bóg w dobry czas, i potem sprawim egzekwije za duszę panny Austelli i jój narzeczonego.

— I nic nie dokażecie — rzekł Drukejtn — bo kiedy już koniecznie trzeba powiedzieć aż do końca, to i powiem:

— Mój dawny a dawny antecessor, kto wie, może i ten który się natenczas z całym ludem ochrzcił, miał zdanie. Nie wiem już jakim zdaniem i dla czego on tu nad tą rzeczką jedną całą noc przepędził. Nie uważał on, bo może i kalendarza nie umiał czytać, że to była właśnie noc Święto-Jańska...

— Ot pewnie bucze trząsł, bo wieczorem i nocyma najwięcej pstrągów lezie w bucz, a może jeszcze koło wody kodząc dla ciepłości... — tu Mateusz pstryknął w gardło — to i zdanie pokazało się.

— Pleciesz: żaden Drukejtn nie był takim jakim jak ty. — Otóż gdy już zupełnie zciemniało,

zjawiła się i stanęła przed nim biała dziewczica. Wiedział on o tych strachach, zląkł się więc bardzo, przeżegnał się, i z pierwszego impetu krzyknął: *Tegul bus pagarbintas* Jezus Chrystus! — *Ant amžiu amžinuju Amen* (1) odpowiedziała ona, ale takim miłym głosikiem, tak pięknie i słodko na niego patrzała, że staruszek przyszedł łatwo do siebie, i spokojnie a bez bojaźni słuchał dalej jej mowy. Więc opowiedziała ona mu wszystko, com ja teraz wam opowiedział, dodając, że jest *Austellą* córką Krywe-Krywetejty Kryszpina; że Bóg odpuścił im bałwochwalstwo ich, ale że droga do nieba, na której oni już stoją, zawalona im bałwanami złotymi i srebrnymi, zakłętymi w téj górze przez jój ojca; kto więc te bałwany dobędzie z pod zaklęcia, uprzątnie im drogę do raju.

Mój pra pra i może z dziesięć razy pradiadunio, wnet się na to rezolwował i rzekł: — kiedy tak to prowadź mnie waćpanna zaraz na górę i pokaż gdzie kopać; a choćby mi własnymi garściami ziemię wyrzucać przyszło, dobędę tych zaklętych bałwanów i gościniec niebieski wam otworzę. A taka w tym momencie wzięła go do téj pracy ochota, że powstał rzeźwo i chwycił za rękę Austellę, mówiąc: no to idźmy!... Ale stropił się okropnie,

(1) Na wieki wieków.

bo na pusto garść swoją ścisnął, ręki Austelli nie było... krzyknął więc przerażony: *Koźna dwase Pona Diewa garbina...*(1) a ona znowu głosikiem wdzięcznym jak loretański dzwoneczek odpowiedziała: *Ir asz garbina!*... (2) i nie lękaj się rzekła — dziękuję ci za tę ochotę do wyzwolenia dusz naszych...

— Kto wie czy dusz, czy złota? — przerwał Norejko.

— Niechaj sobie! — Prowadzić cię nie mogę — mówiła ona, bo musisz być sam jeden tylko; ale wiedz pierwój jakie zakłęcie rzucił ojciec mój, gdyśmy razem z bogami naszymi we wnętrzościach téj góry przepadali. — Druktejnis natenczas dla miłości mojej dobrowolnie na śmierć się odważył; więc ja nikomu innemu jak tylko któremukolwiek Druktejnisowi z następców krewnych mego oblubieńca, mogę objawić gdzie i jak będzie on mógł dostać się do tych złotych bogów naszych (3). Ale i ten musi dobrowolnie, jak jego przodek, na śmierć się odważyć, bo umrze natychmiast kto ich dostanie, tak je zaklął ostatni Krywejte... Oh! nie wiedział on natenczas, że tym sposobem sobie i nam może na zawsze drogę do zbawienia zapiera;

(1) Wszelki duch Pana Boga chwali.

(2) I ja chwałę.

(3) Podanie miejscowe.

bo czyż się najdzie drugi Druktejń, któryby swém życiem nas odkupił, choćby największe skarby miał wziąć za to, gdy tych używać nie będzie; a jednakże ofiarą tą zbawiłby on i nas i siebie, a potomstwo swe wzbogacił i uszczęśliwił na zawsze!... Ty sam czyż się na to odważysz? Czas jest po temu; jedna tylko noc w roku jak dzisiaj Sto-Jańska na to przeznaczona — mów: chceszże wiedzieć tajemnicę i ją spełnić?... Mój pradziadek stał i milczał... Stary Kryszpinisko, myślał on sobie, podrwił głową, i tém fatalném zaklęciem popłatał diabelnie tę sprawę; żałuje gdzieś teraz i płacze siedząc w norze i patrząc na swoje bałwany; ale po czasie! po czasie!!! Cóż tu zrobić? Dobrzeby było i antecessora mego wyratować i potomków wzbogacić.... no, przy tém i siebie zbawić, jak panna Austella upewnia... Myślał, rozmyślał... ale że to był już starzec jak ja, biedny jak ja, miał dziatki i wnuczki jak ja — więc nakoniec przeżegnał się i rzekł: *Su saule ne pateksma* (1). Dziś się wola Boża! mów waepanna; słucham i spełnię wszystko co do joty; daję na to waepannie słowo szlacheckie, a dałbym i rękę w rękę ale cóż kiedy waepana rąk nie masz.

— Ot to stary zuk! — zawołał Mateuszas.

(1) Ze słońcem trwać nie będziemy.

Natenczas objawiła ona mu wiele trzeba mierzyć od dębu.

— Dwadzieścia cztery piędzie — przerwał Norejko — bo tak długą była żerdź Waćpana.

— A cóż potem? a wieszże wiele takich żerdzi położyć? a wiesz jak głęboko kopać? a wiesz co mówić dokopując już do bałwanów? Bez tego wszystkiego nie nie dokażesz, choćbyś całą górę rozrył na ćwierci. Austella zaś wszystko mu to objawiła i znikła.

— No, więc Waćpana pradziadulek zaraz zapewne wziął się do kopaczki.

— Tego ja nie wiem — mówił Druktejn — to tylko pewna, że skarbu nie dostał; czy rozmyśliwszy się stehórzył i lękając się śmierci, zapomniał na swoje słowo szlacheckie, które prawdę mówiąc nie tak to i ważnem było, bo rękę w rękę z Austellą nie uderzył; czy z jakiej innej przyczyny, dość że do końca żywota swego ubogim będąc szlachciurą, przed skonaniem tę tajemnicę swemu synowi opowiedział, i z głowy na głowę nam wszystkim potomkom zadał *pensę*, która jak to już mówiłem, każdej Sto-Jańskiej nocy spać nam nie daje i do tej góry nas pędzi.

— Kiedyz nie on, czemuż drugi który po nim, wiedząc wszystkie kondycye tej kłatwy, nie dostał się do tych skarbów? — zapytał Norejko.

— I tego nie wiem co im przeszkadzało; czy także bojaźń śmierci, czy co innego, jak naprzykład mnie teraz niespodziewana wasza kompanija. — Ojciec mój wszelakoż kopał raz, i już dobierał się do jakichciś oharków, ale staremu sił a zatem i cierpliwości nie stało, a że miał nieboszczyczek, Panie mu odpuść, wszeteczny nałóg przeklinania się, więc i tu gdy mu ciężko przyszło, zawołał z przyceiskiem: „A niechże sto diabłów!”... ale jak tylko mu to z gęby wyleciało kiedy nie zacznie ziemia osypywać się, zapadać ze wszystkich boków jamy wykopanęj, a wyniesiona przez niego na wierzch pudrować go z góry, to staruszek ledwo trafił na drabinę, którą za sobą do jamy spuszczał, a dół zasypał się równiuteńko, jakby go nie było.

— Z tego wszystkiego, panie Druktejn — rzekł Norejko — miarkując moim prostym rozumem, wypada, że nie nie będzie, i kiedy dotychczas wam nie udało się, to i nigdy nie uda się. A jeszcze czy spowiadałeś się Waćpan z tego? albo czy choć poradziłeś się jakiego księdza? bo co innego wykopać skarb, wiedząc z powieści ludzkiej gdzie on jest, a co innego dobywać go z pod kłatwy i z łaski jakiejś poganki, ni to zbawionęj ni potępionęj.

— A jakże, mój dobrodzieju, a jakże taką pra-

kykę zaczynać bez Boga! Oto pięknie! Opowiedziałem wszystko jednemu bardzo pobożnemu i mądrymu kapłanowi Jezuitcie na spowiedzi, a on mi na to: — Dobądź bogów fałszywych a wystaw świątynię Bogu prawdziwemu; uczyn na to votum natychmiast, to Bóg klątwę pogańską może zniweczyć raczy, i dozwoli także żyć, i samemu jeszcze używać bałwochaleczego złota na chwałę jego. Wraz więc za siebie i za dziatki i za wnuczki moje, uczyniłem i zaprzysięgałem takowe votum przed ołtarzem, a zatém i śmielój odważyłem się dzisiaj iść tutaj.

— A jednakowoż, panie Druktejn — mówił dalej kiwając głową Norejko — życzę Waćpanu tój *pensy* jak powiadasz, którą wasz przodek wam w sukcesyi zostawił, nie zostawować swojemu Maciusiowi i swoim wnuczkom, bo to na wierzbie gruszki, a tymczasem świat szeroki; nie jeden z was mógłby na nim poczeiwać pracą dorobić się fortunki, a może i dobrej fortuny, bo nie święci garnki lepią, a natomiast wy wszyscy tańcujecie około tój złotój góry, i z biędzy wyleźć nie możecie; nie przykopywaj więc do niej i dzieci waszych, a oni wolniej rękami i nogami machając po świecie, przedźć coś dobrego złapią, niż pilnując jak smoki zakłętą skarbu.

Druktejn, wysłuchawszy tój perory, pokiwał także głową, i na te proste ale roztropne słowa zwątpienie jakieś ogarnęło go.

Już i przeddniowa światłość zwiastowała blizki poranek.

— Czas wracać do domu — rzekł Norejko — a szkoda że złotych bałwanów z sobą nie przyniosę; przydałyby się nam bardzo teraz. Pan na konfederacyi wyszeptał się co do talara, a tu żenić się trzeba; wpadła mu do serca wasza panienka, panie Druktejn, panna Dorota, i nie za długo będzie ona naszą panią.

— Daj Boże szczęśliwie — odpowiedział Druktejn — ale poczekajcie, nie tak to gładko ten dyamencik od nas dostaniecie; jest ktoś i jeden i drugi...

— A wiemy, wiemy — przerwał Norejko. — Pan Mejra golec! i pan Pułkownik grzyb! pięknieby panienka wybrała, gdyby za którego z nich poszła. Za Mejra bez chleba; — bo jest ich cztęrech na fortunie, a za Pułkownika bez męża. Daj Waćpan pokój z takiem swatowstwem. Ot, z moim panem przyjedzie na imieniny pani Uwojniowej, wiesz kto? pierwszy głowacz na Żmudzi, pan Ruplejko; on będzie swatem naszym; już od trzech dni siedzi on u nas w Berżyłowce i ciągną maliniak za zdrowie panny Doroty; powiedz to jój

Waćpan pod sekretem, niechaj panienka na ten dzień będzie *Parsypusześ kajp Resejniee Magdi*. (1)

— Dobrze, czekamy — czekamy — rzekł Druk-tejn — a teraz bywajcie zdrowi... I odchodząc dodał jeszcze: — Podobno to i prawda, mój kochany Norejko, coś mi o tym skarbie perswadował; bodaj że posłucham ciebie i Maciusiowi memu nie nie powiem.

— I dobrze Waćpan zrobisz; a teraz bądź zdrów.

— No i mnie treba już maszerować do domu — rzekł Mateusz — ale wstyd z próżnym workiem; będzie Szucillo oczy wypiekać: A gdzie twój skarb? gdyby ja kość jednego bałwanka przywlekl!

— Cozbyś ty robił, gdybyś dostał tak wiele złota? — zapytał go Norejko, razem z nim schodząc z góry.

— Ok Jeezus! co jaby robił? a czy jest na świecie taki dureń, któryby nie wiedział co robić, dostawszy wiele złota? ot jaby zaraz wykupił się u pana Kasztelana. Czy to nie żal, kokany panie Norejko, że jak przyjedzie do naszego dworu bernardyn Gokład, to siada razem z panem do stołu, i ja jemu talerki odmieniać muszę, a dawniej jak

(1) Wystrojona jak Rosieńska Magdalena — przysłowie to pochodzi z tradycji, jakoby niegdyś w Rosieniach mieszkała sławna jakaś piękność, i bardzo strojnie się ubierała.

my obadwa z nim małe kłopy byli, i w jednę wiosce kodowali się, czy nie razem śpiewali:

Wakas wakas wakarety
Łaba gyrtas buwau
Atsyngulau i ławetu
Salden užmigau etc. (1)

on potem uciekł do Traszkun i do klasztoru przystał, i już jego ztamtąd nie odbierali. Pan powiedział: niek kwali Boga kiedy kce; a mnie do dworu wzięli. Prawda, że on i teraz ze mną zna się, i tabaką traktując mnie, zawsze powiada po bernardyńsku:

Kas tabaku żywaja
Tu dungu kawaja. (2)

A z bratem jego, panem Bonawenturą, sługą pana Pułkownika, w wielkiej przyjaźni żyjem; zajdę do jego i teraz po drodze na kieliszek wódki; całą noc nie spawszy i po takim straku, zakorujesz człowiek bez posiłku. A panu Pułkownikowi powiem, że niekaj za tydzień wybiera się w swaty,

(1) Wczora, wczora z wieczoreczka

Dobrze pociągnąłem,
Układłem się do łóżečka
I słodko zasnąłem.

(2) Kto tabakę zażywa,
Tego w niebie chowają.

kiedy kee panny Doroty, bo pan Milanowski z pod nosa mu ją kwyci.

Norejko rozśmiał się, i rozeszli się każdy w swoją stronę.



IV.

Od Świętego Jana do Świętej Elżbiety dni ośm tylko, ale dość było tego czasu aby nowina przez Norejkę Druktejnowi powiedziana, że Milanowski z oświadczeniem o rękę panny Doroty i ze swatem swoim ma przybyć na imieniny jej matki, doszła po sąsiedztwie wszem wobec i każdemu z osobna komuby o tém wiedzieć należało, a szczególnież ichmość panom współkonkurentom Żegoty; saméj zaś pannie i czule do niej przywiązanej matuli, wielu niespokojnych myśli i nocy bezsennych, wielu narad codziennych a coraz troskliwszych, i wielu coraz gorętszych łez i modlitw nabawiła.

Wzywany przez żonę pan Chorąży do konsyliów, w alkierzyku odbywanych, i do objawienia swojej determinacyi; Kat że wie—mówił—co lepszego, czy las, czy łąka? i który z nich silniejszy, to jest, który lepiej i skuteczniej bronić nas będzie na dyferencyi? Żegota, wiadomo Samson! ale i

Mejra, jak powiadają, osilek i ma jeszcze trzech braci za sobą; gdyby się oni sprobowali w naszych oczach... a zresztą, ja najlepszy plan miałem: na trzy latka prolongata paniczom.... Ale nie chcęcie mnie słuchać, więc; *Kajp posyčkosi, tajp uszmigosi*,—i odchodził. Natenczas matka załamywała ręce, a Dosia chlipała w kątku...

—Moje ty dziecko! moje najmilsze dziecko—mówiła Chorążyna ocierając łzy córce i sobie—powiedz ty przynajmniej sama, proszę cię, i na błogosławieństwo matki zaklinam!...

Błogosławieństwo matki!... Wyraz ten święty, który mi pod pióro podpadł, zmienia nagle szyk myśli moich, bo mię do głębi wzruszył... Gubię na tę chwilę ciąg powieści mojej, bo płyną mi słowa daleko ważniejsze, daleko czulsze, daleko milsze młodemu czytelnikom i czytelniczkom moim, aniżeli wszelkie powieści, bawiące ich umysł szybko przemijającą przyjemnością i rozrywką.

Błogosławieństwo matki! Oh! gdy ono z serca i ust się wylewa na głowę korzającego się u nóg jej dziecka, niebiosa zda się w tej chwili otwierają, i Bóg sam błogosławi razem i matce i dziecku, a aniołowie jego święci, osłaniając jaśniejącymi skrzydłami tę miłą i wdzięczną Bogu ofiarę, za cały świat, za całą ludzkość składają mu dzięki, za to najczystsze, najdroższe, najtkliwsze i najpię-

kniejsze uczucie miłości rodzicielskiej, wlane przezeń w duszę człowieka, na osłodzenie gorzkiej jego doli na ziemi....

Błogosławieństwo matki!... czyliś go dziewico przyjęła ustóp ołtarza, gdyś wdziękiem, młodością i swobodą kwitnącą, stateczną wiarę oblubieńcowi swemu ślubowała! Czyliś je przyjął młodzięcze, gdyś także w obliczu Boga szczęście dla swój ulubionój i los błogi zaprzysięgał.... Czy gdyś z rodzicielskiego domu na świat szeroki się puszczał, a matka cię krzyżem świętym przeżegnawszy, łzawą zrenicą za wrota przeprowadzała... Czyście około śmiertelnego jój łoża skupieni, biedne sieroty z wpółobumarłych ust jój polecające was opiece boskiej usłyszeli modły, i na kolanach przyjmowali ostatnie, a dla was jeszcze poświęcone jój technienie... Wszędzie i zawsze, w pomyślności czy w złej doli, wspomnienie chwili téj wzruszy najczulsze nerwy twego serca, rozbudzi w niém miłość dziecięcą, którą czas może uspił, żalność, którą czas ukoił... w westchnieniach nawet i łzach, któremi się oblejesz, uczujesz obecność niewidomego wpływu jój na dni twoje, i nadzieję szczęścia za jój orędownictwem tu na ziemi, szczęścia z nią tam w niebiosach.

Oto błogosławieństwo matki! Czyliż mniej ważnem jest błogosławieństwo ojca? Nie zaiste! lecz

we wrażeniach i w obrażeniach rodziców względem dzieci, ojciec jest roz m, matka jest serce... Szczęśliwy! nad czyją głową jedno i drugie razem się łącząc, wspólnym ją miłości rodzicielskiej, a zatém i łaski Bożej obdarzyły wieniec.— A biada dziecku, które we swych wspomnieniach téj błogiej nie doszuka się chwili! lub czyja dusza zimną tylko po niój przemknie myślą... i biada czytelnikowi memu, który w tych słowach moich liryczną tylko znajdzie deklamacyę.

Powróćmy teraz do matki pragnącej zbadać tajemnicę swój córki.

— Na błogosławieństwo matki zaklinam cię— mówiła Chorążyna— powiedz ku któremu z tych dwóch inklinacya twoja cię skłania? bo o tym starym szalupucie Pułkowniku i wspominać nie chcę. Trzeba wczesnie wiedzieć jak się tu znaleźć; może przyjdzie posłać po pana Pisarza, twego stryjaska, do Rosień, bo nasz Jegomość, niech mu Bóg odpuści, procederami tylko swemi ma nabita głowę.

— Moja matko!— rzekła Dosia, czułem pociekunkami osypując jój ręce— ty wolój powiedz którego mi z nich przeznaczasz. Ja kiedy o tém myślę, to w głowie mi się kręci i tak straszno się robi, że aż dreszcz mię przejmuję; a kiedy wieczorem tém siebie nadręczę, to mi tak okropne sny marza

się, takie żaloby i całuny mnie okrywają, że przebudziwszy się polecam tylko Panu Bogu, modłę się przez całą noc, i zasnąć nie mogę; chętnie natenczas i pana Mejry i pana Milanowskiego wyrzekałabym się.

— Bóg z tobą, moje drogie dziecko! wszakże cię nie przymuszamy; kiedy przeczuwasz że nie ma w tém woli Pana Boga, to mów śmiało; a każę gdy przybędą na obiad dać *juszniczek*...

— Jakże tu przeniknąć i poznać oczewistą wolę Boga, moja najukochańsza mamó? Jakikolwiek on mi da los, to zawsze musi być z woli jego. Znam ja, że u was nie jedna; są siostry, są bracia; znam że mnie was opuścić trzeba i czas...— Tu zachodząc się z płaczu błagała matkę, aby sama powiedziała którego zięciem mieć chce?

— Nie wiem, nie wiem — mówiła znowu Chorażyna. — Oba cię gorącym affektem kochają. Mejra może bardziej, bo młodszy; ale kiedy na ciebie patrzy, to mnie aż strach! iskry mu się z oczu sypią, a lico jego młode i gładkie, okrutném i straszném się robi.... widać że ma temperament extra-choleryczny.

Milanowski trzyma wprawdzie zawsze minę, posturę i fantazyę buńczuczną i hardą; — do trzeciego mu nie gadaj, boć to żołnierz — konfederat! Ale kiedy na ciebie spójrzy, to aż miło drugiemu!

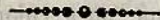
Z tego prognostykuję, że u niego od gniewu do miłości prędko alternata, a taki na męża najlepszy, bo choć się czasem zachmurzy i zapérzy, a bez czego nie obejdzie się w małżeństwie, to za jedném miłym słówkiem żony jak wosk stopnieje; nakoniec i substancya jego...

— Ach! ależ ten biedny Mejra!... — zawołała mimowolnie Dosia.

— Więc ty go kochasz? — przerwała żywo i niespokojnie matka.

— Nie! — nie! — najdroższa mamó nie! głos twój, to głos Boga! — Milanowskiego wybieram! Milanowskiego — mówiła szybko, całowała z uniesieniem ręce matki, i odbiegła płacząc rzewnie.

Matka ukłękła i modliła się.



V.

Nakoniec nadszedł dzień Świętej Elżbiety. — W dzisiejszej modzie — solenizantka odebrałaby w wigilię na piśmie własnoręczne, urzędowe, że tak powiem, *testimonia* życzliwości... Oh niestety! nie właściwy to wyraz — *grzeczności* sąsiadów. Wszystkie te małeńkie dokumenciki złożonoby w pię-

kne kryształowe na widoku stojące naczynie, mieszcząc na wierzchu godniejszych, na jawną i oczęwistą chlubę domu, jak na wystawę. Dawniej, gdy powiem, że więcej było prostodusznej szczerości a mniej szlifowanej grzeczności, powiem tylko komunał stokroć powtórzony, i choć może nie mniej dla tego sprawiedliwy, wszakże już oklepamy, bo nadto dowiedziony.... Rozsiane wieści,— że w tym dniu imienia pani Chorażynęj Korszewskiej będą razem i oświadczenia i zaręczyny; w dodatku, jakby dla rozweselenia kompanii, wyzwania, pojedynki, pojednanki;— wprawiły w ruch całe sąsiedztwo a nawet przywabiły i odleglejszych gości, dalszą lub bliższą konnxyą z domem solenizującym połączonych. A tak nieobszerny ten domek od rana licznie napełniać się zaczął, i byłby się aż do ścisłu przepełnił, gdyby piękna pora roku i piękna pogoda nie dozwalała mężczyznom, po złożeniu powinszowań solenizantce, rozechodzić się po dziedzińcu, a przez otwarte okna przepływające wolne powietrze, szerokimi wachlarzami poruszane, nie rzeźwiło kobiet zasiadających wszystkie krzesła, taborety i zedle.— Pan Choraży, którego Bóg nie skąpą tuszą obdarzył, pocił się na ganku, coraz nowych witając gości, a pocziwa i zacna gospodyni przyjmowała ich w pokoju, dygając uniżenie wszystkim, a za rozmaite perory jednostajną for-

mułą:— „Bóg zapłać państwu dobrodziejom, za tę nie zasłużoną dla mnie łaskę,” dziękowała.

Przybył i dodał lustru zebranęj kompanii pan Micewicz, orderowany pan a kolligat gospodarzy, bo wdowę po jakimś Uwojniu miał za sobą. Bogactwem i pobożnością na całą Żmudź on był sławny, założywszy bowiem w dobrach swoich miasteczko Skaudwile, fundował tam kościół, postarał się o erekcyę przy nim nowęj parafii; a gdy na odpusty i jarmarki do swego miasteczka przybywał, miał zawsze w karcie worek drobnej monety, którą garściami na pospólstwo i ubogich rzucał (1). Razem z nim wysiadł z kolaski pan Pisarz Uwojnia brat pana Chorażego, a natenczas *osobliwość* na Żmudzi; nosił się on bowiem po niemiecku, miał na głowie pudrowaną fryzurę, przy boku zamiast pałasza szpadę z porcelanową rękojeścią, i jak wieść głosiła, umiał po francuzku, mówił z żydami po niemiecku, miał wiele książek i bywał za młodu w dalekich krajach, a co najbardziej, sam jeden na całą Żmudź odbierał z Warszawy pisaną gazetę; a zatem nigdy go na próżno nie zapytano:— co tam słyhać?

Niepopularne to wszakże było *palladium* mądro-

(1) Nie potrzebuje przypominać, że głównejsze tu opisywane figury są tamtozasowe i prawdziwe.

ści, lecz właśnie dla tego samego, że niepospolite, poważane powszechnie tak, że po intratny urząd pisarstwa ziemskiego Rosieńskiego nikt na przeciw niego na sejmiku nie sięgał.— Niemiec! Niemiec! krzyczała szlachta, ależ *Statysta!* ależ *Mundrus! kajp Zaleskie gundrus!* (1) dodawała kręcąc głowami, i na tém się kończyła opozycja. Pan Choraży chlubił się bratem i nie płacił mu nigdy w częstych swych procesach za ekstrakta i dekreta, a pani Chorażyna we wszelkich trudniejszych okolicznościach domowych do niego się po radę uciekała, której on z prawdziwą zwykle życzliwością udzielał. Radzi więc byli oboje dwóm takim luminarzom, z których jeden złotem i gwiazdą, drugi mądrością świecił— lecz cała kompanija jakby tą jasnością olśniona spowazniała. Wnet się jednak twarze rozweseliły, bo wpadł na dziedziniec pan Felicyan Buńak, którego wszyscy u przejmym okrzykiem powitali. Gdziekolwiek on się zjawił, przynosił zawsze wesołość. Snuł się on po całej Żmudzi, na gęstsze dymy z kominów sterując swego żmudzkiego kuca do małej filadejki wprężonego; lecz nigdzie miejsca nie zagrażał,

(1) Przysłowie to poszło od jakiegoś bardzo ugłaskanego bociana, chowanego w Wielonie u pana Szambelana Zaleskiego: *Mądry jak Zaleskiego bocian.*

i krótkie tylko po niektórych klasztorach stacye swoje piwem znaczył, a jak okręt do wysp po świeżą wodę, tak na świeży knfel szumiącego i tłustego piwka tam regularnie i peryodycznie wstępując, posilony i orzeźwiony, w dalszą puszczał się wędrówkę. Poeta z powołania i z rzemiosła, łgarz z potrzeby— bo gdzież mu było tyle prawdy się nabrać, aby jedynie jój kosztem przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni roku jeść cudze obiady?— ale nieszkodliwy nikomu, zabawny dla wszystkich. Mógłby on wprowadzić inny sobie sposób obrać do życia, wspomagając się nauką, której nie skapo liźnał w szkołach Jezuickich w Krozach; ale on sposób ten na lepszych i pewniejszych fundamentach, niżeli na mądrości i pracy często niewdzięcznej, założył, bo na nieograniczonej i niemyślnej pigdy gościnności swoich ziomeków, a Żmudź gęsto nasiedlona dworami tak, że zajeżdżając od jednego do drugiego, przegłodzić nawet ani apetytu nabrać niemógł. Wiecznie zatem młody licem i umysłem, twarzy czerstwój i rumianej, oka bystrego, wyszedł rzeźwo ze swój filadejki pan Felicyan. Konik jego świadomy wszystkich stajen, jak pan jego wszystkich dworów, powłókł się ku niej spokojnie... On zaś poprawił oburącz na wypiętym brzuszku pasika— bo to zwyczajny był wstęp jego, gdy z oracyą miał wystąpić, lub gdy ją pięknie

wyperorował — i otoczony całą gromadą gości, szedł tryumfalnie do solenizantki... a stanawszy przed nią, wziął się w boki, uklonił się wdzięcznie i tak prawił:

Słyną na Żmudzi

Pomiędzy ludzi

Sziawlu bożnicza (Szawelski kościół)

Kretyngos worganoj (Kretyngowskie organy)

Kroźiu warpaj. (Kroźskie dzwony)

Lecz jest rzecz czwarta,

Co sławy warta,

Na całej Żmudzi,

Pomiędzy ludzi!

To ty gospoio

Z twą córką Dosiał

Więc dla mamuni

I dla córuni,

Niech dadzą nieba,

Czego potrzeba!

Męża dla dziewczęcia,

Dla mamuni zięcia!

Każdę po sto latek,

I każdą dostatek!

A kiedy ten kwiatek

Stanie w rzędzie matek,

Niechajże z swych dziątek,

Ma szczęścia zadatek,

A w mężu wierność i statek!

Tego życzy sługa twój,

Ant Amżiu Amżinu! (1).

Amen! Amen! zawołali wszyscy obecni, oklaskami okrywając oracyę, na której słowa Dosia

(1) *Amżynu* — potrzebaby *amżynuju*, ale poeta dla rymu dozwolił sobie odrzucić jedną literę.

spuściła oczy i rumieńcem się oblała, a Choraży-na najserdeczniej dziękując odebrała z rąk tryumfującego poety przepisana oracyę.

— Pięknie! — rzekł pan Pisarz uśmiechając się — pięknie! A zdanie pana Pisarza wielce aprendował Bunak — Znaczno żeś się blisko Kroź urodził, i i w Krożach retoryki i poezyi uczył, i że góra *Medziu-kałnas* (1), na której jak wieść niesie nasz nieśmiertelny Sarbiewski ody swe układał, za Parnas ci służy.

Bunak na tak pochlebne wyrazy uklonił się Pisarzowi, nieco się zastanowił, poprawił pasika i rzekł znowu:

Niezdolna muza jużby ochrzypała,

Gdyby w śpiewaniu posiłku nie miała,

Najprzód od Boga, jako stwórcy swego,

I tuż od mistrza swego Sarbiewskiego.

I dank od pana Pisarza ziemskiego!

Nowe applauzy okryły tę improwizacyę i pan Pisarz, znowu się uśmiechając, uściśnął za rękę jaśniejącego chluba i poprawującego pasika poetę.

W tém na dziedzińcu nowy się gość okazał: pan Wincenty Mejra, konno, w przystojnym moderunku, z łózką za sobą. — Konkurent! konkurent! —

(1) Podanie niesie, że Sarbiewski mieszkający w klasztorze Jezuickim w Krożach, na bliskiej górze położonej nad jeziorem, a zowiącej się *Medziu-kałnas*, składał swe ody po całej Europie znane i sławione.

szepty się rozniosły po kompanii i ciekawe wszystkich nań zwróciły się oczy. — Szeptów tych i wzroku obojętnie zniesić nie mógł Mejra, a gdy własny na Dosię podniósł, bladość jej nagła tém bardziej go zmięszała. Z konia zsiadł rzezko, ale przed Chorażyną już drżał cały i kilka zaledwo słów niezwiązanych zamiast namyślanego wprzód powinszowania wymówiwszy, schronić się musiał w tłum, złowróżbą dlań z pierwszego wstępu li-tością wzruszony; a Bunak równegoż ze wszystkimi doznając wrażenia, patrząc nań i kiwając głową — biedny! rzekł: „*Radys ysz pupu newarytyus*” (1).

Jakby się zmówił panowie konkurenci, jeden za drugim przybywał.

— Konfederat! konfederat nasz! — zawołano na dziedzińcu. I sadził na pięknym siwym koniu, który go pod Wiesznianami od śmierci czy niewoli uniósł, *Żegota Milanowski*: za nim *Poroczko* i *Norejko*. W pasowym kontuszu, z szafirowym kołnierzem i wyłogami, to jest w mundurze ziemi Żmudzkiej, sutym pasem szerokim przepasany, z lekką konfederatką na głowie, i lekką od parady karabellą u boku, wznawiając piękną i tak ozdobną postacią swą pamięć swego męztwa, a za-

(1) Znaczy: — Gdyby go i w bobie znaleźć i z bobu nie należałoby go wyganiać.

tém z urokiem chwały i zaufania, podniecanym poehlebném od wszystkich powitaniem, stanął on przed gankiem. Ucisnął witającego gospodarza na ganku, a ucałowawszy w pokoju rękę solenizantki, gdy obok tuż znalazła się i drnga rączka jej córki, nie ominął dobrej okazji i głośnego na nią złożył busiaka; potem jakby po smacznym kęsie muskając wasa — „Chorażyno dobrodziko — rzekł — żołnierz, nie umiem komplementów. Daj ci Boże szczęście i zdrowie, a mnie daj Boże być twoim synem, bo już cię kocham jak matkę!” — Brawo! brawo! — okrzyknięto, Dosia uciekła, a Chorażyna nie miała siły odpowiedzieć. Lecz Żegota wodząc wzrokiem po kompanji, gdy spotkał twarz Mejry, aż się krokiem w tył cofnął, tak się przeraził wyrazem wściekłej zjadłości jaka mu z oczu zionęła i paliła się na obliczu...

Tymczasem trzask z bicia nowych znów zwia-stował gości; jakoż wjeżdżała przez wrota karoca, sześciokonnym różnaitój maści i wzrostu, widocznie *ad hoc* zbieranym eugiem ciągnięta. — Trzeci to konkurent, pan Pułkownik *Murmuluk* przybywał.

Lubośmy już nieco podmalowali postać tego starego pruskiego żołnierza, lecz w wybitniejszych teraz wystawić go musimy rysach, w obec jego rywalów. Komu z czytelników zdarzyło się widzieć — na staroświeckich, jaskrawo kolorowanych *land*

szafkach postać Fryderyka Wielkiego, w wojskowym jego mundurze, ten łatwo wyobrazi sobie i ubiór Pułkownika, a był nim, czyli się tylko być nim mienił Murmuluk? Figura wysoka i sucha, na niej granatowy dawnego kroju frak z czerwoną podszewką i czerwonym na wół odłożonym kołnierzem; kamizel także długa i czerwona spadała mu prawie na kolana, objęte jakby szerokimi wazonami palonemi kłapami wysokich bótów, w których dośćby jeszcze było miejsca na drugie równie cienkie piszczele. Na takięj sztywnęj figurze głowa twardym halsztuchem podparta, bo ją starość nadto schyliłaby może, i na niej peruka, na którą szczotki, maki i łoju dziś nie żałowano, uzupełniała toaletę od parady, godną tych malowideł, któremi pamięć i największych częstokroć bohaterów między gminem się poniewiera.

Maszerował więc i pan Pułkownik ubitą już ścieżką przed Chorażynę, i zwykłym nosowym głosem z należytą powagą, rzekł jej: „Gdym pod Kistrynem wiktoryzującemu Fryderykowi Wielkiemu winał...” W tym Bunak, ciekawy cudzej perory; przecisnął się przez tłum i przerwał: — Musiałeś to po niemiecku uczynić panie Pułkowniku; utnijże i tu dla pani Chorażyny dobrodziki nasz, komplement niemiecki, a potem toż samo przewertuj po polsku czy po żmudzku: tak wszystkie

nasze oracye zakasujesz, i będziesz wiktoryzował jak Fryderyk pod Kistrynem.

— *Dowód to łaski pański!* — rzekł zmieszany Pułkownik, a Chorażyna podziękowaniem uwolniła go od kłopotu i kontynuacji komplementu, z którego wszyscy się rozśmiali.

Nakoniec zamknął poczet gości za konkurentami przybywający swat, pan Podezaszy Rupejko, zaproszony przez Milanowskiego, aby się koniecznie na ten dzień do Uwojnow stawiał, i którego nie znalazłszy on jeszcze, gdy sam przybył, niecierpliwie wyglądał.

Suty zatem szlachecki wnet nastąpił obiad.

W izbach, w sieniach, na ganku, na dziedzińcu, wszędzie się kurzyło, jadło i piło; liczne zgromadzenia nie objął szczupły domek, ale nasycił wszystkich, a ochoczych do kielicha wybornym poił trunkiem, którego blizkie Królewiec i Ryga, za len i siemie żmudzkie, każdemu szlachecowi hojnie przed każdym familijnym aniwersarzem dostarczały.

Gęste *wiwoaty* na cześć solenizantki, gdy z kolei padły na Dosię, sypnęły się jak gradem strzeliste alluzje do obecnego stanu okoliczności; płoły jak róże piękne lica dziewczyny, a tém bardziej zaostrzało ciekawość wszystkich, kobiet

zaś szczególnie, rozwiązanie tej sceny, której pierwsze przy kieliszkach odbywały się prologi.

Jakoż po obiedzie wnet interes główny porodził na rozmaite gromadki i aktorów i widzów.

Pan Rupejko wziął na konferencję Milanowskiego, i odprowadziwszy go od kompanji— Czy wypada, rzekł, w tak licznej frekwencji rozpoczynać nasze oświadczenia?

— A to czemu, panie Tomaszu?— odpowiedział żywo Milanowski— Czy mam się wstydzic moich uczciwych zamiarów? A co to ja? błazen? mam się puszczać w długie zaloty? zostać emulusem tego młokosa Mejry, i jak w infimie, iść z nim *de loco* w sereu Dosi? Czy śmieszyć ludzi, wyzywając na pojedynek tego starego niedołęgę, który jednak ot widzisz wodzi się pod rękę z Chorążym, jak żuraw' z indykiem. Ja panie Tomaszu idę prosta, szczerą i pocziwą drogą, jak przystało na szlachcica i żołnierza. — Kocham Dosię, to prawda— och i bardzo kocham! Chcę ją mieć za żonę i nie mogę się nacieszyć, gdy ją sobie wyobrażam gosposią w mojej Berżylówce!!! Dziecko to bogobojnej i zaenęj matki. — *Jakie drzewo taka kora— jaka matka taka córka*, powiada stare przysłowie. A jeżeli weźmiemy rekuze, cóż za wstyd? Powiem i ludziom i sobie, że widać niema w tém przeznaczenia Bożego, a w łeb sobie nie wypalę!

Miarkuj, panie Tomaszu, że gdybyśmy dziś żadnej nie uczyniwszy tentacyi odjechali, powieździeliby wszyscy, że się przelakł Mejry i Murmuluka, a szpetnaż to byłaby dla mnie inwektywa, którą pałaszem potem odpędzać może musiałbym. Więc nie można dalej zwlekać. Co się ma stać, niech się stanie!.... Nie pożałuj zatem gęby, panie Tomaszu.... Ot, ot patrzaj, jak Pułkownikowi aż się peruka skrzywiła i harcapił już nad uchem, i jak się gęsto kłania Chorążemu. Dalibóg, panie bracie, on nas uprzedził, i pewnie krocio-wemi zapisami traktuje tatulka Dosi.

Jakoż rzeczywiście Pułkownik nie tracił czasu, a bardziej kielichami, które jak przystało niemieckiemu rycerzowi do dna wychylał, niżeli rozwąga okoliczności zdeterminowany i ośmielony, pociągnął za sobą w drugą stronę na dziedziniec Chorążego, i rzekł mu, kłopotąc się za każdym słowem nim się rozgadał:

— Dowód to łaski pańskiej.... że masz córkę....

— A Mości Dobrodzieju— przerwał Chorąży— ja mam cztery córki, a zatem cztery dowody łaski, ale Boskiej Mości Dobrodzieju.

— Nie to chciałem powiedzieć. — Folwarki moje, gdym ja pod Kistrynem....

— Brat pański pozastawiał: wiemy o tém.

— Tak tak; otóż niedawno mówiłeś mi pan,

dowód to łaski pańskiej, że potrafiłbyś je windy kować i zastawników z kwitkiem puścić.

— Naturalnie, pozwawszy ich do *exempcyi salve calculo*. (1)

— Otoż byle Chorażaneczka Dobrodzika, godna córka ichmościów dobrodziejów... rękę swą wieczystym traktatem z moją połączyła, Jegomość dobrodziej przyjmiesz na siebie windykać z pod zastawy folwarków, a na całej mej fortunie opiszę jej dożywocie, i darem tyle, ile sam naznaczysz.

Choraży odetchnął z całych piersi i otarł siną chustką pot z czoła: a właśnie wtenczas Pułkownik, kłaniając się mu nisko na zakończenie tego trudnego oświadczenia, skrzywił perukę.

— A co by na to powiedział pan Kasztelan, brat pański? zapytał po niejakić chwili milczenia Choraży.

— Panu Kasztelanowi *finfa!* — odpowiedział Pułkownik. Ja swoich chcę mieć successorów, a nie jego synków hoholów.

Choraży spójrzał po tej zaschlęj mumji, czyniać jej *skrutynium* od głowy do nóg — potem podniósł łeb do góry, pociągnął powietrza jakby natechnienia i w wątpliwych pokuszeniach jakiemi go

Pułkownik nabawił, trafił na dawną myśl swoją i chwycił się jej oburącz.

— W takim razie, Pułkowniku Dobrodzieju — rzekł on — musisz mi udzielić *horę*.

— Dowód to łaski pańskiej... ale nie rozumiem...

— Jak to? chyba zapomniałeś po łacinie: *hora* to godzina.

— A teraz rozumiem — Jegomość Dobrodziej chcesz abym zaczekał godzinę. — Dowód to łaski pańskiej — zgoda — bo gdym był pod Kistrynem, a trzeba było czekać ordynansu...

— Tak, godzinę — przerwał mu Choraży — *preter propter* godzinę — lękając się aby za godzinę znowu nań nie natarł Pułkownik, gdy propozycya jego dłuższego namysłu i rady familijnej wymagała. Tak panie Pułkowniku — dodał — jest to ostateczna dylacya prawna, która jednak i dłużej trwać może, gdy w ciągu jej inne nadarzą się sprawy...

— Ej! ej! *tausend teufel!* inne sprawy. Choraży Dobrodzieju — nie to chciałem powiedzieć — inne sprawy! Ale tu pan Milanowski i pan Mejra mogą te sprawy zaprowadzić.... a nie mają folwarków do windykać...

Choraży niedosłuchując już więcej, zawrócił się szybko i zbliżał się do ganku, upatrując brata pana Pisarza, do którego po radę jak najrychlej

(1) Do okupna pod kalkulacyą.

chciał trafić — a Pułkownik idący za nim zboczył ku wałęsającemu się po dziedzińcu bezustannie między gośćmi kielichowi, i po takim wysileniu wychyliwszy go skwapliwie, stanął ochocho do dalszych kolei. — Piliśmy pod Kistrynem...

— Pijmyż i tu — kończył pan Bitowt serdeczny gracz do wiwatów, dolewając mu spelną.

— Dowód to łaski pańskiej!

Cała kompanija to przez okna z pokoiów, to rozpięchniona przed domem, uważała te obróty konkurentów, a damy z litością poglądały na zbledniałego i opartego o ścianę Mejrę, i wzrokiem to pałającym, to obłąkanym ścigającego Dosię, która nieodstępowała matki, i jak drżąca przed burzą ptaszyna, tuliła się pod jej skrzydła. — Nakoniec jakby z letargu nagle obudzony, postąpił on szybko do siedzącego w sieniach na zedlu Pisarza i szeroko rozprawiającego przed licznym auditorium o polityce europejskiej, a ujawszy go za rękę: — Panie Pisarzu Dobrodzieju rzekł: — Kilka słów na osobności — proszę.

— A gdzież ją najdziemy? — zapytał zdziwiony Pisarz.

Choćby tu blisko, byle nie w tłumie. — O kilka więc kroków stanęli na ganku, podczas gdy jesz-

cze Żegota z Rupejką, a Pułkownik z Chorążym konferencye na dziedzińcu prowadzili.

— Panie Pisarzu — rzekł Mejra z cicha ale dobitnie: — życie lub śmierć moja w twoim ręku. — Ratuj mnie!

— Co to się ma znaczyć? — rzekł zdziwiony Pisarz, a razem spojrzawszy na Mejrę, poznał że to nie żarty, że młody ten człowiek wre gwałtownie. — Co ci jest panie Wincenty — mówił więc: — uspokoj się.

— Kocham synowicę pańską — kocham Dosię!...

— Słyszałem o tém.

— Kocham ją nad życie! kocham ją jak jej nikt nie kocha! Patrz panie, oto tam targi na jej rękę! ten ofiaruje ojcu jej fortuny swoje; ten namawia swego mądrego swata. — Oh! ten drugi!!! — wskazywał na Milanowskiego — weźmie ją — weźmie... ale razem weźmie on i moje życie — albo własne położy!... Panie Pisarzu ratuj! nieszczęście nad nim! — I gwałtownie, kowulsyjnie, gniótł ręce swoje, jakby koście w nich pokruszyć chciał.

— Szaleńcze! — mówił przerażony Pisarz. — Po co ta rozpacz? Upamiętaj się... jakże ci mam pomóc? Czyliż cię Dosię kocha wzajemnie?

— W tém nadszedł śpiesznym krokiem uciekający od Pułkownika, a upatrujący właśnie Pisarza ojciec Dosi.

— Braciszku! — rzekł on żywo — mam do pomówienia — i biorąc go za rękę, chciał w inną stronę odprowadzić.

— Nie! — zawołał Mejra, głośno już i bezwzględnie na przypatrującą się temu gromadę. — Nie, zostaniesz tu panie Pisarzu. — I ujął go za rękę tak, że rozkrzyżowany Pisarz nie mógł się ruszyć z miejsca.

— Ale chodź braciszku, chodź — wołał Choraży. — Poczekaj panie Wincenty — *periculum in mora* (1). Dałem *horę* Pułkownikowi, a on oddaje i zapisuje całą swą fortunę i folwarki dla Dosi, byle za niego poszła.

— A ja daję za to życie moje! O Boże! cóż mam dać więcej? Niestety! — mówił dalej widząc krzywiącego się Chorażego. — Życie to widzę nie warte folwarków Pułkownika! Ale ostrzegam panie Choraży, że kto mi to życie, to jest Dosię odbiera... bo to wszystko jedno!

Przerwał tę zapamiętałą mowę nadeszły pan Rupejko z Żegotą. — Panie Choraży Dobrodzieju — rzekł on z niejaką uroczystością i powagą — proszę pana udać się do godnej małżonki swojej, abyście razem oboje wysłuchać raczyli poselstwa mojego. Pan Pisarz Dobrodziej także nie odmówisz

(1) Niebezpieczeństwo we zwłóce.

nam prezencyi swojej, jako *primatus* w téj zaszczytnej familji. — To mówiąc wskazywał drogę, i uprzejmie wprowadził ale ciągnął za sobą Pisarza i Chorażego, a Żegota z tyłu także uprzejmie, ale popychał obu, z ganku do sieni, z sieni do pokoju, a że i tłum ogarniający ich wszystkich i ciekawy cisnął się także za niemi, Mejra więc, nie mogący się uwolnić i wypłatać; razem tamże wparty został.

Chorażyna między matronami siedziała w drugim pokoju, niespokojna a usiłująca ukryć swą niespokojność przed gośćmi. Dosia przy niej, równie jak matka trwożą przejęta. O cóżby dały obiedwie za kilka chwil samotnej rozmowy i wspólnej w takim trudnym stanie modlitwy!

— Panie Podezaszy — rzekł Pisarz, gdy się wtoczyli do pierwszego pokoju — niema tu widzę mojej bratowej ani synowicy, pozwól niech pójde i przygotuje ich nieco do wysłuchania tego, co masz im powiedzieć, bo tak *insperate*... i w tak licznej kompanji... Gdybyście się mnie wprzód poradzili...

— Nie moja w tém wina, panie Pisarzu, ale samegoż pana Milanowskiego. A teraz, gdy już cała kompanja słyszy i widzi wszystko, nie czas odmieniać plany. Racze pan Dobrodziej pójść i wyjednać nam audyencyę i matki i córki.

Tymczasem Mejra przecisnął się przez tłum do Żegoty i chwyciwszy go za rękę a cisnąć gwałtownie:— Słuchaj— rzekł— chcesz wziąć Dosię; wiedz, że za nią dasz życie swoje, albo moje weźmiesz; chcesz kobierca, ale ja tobie całun rozścielę!

Zadrżał Żegota, ale miarkując się wszelako:— Młody jesteś panie Mejra— rzekł— więc nie umiesz ani sobie poradzić, ani się pohamować. Ale— dodał z szyderczym uśmiechem— nie ciśnij mnie tak mocno ręki, bo gdy twoją wzajemnie ścisnę, to zgniotę palce na miazgę, i nie będziesz miał czem trzymać szabli, bez której między nami jak uważam nie obejdzie się.

— Ty się naigrawasz banito! Na ciebie miecz kata nie szabla szlachecka!— wrzasnął tracący przytomność i zjadły Mejra.

Milanowski wydarł swą rękę i porwał za pałasz...

Kobiety przerażone z krzykiem rzuciły się do drugiego pokoju, i tam jeszcze krzyczały. Mężczyźni osłupieli zrazu, lecz pan Micewicz, a za nim jednym głosem wszyscy zawołali:— Mości panowie, nie pozwolim krwi w tym domu i w tym dniu!— Zastanowił się Żegota: Tak!— rzekł— Tak!— zasuwając nazad w pół dobyty pałasz.— Krew na potém!... Krew na potém!... a teraz... a teraz wyrzucić trzeba za okno psa wściekłego,

aby uczciwych ludzi nie kasał.— I rzucił się na Mejrę:.... Ten go z rozpaczą rzeczywiście wściekłą przyjął.

Nie było czasu niedopuszczyć ich do siebie, lub rozdzielić i rozbroić. W mgnieniu oka jakby się zrosli z sobą— rozpoczęła się walka... Iwa z tygrysem. Widzowie, ubezpieczeni teraz że się bez krwi obejdzie, nie tylko nie tłumili ich zajądłości, ale to śmiechem, to pustém słowem podniecali ich jeszcze.

Chorąży, przypomniawszy swoje dyfferencye:— To to, to!— zawołał klaskając w dłonie— obaczymże teraz kto silniejszy?

— Trzymaj się Mejra! trzymaj się!— krzyczano.

Oho nie łatwo konfederatowi.— zawołał Bunak— *Na wilka biegaj, teksy miszku* (1). — Jakoż poznał: Żegota, że mu nie łatwo będzie wykonać swą zapowiedź i wyrzucić Mejrę za okno. Niższy on znacznie urodą, chwycił wpół Żegotę, ale tak go silnie cisnął, że ten, chociaż miał ręce wolne, i po kilka razy podjął go w górę i do okna wnieść chciał, nigdy tego dokazać nie mógł, bo go ani od ziemi, ani od siebie oderwać nie zdołał.

Duzanie się to i szamotanie rozpędzało po ka-

(1) Na wilka biegł, a trafił na niedźwiedzia.

tach widzów; czepiając się za rozmaite sprzęty poodrywały się szable szermierzy.

— Dość tego, Mości panowie! dość! — krzycało zewsząd, ale nikt postąpić nie śmiał, a walka się przedłużała... Zajadły Mejra targał Żegotę na wszystkie strony; ale ta sama zajadłość i trudność odparcia się tak potężnej figurze, pchającej go zawsze ku oknom, wysiliły go i zmogły... Żegota, doświadczony we wszelkich i na ostre i na suche razy zapasach, poczuł i poznał tę chwilę osłabienia przeciwnika... więc zebrawszy wszystkie swe oszczędzone dotąd siły, rozerwał żelazną około siebie ze spiętych rąk Mejry obręcz, porwał go nagle... i ze wściekłością tygrysią wpijającego się weń Mejrę, nieprzepartą potęgą i impetem lwa cisnął w okno... — *Prez z tego domu i z serca Dosi!* — krzyknął razem.

Wysadzone z ram okno prysnęło w drobiazgi i szkłem potłuczonym zasypało wypadającego przezeń Mejrę.

Huczne brawo, obojętną na tę zniewagę zwyciężonego a ukontentowaną z widowiska publiczności, osypało tryumfującego Żegotę. Mejra, ogłuszony tak okrutnym upadkiem, przez chwilę leżał na ziemi jak bez życia; lecz wkrótce zerwał się na nogi, przebiegł jak szalony dziedziniec, a nim się postrzeżono, już był na koniu i pędem naj-

żywszym poleciał do domu, o pół-mili tylko ztąd odległego.

Milanowski wnet z kolei, poczuwając się od gospodyni, przeproszał, wszystkie damy za przestרח, jaki im sprawił. Absolvowano go tém łatwiej, że pierwsza i dotkliwa obelga od Mejry poszła. Gdy się więc rozruch uspokoił, i gęstym kielichem obchodzono tryumf, pan Chorąży, oglądając się na wszystkie strony niespokojnie: — Gdzież pan Pułkownik? — zapytał.

— A prawda, prawda! — zawołano — gdzież Pułkownik?

— Panie Felicyanie — rzekł Chorąży do Bunaka — delegujemy cię abyś go wyszukał.

— A nie trzeba daleko szukać — odpowiedział poeta wyjrzaawszy przez okno. — Ot, siedzi na wschodach pod śpichrzem z towarzyszami. — Ha, nieźle sobie widzę poradzieli. Dzban w ręku pana Bitowta, kielich w ręku pana Styrpejki, a pan Pułkownik coś rezonuje.

— Idź więc, idź panie Felicyanie, i proś wszystkich trzech do kompanji. — Poszedł więc Bunak na to ponowione wezwanie gospodarza.

Pułkownik błędnym i przymroczoneym wzrokiem poglądał w okno. Nie wiele już on miał pamięci, gdy Mejra przez okno wyleciał; fakt ten jednak, na który chociaż poglądał z daleka, gwałtownością

swą uderzył go mocno; lecz zrozumieć go nie mogąc, pomieszał to razem w swęj głowie z Kistrynem i ze swoją swadą. Towarzysze dogodzili sobie również, i siedząc około niego z rewerencyą, zdawali się słuchać jego mowy, bo sami już prawie nie przemówić nie mogli.

Gdy do téj grupy Bunak się zbliżył, Pułkownik słaniając się i drżąc, bełkotał coś tak, że głośniejsze tylko wyrazy dosłyszał Bunak — „pod Kistrynem.... on jego.... za okno wyrzucił... a finfa... w dożywocie Dosi....

— Poeto — przemówił *Biłowt* przewracając jak do nalania dzban, z którego nic się nie łało... *Vacuum!... fac ut fiat... plenum... Styrpejko* wytrzeszczał oczy, które wszystkim trzem się kleiły, i skleiły się nakoniec zupełnie; a Bunak rozśmiał się, zabrał kielich ze dzbanem i wrócił.

Tymczasem pan *Podezaszy*, nie tracąc chwil, ani głównego interesu z uwagi, wziął Chorażego pod rękę i doprowadzić go chciał do żony, gdzie i Pisarz był między damami; lecz ten się ociągał, i oglądał się bez ustanku, aż się okazał Bunak.

— A cóż Pułkownik? — skwapliwie on zapytał wchodzącego.

— Leż pod pańskim śpichrzem jak pod Kistrynem, a ja *spolia opima* (1) odnoszę.

(1) Zdobyte pośmiertne.

— Jakże? nie przyjdzie?

— A chyba go przynieść każesz Choraży Dobrodzieju.

— *Contumax* na banicyę (1) i odsądza się *ab omni activitate* (2) w zawołać się mającym aktoracie. — Choraży Dobrodzieju — rzekł *Podezaszy* trafiając zręcznie w ulubiony styl i język procesowy Chorażego.

— Alem mu dał *horę*. Pan, jako prawnik doskonały, znasz tę dyllacyę...

— A cóż gdy po upłynionéj *horze* nie stanął na zawołanie? Znasz także panie Choraży — oho! a któż lepiej zna od pana? że w takim razie niestawający traci zupełnie *na rzeczy*, i sąd do wołania innych aktoratów przystąpić musi, boby popadł oskarżeniu *de mala gesto officii* (3). Więc wołajmy inny aktorat, w którym Choraży Dobrodzieju będziesz *superarbitrem*.

— Tak to jest — mówił rozważnie Choraży — tak to jest. Mógłby sąd być pozwanym do trybunału, *de mala gesto officii* i zostać wskazanym na *lucra*...

Wprowadzony więc na główne i nieustanne w głowie jego plątające się processowe myśli, rozumiał

(1) Skondemnowany na wygnanie.

(2) Od wszelkiej czynności.

(3) O złe sprawowanie obowiązku.

się być skonwinkowany prawnym i nieodbitym dowodem, a w takich rozważaniach ani się postrzegł, jak się znalazł w drugim pokoju obok żony.

Żegota, widząc że Podczaszy do sprawowania poselstwa swego zabiera się, gdy pewnym pomysłem skutku być nie mógł, wyszedł do stajni, i znajdując tam wiernych sług swoich — Siodłajcie — rzekł — konie, bo jak schwyję od kosza, co wewnątrz nastąpić może, to długo popasywać tu nie będziemy.

Ale Poroczko i Norejko stali z zasmuconemi twarzami oparci o jaśle i patrzyli na pańskiego siwaka.

Siwak gryzł uzdę, pinił się strzygł uszami, i zapaleczywie kopytem ziemię kopał.

— Co to znaczy? — zapytał Żegota, nie postrzegając jeszcze konia, a widząc tylko smutne ich twarze.

Oba nie odpowiadając wskazali tylko na konia.

Milanowski zwrócił nań oczy natenczas.

— Boże! co to jest? — zawołał przerażony — przed bitwą pod Wiesznianami on tak samo kopał jamę....

— Oh, nie tak wielką jak teraz — rzekł Poroczko — i nie trzął się tak cały. Oh! Jegomość Dobrodziej nasz, co z tego będzie?

Żegota poszedł do swego faworyta i gładząc

go miłośnię: — kosiu mój! kosiu! — zawołał — Cóż ty mnie wróżysz? przecież na wojnę nie jedziemy. — Koń poznał pana, obrócił doń głowę, przestał kopać i zarżał radośnie....

— Patrzajże, patrzaj Jegomość, jak on zna swego pana! Boże zmiłuj się! to nie koń, to przyjaciel, to brat! Nie odchodź Jegomość, bo on padnie z żalu — mówili razem oba.

— Co się wam dzieje? — rzekł Milanowski, ukrywając własne głębokie wzruszenie. — Koń może być chorym; cóż dziwnego że mnie poznał, gdy go codziennie pieszcze. Uważajcie go dobrze, może mu krew przerwać trzeba?

— Nie, nie chory on, nie chory! — ja się znam na tém — mówił Norejko. Ale.... ale.... niech Pan Bóg ma nas w swojej opiece! My pistolety ponabijamy... a Jegomość!... Dobrodzieju nasz! Ojceńku nasz!... — a tu oba z płaczem całowali mu ręce i ściskali za kolana. — Czy nie lepiejby te swańby porzucić? Patrz pan, znowu siwak kopie!...

Milanowski, czując także łzy na oczach a gorycz na duszy, wydarł się sługom swoim pocziwym i wyszedł ze stajni.

Była to chwila najcięższej próby przywiązania jego i miłości ku Dosi, bo gdyby miłość ta mniej głęboką była, uległaby i ustąpiła grożącemu fa-

talną, ale niestety często sprawdzającą się wróżbą, przesądowi.

Na dziedzincu uspokoił się nieco Żegota, otarł pot tą wewnętrzną walką na czoło wyparty, i czekał niecierpliwie na hasło z pokoju od Podczaszego, wpatrując się jedynie w obraz, który mu się od dawna w głowie utworzył, a tak mu miły i pojętny, że i teraz wszelkie złe wróżby zasłonił i rozechwiał:— obraz Dosi, *gosposią w Berżyłowce*.

Rupejko, zgromadziwszy razem stryja, ojca i matkę Dosi, gdyż jakeśmy to powiedzieli i drżąca Dosią jej nie odstępowała; uklonił się im wszystkim układowie, i rzekł:

„Mości Chorażowstwo Dobrodzieje! Sięga po najpiękniejszy splendor domu waszego, znany wam i całemu Księstwu Żmudzkiemu, pan Żegota z Milanowa Milanowski, bo po rękę godnej córki waszej, tu obecnej Doroty. Używa on mnie, jako życziwego wam i jemu przyjaciela, *quod licet et decet* (1) w takich koniunkturach, abym złożył u nóg waszych szczerę żądanie jego, a u nóg waszych nadobna panno, gorący affekt jego ku tobie.— Wybrał on ten *aniwersarz imienin* twoich, Chorażyno Dobrodziko, w którym w progi wasze liczna przyjaciół zebrała się komitywa; bo *publice* impre-

(1) Co się godzi i przystoi.

zę swoją deklarując, tém głębszego dla was respektu chce dowieść, a razem ma nadzieję, że w tej wyborniej kompanji nie znajdzie się nikt, któryby w tak ważnym życia jego interesie, odmówił łaskawej do Waćpaństwa Dobrodziejów instancyi i protekcyi, ziomkowi szlachcicowi i bratu, gotowemu jak zawsze *hodie et cras* (1) na usługi każdego.

„Raczej tedy zacni rodzice, przyjąć w łaskawą konsyderacyę i animadwersję pokorną suplikę moją; raczie przyjąć za syna, potomka a potomka nieodrodnego owych dawnych Wiedeńskiej wiktoryi rycerzy... A ty Mościa panno Chorażanko Dobrodziko, liljo nadobna! perło dziewic naszych! przyjm na dożywotniego sługę swego, adorującego się całym sercem człowieka, za którego uczciwość, cnotę i wiarę ręczymy wszyscy.“

Tu Podczaszy powiódł okiem po zgromadzeniu, i ozwał się okrzyk powszechny—Ręczymy! ręczymy!

„Otoż dowód—mówił dalej Podczaszy—na jak szczerzy braterski affekt potrafił zasłużyć sobie pan Milanowski. Miłość ludzka jest ewikeją najpewniejszą łaski Boskiej, a łaska Boska jest to grunt niewzruszony, na której jak na opoce, *super petram* funduje się cała konstytucya szczęścia

(1) Dziś i jutro.

ludzkiego. Na niej więc gdy zafundowanym będzie i twój związek, panno Chorążanko Dobrodziko, a korroborowany waszém rodzicielskiém błogosławieństwem, w konsekwencyi fortunnych lat koleją, staniesz u mety nieomylnych successów, oparta na ramieniu męża, a otoczona życzliwemi wotami wszystkich, którzy tu teraz *clare et viva voce* (1) przypięczętowali *testimonium* cnoty jęgo, a *kó-iterum iterumque* proszę i wzywam jeszcze, aby się przyłożyli znowu do wyjednania pomyślnego ewentu tej mojej poselskiej funkcyi.“

Zręcznym takim obrótem mowy swęj, Rupejko nie tylko usunął wszelką niedogodność licznego przy oświadczeniu się zebrania, którego się lękał, lecz jeszcze zeń skorzystał i wspomógł się gromadą sprzymierzeńców, którzy wnet otoczyli hnrmem oboje Chorążostwo, Pisarza i Dosię, błagając o zezwolenie ich na uszczęśliwienie Żegoty. Bo też pan Podezaszy znał dobrze, że obywatelska szlachta nasza, to poczciwy i serdeczny lud, a zatem że gorąco i stosownie wezwana, rozplywając się, zwłaszcza po kielichach, w czułe życzliwości i afekta, skutecznie go wspomóże; a gdyby się to nieudało, miał jeszcze w pogotowiu projekt przeprowadzenia im po głowach *punktu honoru*; wten-

(1) Czystym i żywym głosem.

czas stanęliby z uporem, biorąc odmówienie prósbom za *postpozycję*, z czém jeszcze trudniej byłoby Chorążostwu, niżeli z pokorną teraz instancją.

Podczas téj perory. Chorążyna ruszała ciągle ustami; zdawaćby się mogło widzom, że się przygotowywa i cicho jak student lekcję, odpowiedź swą repetuje; lecz ona od pierwszego słowa Podczaszego zaczęła szeptać *Pod twoją obronę*, potem poszły *zdrowaśki* zalewane łzami i westchnieniami tłumione.

Po ślicznych jagodach Dosi płynęły także łez strumienie; tém piękniejszą i miłszą była ona, jak kwiat perłami rosy skropiony, żywszemi się kolory krasi i ęci.

Chorąży ukontentowany takim niezwykłym honorem, że wielmożni i jaśnie wielmożni jemu się kłaniali, obracał się i okręcał żwawo w huczno suplikującym go tłumie na wszystkie strony, ścisnął każdego i bez ustanku wołał:— Zgadzam się! zgadzam się i pozwalam! Pozwalam i zgadzam się! nogi weneruję i błogosławię! a do Rupejki:— Tęgi produkt, panie Podezaszy dobrodzieju, tęgi!— Pułkownik utracił na rzeczy — przepił *horę*!— i do Pisarza:— Bracie! gotuj się na replikę— i dalej znowu:— Zgadzam się i błogosławię stopy! pozwalam i weneruję!.... Matkę i córkę również tłum otaczał i prósbami molestował: poważniejsze

nawet matrony, same rozrzuwnione, zbliżyły się do nich i niememi uściski prośby swe czy powin-szowania tłumaczyć zdawały się.

Zbliżył się i Pisarz. — Cóż bratowo? — rzekł on — coś kochana synowico? — i powtarzał kilkakrotnie to pytanie; lecz zaczęte po kilka razy takóż odpowiedzi przerywały się na ustach i matki i córki, wymówić im się nie dawały... Przekonanie rozsądne jak wprzód jeszcze w samotnych konferencyach, któreśmy wyżej przywiedli, tak i teraz dyktowało przyjęcie związku ze wszech względów pomyślnego, i nadto jeszcze tak od ludzi narajonego. Ale coś, coś głębszego od przekonania i rozsądku, co instynktem czy przecuciem duszy głęboko wzruszonej nazwiemy, zaciemniało piękne przyszłości nadzieje, i tłumiło głos w ich piersiach... Nakoniec pierwsze musiało wyjść na jaw, a drugie zostać w duszy, aby się przypomnieć później, w chwili zawstydzającej częstokroć ludzkie rachuby i nadzieje...

— Więc niech tak będzie jak chcecie... jak chce Dosia!..... — dodała skwapliwie zachlipaną mową Chorażyna. Dosia rzuciła się tylko w jęj objęcia... I to już wziąć trzeba było za zgodę, bo nie wymówić nie zdołała.

— A zatem zgoda! zgoda! — okrzyknięto. — Mów replikę bracie! — wołał Choraży — mów!

Pisarz jeszcze się obejrzał na Chorażynę; ta skinieniem głowy zdawała się powtarzać co wyrzekła: — Niech tak będzie jak chcecie. — Więc Pisarz postąpił na przód i odchrząknął. Na to hasło tłum się rozsunął, szerokie się utworzyło koło, wepchnięto we środek Rupejkę, a stojący naprzeciw pan Pisarz, miódopłynn timer delikater mówił:

— „Mości Podezaszy dobrodzieju! W zaistoczeniu rzeczywistości przyrodzenia, gdy skupienie się w jednotliwość małżeńską jest zrozumiałym celem płci białej, i gdy wybór i odbór rak i sere mających w ścisłym zjednoczeniu stanąć na kotwicy życiodawczej żegluga pieczętowości rodzicielskiej, dziewiczą zastępującej skromnotę, z górnych niebieskich wyroków jest poręczonym; przeto i braterstwo moje wzywając pomocy i błogosławieństwa Tego, który z ziemno-wodnych zamętów wyprowadziwszy pierwotne żywioły, wzajemną je ku sobie napawa skłonnością: i widząc w zacnościach pana Żegoty Milanowskiego pełnonośne przyszłowiecznych i wiecznych pomyślności swęj ulubionej córy, nadzieje: poręką nadto Jaśnie Wielmożnych i Panów Dobrodziejów obezpieczone, skłonieni są otworzyć krokom jęj drogę, z rodzicielskiej swojszczyzny na ślubny złotowzory kobierzec..... A zatem, Mości Podezaszy!” „Tu się uklonił — wszys-

ey dali huczną salwę w dłonie, a Rupejko: — Wiem — rzekł — co mi teraz czynić należy — i wyszedł skwapliwie po Milanowskiego.”

— A niech go kaci jak mądrze! — rzekł z cicha Micewicz do Bunaka — a czy rozumiałeś?

— Już cię rozumiałem, bo na końcu kobierzec — odpowiedział on — ale bo to nowój mody orator — to *purysta* — *pure* po polsku — JW. Pan musisz wiedzieć że łacina już idzie pod ławę. W Warszawie słyszę, takiego z taktowego rejestru sądzą, który perory swoje, po Jezuicku nią szpikuje — Ależ za to górnienie!....

Wtém wszedł Rupejko prowadząc Żegotę. — „No panie bracie — rzekł on — złóż u nóg rodziców twój ulubionój Dosi pokorną gratulację, że cię za syna przyswoić zgadzają się. — Ofiaruj swe wierne a wieczyste służby jój samój i błagaj, niech raczy przyjąć na rękę i znak widomy tój akceptacyi; a *suscepte* (1) onego, niech w aktach swego serca zapisze. — Dziękuj także panu Pisarzowi dobrodziejowi, bo on *per fluidam et sapientissimam eloquentiam* (2) dekret twojego szczęścia promulgował — a wszem w obec i każdemu z oso-

(1) Dowód przyjęcia do akt dokumentu, zapisany na nim ręką Regenta Aktowego, zwał się *suscepta*.

(2) Przez płynną i najmědszą wymowę.

ba zebrałym tu Jaśnie Wielmożnym Panom Dobrodziejom, że słabą mą żądań twych *exwisceracje*, korekturą swój łaskawój protekeyi wsparli.”

Więc w kolei wskazanej Żegota upadł do kolan Chorążynój; Chorąży chcącego również i przed nim się upokorzyć niedopuscił, ale uściskał go wołając: Panie zięciu! twoja Dosia! — i z cicha nad uchem: — ale dyferencja w lesie..... Potém Milanowski dobył zza nadry piękną jaspisową puszczykę, otworzył ją i położywszy na czapce podniósł Dosi; we środku jaśniał brylantowy pierścień. — Panno Doroto — rzekł on — nie płacz! Na miłość Boga nie płacz! bo i mnie serce się kraje!... Oto pamiątka matki mojej — ona pewnie w niebie, bo była pocziwą, i bogobojną jak twoja.... Jeżeli więc mnie przyjmujesz, przyjm i ten pierścień.... a ja na wieki twój sługa!

Dosia nie śmiała podnieść ręki; wzniosła tylko oczy w górę, jakby w modlitwie polecając się Bogu; a Chorążyna wzięła pierścień i na palec jój włożyła, z własnej zaś ręki zdjawszy obrączkę — bo przygotowanój do uroczystego aktu zaręczyn, których się nie spodziewali, nie mieli — oddała córcę, a ta już narzeczonemu. Probując on na różne palce, wbił nakoniec gwałtem obrączkę na swój najmniejszy palec, i całował z uniesieniem

rękę Dosi, na której jego brylant jaśniał. Wten-
czas huczne vivat! zabrzmiało.

— Kielicha! — zawołał Micewicz, pragnąc jako
pierwszy dostojnik tego zgromadzenia, spełnić zdro-
wie narzeczonych. Ale Bunak rozsuwając ciżbę: —
Poczekajcie Mości Panowie, poczekajcie! — zawo-
łał, i stanąwszy naprzeciw zaręczonych, poprawił
pasika i rzekł:

„Niech Himeneusz z Appolinem w parze,
Przeznacz parę wiodą przed ołtarze!
Niech Mars i Venus w paragon się stawi,
Z hucznym aplauzem i dobrą ochotą
A wszystkim razem niechaj błogosławi,
Święta Elżbieta — i z Świętą Dorotą.”

Poeta nowe zebrał laury, i nowe oklaski.

— Ależ kochany panie Felicyanie, *ne miscean-
tur sacra profanis* (1) rzekł Micewicz.

— A jakże inaczej? — odpowiedział Bunak —
wiesz Jaśnie Wielmożny Pan, że poezja ani stąpi
bez tych bożków pogańskich; ale czyż my, prawo-
wierni chrześcijanie, dla ich miłości mamy i na-
szych świętych posponować? Oto pięknie!

Tymczasem kielich poszedł w kolej.

(1) Nie należy mieszać świętości z bałwochwalstwem.

VI.

Quis scit co za górą? — miał w przysłowiu
szlachcic Bekieszka, sługa chorągiewny pana Nie-
wiadomskiego (1) i nie stosowniejszego do różnych
kolei życia ludzkiego, jak to przysłowie. Wśród
najweselszego towarzystwa, wśród śmiechów, bie-
siad i pustych gwarów, rzuć z nienacka to wątpia-
ce *quis scit* co za górą? wnet wstrząśniesz wszyst-
kich jak błyskawicą niespodzianą; wesołość zni-
knie jak ptaszyna nagle spłoszona, oczy i twarze
się zasepią, jakaś tęsknica, jakaś trwoga, jakaś
niepokojność dojmie każdego; niepewne *jutro*, jak-
by mara jakaś niewidzialna, włóczęc się między
gośćmi, zajrzy w oczy każdemu, i każdemu sło-
wa Baltazara poszepnie.

Ależ fatalny to byłby gość na biesiadzie, któ-
ryby jednem słowem ją mieszał; nie było takie-
go wśród wesołej rzeszy obchodzącej teraz dwa-
kroć huczniejszą ochotą i szczelniejszemi kielichami
zaręczyny, po których *jutro*... jakież inne po za-
ręczynach *jutro*? wesele!

Wieczór już się zbliżał i kompanija brała się
do odjazdu; dał do tego hasło poszustny pociąg
pana Pułkownika, przed śpięchrz zajeżdżający. Nie

(1) Serya 1-sza Podaiń Litewskich Pow. Wykłęty.

mogąc rozbudzić pana, znajomy nam Bonawentura, mrucząc coś krnąbrnego pod nosem a kiwając głową, włożył go do karocy; sam zdjął kapelusz, uklonił się z daleka całej śmiejącej się kompanji, i stanął potem z tyłu, a karawan ruszył za bramę. Bitowt i Styryjko- czulój śpiący, czy mniej pijani, powstali rzeźwo i złączyli się z towarzystwem. To ten, to ów, wymykał się także to bryczką, to wozem żmudzkim, to staroświeckim zielonym skarbniczkiem. Więc i Żegota umyślił odjechać, dając folgę swój narzeczonej w nieustannych fatygach i wzruszeniach, któremi ten dzień ją mordował, a na które bez przerwy i w rozmaitym sposobie, od natrętnych i podochoconych gości narażoną była. *Jutro* znowu przyjadę, myślał on w sobie, gdy tego tłumu tu nie stanie. Podczaszy zresztą tak mu radził, i sam za nim pośpieszyć przyrzekł. Wyprowadzono zatem siwka, z półgodziny trwały pożegnania, bo i samemu Milanowskiemu serce się ścisnęło jakoś nadzwyczajnie, gdy rękę Dosi do ust i do piersi swych potem przyciskał; a zatem nie łatwo od niej się oderwał, i uściskanie się z każdym prawie gościem nie mało się przedłużyło — a siwak tymczasem gryzł wędzidło i rył ziemię kopytem...

Nakoniec siadł nań Żegota. Rumak się wspiął, jakby go chciał zrzucić, lecz gdy tego dokazać

nie mógł, znowu jakby się poddał przeznaczeniu, spokojnie poszedł za bramę, za nim Poroczko i Norejko.

Wieczór był piękny; kompanija cała była to na gańku, to na dziedzińcu, nawet i damy miłym się chłodem rzeźwiły. Zaprzęgano pojazdy, zajężdżały niektóre, i widziano jeszcze Milanowskiego, drożyną między bujnym żytem wijącą się wolnym stępem jadącego, aż zniknął z oczu za pagórkami... I w tejże chwili nagle dał się słyszeć *strzał* — i tuż znowu dwa drugie — stanęli wszyscy zdumieni... i zdumienie to nie przeszło jeszcze, gdy ujrzano lecącego pędem Norejke; wszyscy się sypnęli na przeciw.

— Zabity! zabity! — krzyczał on dolatując — pan mój zabity! Mejra go zabił, Mejra! ratujcie! na miłość Boga, ratujcie! — i poleciał nazad.

Wszyscy mężczyźni z okrzykiem przerażenia rzucili się do pojazdów jakie były na podręczu, niektórzy oklep na niedoprzężonych koniach, niektórzy pieszo biegli za Norejka.

Zostały same kobiety, przełknięte, kupiace się w jedną gromadę i nie mogące jeszcze pojąć w zupełności, co się stało?

— Matko — rzekła Dosi — jam przeczuwała nieszczęście! jam na dzisiejsze zaręczyny moje, jak na sen patrzała... Oh bo sny moje? jam ci

o nich mawiała; zamiast kobierca całuny!... Chorażyna drżała, i z jakąś nieprzytomną bojaźnią tuliła córkę do siebie.

Wkrótce też na wzgórkę ukazał się z daleka.... kondukt!... po zaręczynach — *kondukt!*

Nadbiegających coraz gromadniej tam do miejsc wypadku okropny uderzył widok: — Milanowski leżał nie żywy, dwiema kulami w piersi ugodzony, pławiący się we krwi własnej z dwóch ran płynącej, bo broń zabójcza widać dwiema kulami nabita była. Poroczka i Norejko ryczeli nad nim; konie ich rozhukane biegały i tratowały żyto; siwak tylko stał tuż prawie nad panem i kopał jamę.

— Po cyrulika! po cyrulika! — krzyknięto. Poroczko więc wskoczył na siwka, i jak wiatr poleciał, pędzony nadzieją ożywienia ukochanego pana.

— Jakże się to stało? — zapytano Norejki.

Zaledwo mówić mogący, rzekł on na to pytanie: — Jechaliśmy spokojnie, Pan na przodzie, my za nim; ale jakoś mieliśmy się na ostrożności, bo siwak na miejscu, w stajni pana Uwójni, już jamy kopał, a to zły prognostyk, i Panu to pokazaliśmy i radzili, ale nie chciał nas słuchać; my jednakże nabiliśmy pistolety....

Więc jechaliśmy spokojnie i stępo, nie wiem dla czego powoli, bo Pan tak jeździć nie lubił; ale zamyslił się.... Oh gdyby klusem, możeby

ten bezbożnik nie trafił.... Aż tu słyszym: „*Precz z tego świata i z serca Dosi!*” i razem huk — a pokazała się nad żytem głowa Mejry. — Pan chwycił się za piersi, postrzegł widać tę głowę, bo krzyknął: *ha! Mejra!* i spadł z konia — strzeliliśmy z pistoletów w żyto gdzie głowa się pokazała, ale gdzież tam! i skoczyliśmy do Pana. — Boże zmiłuj się!... ha Mejra! powtórzył on jeszcze kilka razy, ale tak okropnie! tak! że ten potępieniec pod ziemią, na strasznym sądzie, i w piekle nawet słyszeć będzie — *ha! Mejra!!!*

Dalej już mówić nie mógł Norejko.

Podjęto z trudnością zabitego, włożono na wóz otoczony rozmałą gromadą, ruszono do dworu, i kondukt ten okazał się kobietom na dziedzińcu, a wkrótce tam i przybył.

Zmrok już padał i księżyc połtwarzą przyświecał téj krwawej scenie. Smutek głęboki był na wszystkich obliczach, przed chwilą wesółych. Kobiety w najciaśniejszym skupiły się pokoju i modliły się każda po swojemu. Mężczyźni gwarnie różprawiali o tym okropnym kryminale i o sposobach pojmania kryminalisty. Podeczaszy, zapłakany, urządził wóz na którym przyjaciela do domu jego własnego miał odwieźć, i ostatnią mu tam oddać posługę. — Wtém nadleciał Poroczko z cyrulikiem za sobą; gdy ten złożonego na murawie za-

bitego opatrywać zaczął, wszyscy go otoczyli, niespokojnie oczekując pierwszego słowa....

— Nie żyje! — rzekł on — nie żyje!

Nie żyje, nie żyje! Słowo to z ust do ust przebiegając, doszło aż do kobiet. Nie żyje? — rzekła jakby zdziwiona Chorażyna, bo głowa już jej gorączką pałała. — Nie żyje! niechże odda obrączkę! odbierzcie mu obrączkę Dosi! Czyż Dosia z trupem zaręczona?... I to mówiąc zerwawszy pierścień z rąk córki, wybiegła na ganek i rzuciła go na tłum, wołając bez ustanku: — Odbierzcie mu obrączkę Dosi! czy ona z trupem zaręczona? — Wnet się rzuciono aby spełnić jej żądanie i zniweczyć myśl tę jej okropną, że córka jej zaręczona z trupem.

Widzieliśmy z jaką trudnością Milanowski tę maleńką z ręki kobiecej obrączkę, ledwo na swój mały palec wbić potrafił. *Bunak* więc podjął dłoń umarłego i usiłował zdjąć mu ona — nagle wrzasnął i odskoczył, i wszyscy obok będący wrzasnęli i odbiegli — trup zwał rękę... Ostatnie widąc zakradnione jeszcze technienie, konwulsyjnym kurczem dłoń mu ścisnęło.

— Nie oddał obrączki! — zawołano — nie oddał obrączki!...

W roku 1824 mieszkalem ja kilka miesięcy na Żmudzi, w okolicach Kroż; pewnego dnia przybyłem do tego miasteczka, i ujrawszy otwartym kościół mniszek Benedyktynek, a w nim nabożeństwo — wszedłem. Był to pogrzeb mniszki; zwłoki odkryte leżały na katafalku, i właśnie gdym do kościoła wchodził, ksiądz się ukazał na ambonie. — Po stosownym texcie z Pisma Św. rzekł on: — „Oto zwłoki w Bogu zeszlęj wielebnęj siostry Klary w zakonie, a na świecie niegdyś Doroty Uwójnianski!” i t. d.



SPIS RZECZY.

	<i>Stronica.</i>
Wstęp.....	5
WYKŁĘTY.....	9
Przypisy.....	119
KAMIEŃ W OLGNIENIANACH.....	129
ŻEGOTA Z MILANOWA MILANOWSKI:	
Część Pierwsza.....	171
Część Druga.....	259

